NINA ZAWADZKA

OPOWIEŚĆ O KOBIECIE, KTÓRA W IMIĘ WOLNOŚCI
POSTANOWIŁA PODPALIĆ CAŁY SWÓJ ŚWIAT.

CZAS POŚWIĘCENIA

FILIA

NINA ZAWADZKA

CZAS POŚWIĘCENIA

FILIA

Mojej Mamie –
w podziękowaniu za to, że zaprowadziła mnie przed dom wnuczki
Anieli i Stanisława, których historię spisałam na kartach tej powieści

Kiedy umrę, kochanie
gdy się ze słońcem rozstanę
i będę długim przedmiotem, raczej smutnym

czy mnie wtedy przygarniesz
ramionami ogarniesz
i naprawisz, co popsuł los okrutny

czasem myślę o tobie
czasem piszę do ciebie
głupie listy, w nich miłość i uśmiech

potem w piecu je chowam
płomień skacze po słowach
nim spokojnie w popiele nie uśnie

patrząc w płomień, kochanie
myślę, co też się stanie
z moim sercem miłości głodnym

ty nie pozwól przecież
żebym umarła w świecie
który ciemny jest i który jest chłodny

Halina Poświatowska

PROLOG

1980 rok, Zachodniopomorskie

Twarz kobiety w lustrze wyglądała jak skórka dojrzewającego jabłka. Mimo wielu przeżytych lat nadal była wolna od zmarszczek.

Eleonora wyciągnęła dłoń w stronę odbicia. Opuszki palców dotknęły zimnej tafli i delikatnie sunęły to w jedną, to w drugą stronę, jakby nie dowierzając aksamitowi nieskazitelnej cery. To zadziwiające, że jej twarz nadal nie pokryła się bruzdami, które powinny bezlitośnie odbijać wszystkie troski i problemy, jakim poddawała się przez lata. Jak to możliwe, że mimo szerzącej się na ciele łuszczycy jej twarz wciąż wyglądała tak pięknie?

Najpierw dotknęła czoła; było napięte i gładkie. I tylko uniesione wysoko brwi przywodziły na myśl tamte chwile grozy, zaskoczenia i zdziwienia nad losem prowadzącym ją przez drogi najeżone strachem o wyimaginowane sytuacje, do których przecież nigdy nie doszło, lecz które były echem przeszłych zdarzeń. A jednak – pozostawiły po sobie trwały ślad. Przesunęła palce na pełne usta, wydymające się za każdym razem, gdy w skupieniu przeczesywała wzrokiem teren wokół domu, czysty i wolny od zagrożeń. Jednak Eleonora nieustannie widziała je oczami wyobraźni i nie potrafiła się ich wyzbyć. Następnie dotknęła powiek, opadających nadmiarem skóry na oczy, i spojrzała w zielone tęczówki wypłowiałe od

wieloletniego patrzenia na świat. W szerokich źrenicach nadal zdawał się czaić strach, mimo że od tak wielu lat była bezpieczna.

Nagle drzwi od domu otworzyły się z impetem, a Eleonora oderwała się od lustra, jak gdyby szklana tafla boleśnie zelektryzowała jej palce. Mimo to nie ruszyła się z miejsca. Nie potrzebowała. Lustro zawsze miała ustawione tak, by widzieć w nim drzwi; teraz zobaczyła, że nie stanął w nich intruz, lecz pojawiła się zgarbiona postura Stanisława.

Mężczyzna ociężale wszedł do środka, ale nim zamknął za sobą drzwi, zrzucił na podłogę dźwigany na plecach worek ziemniaków i przeniósł z progu do sieni kilka siatek z zakupami. Przy każdym ruchu w jego kieszeni dźwięczały klucze; w końcu wyjął je i jak zawsze włożył do koszyka – na tak zwane swoje miejsce, o czym ona wiecznie zapominała.

– Jak się czujesz, skarbie? – rzucił w jej stronę, po czym pospiesznie zaczął wypakowywać produkty z toreb prosto do lodówki, szafki, miski… Znów na „swoje miejsce”.

– Dobrze – powiedziała cicho Eleonora, obserwując jego skoordynowane ruchy.

Uzmysłowiła sobie, że to jego zorganizowanie ją uspokaja. Zawsze tak było. Staszek miał zapisaną w sercu receptę na życie. Działał tak, jakby podświadomie wiedział, co należy zrobić i jak się zachować, by napełnić duszę Eleonory harmonią. Może dzięki temu nadal pozostawał w pełni sprawny, podczas gdy ona, choć fizycznie nie wyglądała na chorą, nie potrafiła bez nadludzkiego wysiłku wykonać najprostszych czynności?

– Niedługo przyjadą dzieci. Marcin ma nowy samochód, mówił przez telefon. Wygodny i wysoko się siedzi, nie to próchno, którym ostatnio ledwo się doczłapali. Mógłby cię zabrać do lekarza.

– Och, daj spokój, Staszek. Nie ma potrzeby.

Stanisław posłał żonie pełne troski i czułości spojrzenie.

– Nie można tak. Widzę przecież, że coś cię krępuje. Może potrzebujesz witamin albo leków? Nie jesteś aż tak leciwa, żeby cię męczył najprostszy wysiłek.

Eleonora westchnęła cicho.

– Pomyślę.

– A swoją drogą, nie było listonosza?

Pokręciła przecząco głową i przeniosła się z krzesełka przy toaletce na fotel. Ułożywszy na kolanach wełniany pled, sięgnęła po książkę. Nie potrafiła jednak skupić się na czytaniu, ponieważ promienie słońca, wpadające przez duże okno, oświetlały kartki tak mocno, że Eleonora miała wrażenie, jakby litery rozwarstwiały się w długich zdaniach i tańczyły jej przed oczami. Przetarła palcami powieki i czoło i odetchnęła ciężko, a myśli znów powiodły ją ku tej części wspomnień, w których kumulował się lęk.

– Strasznie pobladłaś. Proszę, napij się. – Staszek zmaterializował się przy niej niespodziewanie, niczym zjawa, po czym podstawił jej pod nos szklankę z wodą. – Może powinnaś się położyć? – dodał, kiedy już się napiła i odstawiła szklankę na stolik.

Przez chwilę głaskał ją po głowie, a ona spojrzała na jego pełną powagi, ogoloną twarz oraz jasne, niemal białe, acz niezmiennie od lat gęste włosy. Ciekawe ułożenie zmarszczek na twarzy mogło prowadzić do wniosku, że dopiero co przestał się uśmiechać. Eleonora zdała sobie sprawę, że nie pamięta, kiedy ostatnio słyszała jego śmiech. Dawniej nieustannie się śmiał. Skupiła wzrok na jego jasnych, ciepłych i pełnych troski oczach. Wyglądały identycznie jak wówczas, gdy się w nich zakochała. Nigdy nie spoglądała w nie zbyt długo; teraz również szybko spuściła wzrok. Nie potrafiła w nich „tonąć", jak robiły to niektóre bohaterki czytanych przez nią książek, ponieważ miała wrażenie, że oczy Staszka widzą wszystkie sekrety jej duszy.

– Kochanie, mogę pomóc ci wstać, jeśli chcesz iść do łóżka. Chodź.

Pochylił się nad nią. Eleonora poczuła, że przestaje panować nad sytuacją, że słabnie pod naporem siły perswazji męża.

Co się z nią dzieje? Jeszcze nie tak dawno potrafiła zachować rezon, wytrzymać wnikliwe spojrzenie i zapanować nad własnymi obawami. Teraz każdy jej oddech zdawał się coraz bardziej rozwibrowany. Gdy zaczerpnęła powietrza, przebiegło ono dreszczem po jej plecach; płytki wydech niemal do cna pozbawił ją tchu. Zacisnęła dłonie w pięści, licząc na to, że uda jej się zapanować nad oddechem, nim Staszek wyczyta z jej mowy ciała zdenerwowanie. Jednak dreszcze nie ustawały, ześlizgując się coraz niżej i coraz głębiej wnikając w trzewia.

– Kochanie? – Staszek dotknął jej dłoni, a ona drgnęła niczym wystraszone dzikie zwierzątko w wysokiej trawie.

Jak to możliwe, że wraz z upływem czasu, zamiast stawać się coraz bardziej odporna na bliskość męża, zapominała o tej sztuce, którą dawniej miała opanowaną do perfekcji? A może nadszedł czas, by przestać udawać? By nareszcie, po tych wszystkich wspólnych latach, odważyć się na rozmowę i rozwiać wątpliwości?

– Nie potrzeba, Stasiu – wyszeptała w końcu. – Czuję się całkiem nieźle, tylko to letnie przesilenie zawsze działa na mnie tak… przygnębiająco.

Staszek spojrzał na nią, marszcząc brwi. Zawsze w takiej chwili jego twarz przybierała łobuzerski grymas, mimo że niedawno skończył sześćdziesiąt pięć lat i powinien już zachowywać się jak dystyngowany starszy pan. A może w jej oczach na zawsze miał pozostać młody, zabawny i pełen uroku?

– To nie lato, Lenciu. Tobie przecież zawsze coś dolega! A ostatnio całkiem już podupadłaś na zdrowiu. Coś zabiera ci siły. Powiedz, co się dzieje?

Wysiliła się na uśmiech, lecz nie odpowiedziała.

Synowa twierdziła, że tak wygląda depresja, ale Eleonora uważała, że nic jej nie dolega. Co najwyżej raz na jakiś czas, niczym fala,

napływały do niej lęki z przeszłości. Ale kto by tam je wywlekał na światło dzienne… Na co to komu? I po co?

Warkot silnika przeciął powietrze i Staszek od razu podniósł wzrok znad fotela. W mgnieniu oka rozanielił się, a szczery uśmiech rozpromienił jego twarz.

– Przyjechali! Pójdę ich przywitać.

Eleonora wypuściła z ust powietrze, choć ten zabieg wcale nie sprawił, że poczuła się lżej, po czym powiodła wzrokiem za mężem, który wyszedł na spotkanie dzieciom.

– Zwyczajny buc! – dobiegł do jej uszu rozedrgany głos synowej, gdy ta stanęła w progu domu i szeroko rozwarła oczy na widok Eleonory. – Dzień dobry, mamo! A co to się stało? – Szybko ruszyła w jej kierunku, po czym opadła na krzesło obok fotela i ścisnęła teściową za rękę. – Jesteś dziś jakaś blada.

– Nic… – wymamrotała Eleonora, czując, jak serce podchodzi jej do gardła, a na płucach zaciska się żelazna obręcz. – Ale tyś taka zdenerwowana, dziecko. Coś się wydarzyło na drodze?

– Ach, szkoda mówić. – Małgorzata machnęła ręką. – Jakiś palant zajechał nam drogę. Marcin ledwo wyhamował i zniosło nas na pobocze. Cudem się wygramoliliśmy, całe drzwi porysowaliśmy o jakiś wystający konar… I tłumik zerwał się z uchwytów.

– Najważniejsze, że nic się wam nie stało. A ten… – Eleonora urwała. – Buc…? – zapytała rozedrgana, czując, jak jej gardło się zaciska, kiedy wypowiadała te słowa. Ten początek, to ułożenie liter przez lata ją prześladowało i stanowiło jej najgorszy koszmar.

– Buc? Nie wiem. – Synowa wzruszyła ramionami. – Odjechał i nawet nie przeprosił. Ale niepotrzebnie ci o tym mówię. Jesteś taka blada… Powinniśmy oszczędzić ci stresu.

Eleonora machnęła ręką, udając, że nic się nie stało, choć ze strachu znów zaczęła ciężko oddychać.

„Kiedy ten koszmar się skończy?” – pytała siebie w duchu.

Ktoś gwałtownie zastukał w szybę i Eleonora się wzdrygnęła.

– Jedziemy do mechanika – usłyszała stłumiony głos męża. – Marcin chce sprawdzić, czy wszystko w porządku z podwoziem.

Małgorzata wstała, otworzyła szeroko okno, po czym wychyliła się nieznacznie, próbując dojrzeć na podjeździe męża. Kiedy zobaczyła go w oddali, pomachała radośnie.

– Dobrze – rzekła do teścia. – Jedźcie ostrożnie. I się nie spieszcie. Najważniejsze, żeby naprawić te uszkodzenia.

Przez chwilę jeszcze stała przy oknie, patrząc, jak samochód z mozołem toczy się po drodze w kierunku Koszalina. I kiedy już miała zamknąć okno, przy bramie zamajaczyła sylwetka listonosza.

– Dzień dobry, pan do nas? – zawołała, a gdy potwierdził skinieniem głowy, dodała: – Proszę zaczekać, już idę. – Obróciła się w stronę Eleonory i z czułością położyła dłoń na przedramieniu teściowej. – Listonosz przyjechał. Wyskoczę po pocztę, żeby nie musiał niepotrzebnie nadrabiać kroków. Wystarczająco już się zdążył zmęczyć w taki skwar.

– Dobrze. – Eleonora potaknęła i odprowadziła synową wzrokiem.

Dlaczego ten dzień, pozornie normalny i podobny do wszystkich innych, kładł się na jej rozedrganym ciele chłodnym cieniem, budził w jej głowie nieuzasadnione lęki i obawy? Rozejrzała się, próbując odnaleźć w otaczającej ją rzeczywistości źródło tych emocji.

W ich małym domu panował porządek, z zewnątrz dobiegały dźwięczne śpiewy skowronka, a promienie słońca wpadały przez szyby, przyciągając ku sobie pąki stojących w wazonie kwiatów. Sielski był to widok. Kojący. A jednak Eleonora nie potrafiła pozbyć się ponurych myśli i cieszyć z przyjazdu dzieci. Wcześniej ich bliskość dodawała jej siły, lekkości. Marcin, jedyny syn spośród piątki jej dzieci, miał w sobie dziwną moc sprawczą, dzięki której wyciszały się targające nią wyrzuty sumienia. A Małgosia, jego żona, zdawała się aniołem w ludzkiej skórze i Eleonora, choć wstydziła się przyznać to sama przed sobą, miała do niej więcej czułości, empatii oraz zaufania niż do własnych córek.

Tym razem jednak ich przyjazd niczego nie zmienił. Wręcz przeciwnie, Eleonora miała wrażenie, że jest wyjątkowo przeciążona. Jakby nagromadzone w ciele emocje nie miały już nawet odrobinki miejsca i za wszelką cenę próbowały się wydostać na zewnątrz. A ona… Ona przecież musiała jeszcze wytrzymać. To sobie poprzysięgła i tego trzymała się w życiu najmocniej.

Wiele lat temu podjęła decyzję, że przenigdy nie zdradzi się z niczym, postara się zapomnieć i zacznie żyć pełną piersią, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Zabierze ten sekret do grobu i dzięki temu raz na zawsze przetnie więzy, którymi splątała swą duszę. Nie przypuszczała, że nigdy nie uda jej się osiągnąć lekkości życia. Z czasem, zamiast czuć się lepiej, stawała się coraz bardziej zmęczona, a tajemnice ciążyły jej na sercu niczym kamień młyński.

Małgorzata głośnym trzaśnięciem drzwi wyrwała Eleonorę z zamyślenia.

– To do ciebie, mamo.

Podeszła do niej i pokazała kopertę sygnowaną urzędowymi pieczęciami.

– Otwórz, skarbie.

– Dobrze, ale nie będę czytać twojej korespondencji.

– Przecież nie piszą tam nic ważnego. Pokaż no. – Eleonora przejęła kopertę z rąk synowej i nałożywszy na nos okulary, przyjrzała się stemplom. – No tak, to coś z emeryturą. Tak jak myślałam, nic istotnego. Przynajmniej wzrok mi trochę odpocznie, bo głowa już pulsuje z bólu. Pewnie z powodu tego letniego przesilenia.

Małgorzata posłała teściowej lekki uśmiech, po czym delikatnie otworzyła kopertę, wyjęła druk, zmarszczyła brwi i zaczęła czytać. Eleonora odchyliła się na oparcie fotela i przymknęła powieki.

– „Szanowna pani, informujemy, iż oddalamy pani wniosek o przyznanie emerytury. W uzasadnieniu decyzji wskazujemy, iż dokumentacja, którą załączyła pani do wniosku, nie pokrywa się z dokumentami pobranymi z Archiwum Państwowego…”

Eleonora poczuła, jak całe jej ciało przeszywa lodowaty dreszcz, a słowa czytane przez synową zdawały się niknąć w przestrzeni. Gwałtownie otworzyła oczy i niemal od razu całkiem jej pociemniało. Płytki oddech przyspieszył i miała wrażenie, że coś niebotycznie wielkiego przygniata jej ciało.

– „Wskazuje się, iż rodzina Dreznal, mieszkająca we wsi Malinicze, posiadała dwie córki, jednakże żadnej z nich nie nadano imienia Eleonora, żadna też nie urodziła się we wskazanym przez panią dniu ani roku. Prosimy o kontakt z tutejszym wydziałem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych celem wyjaśnienia nieścisłości".

Eleonora sięgnęła po pozostawioną przez Staszka szklankę, lecz nie zdołała utrzymać jej w dłoni. Szkło spadło z głośnym brzękiem na stolik, woda rozlała się po blacie i wielkimi kroplami zaczęła kapać na podłogę. Małgorzata wyjęła z kieszeni chusteczkę, rzuciła ją na niewielką kałużę, po czym wbiła spojrzenie w teściową.

– O co chodzi, mamo?

Eleonora otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz w głowie wirowało jej tak wiele wymówek, że nie potrafiła wybrać żadnej z nich. W obliczu prawdy każda zdawała się pozbawiona sensu. Czuła, jak jej wargi drżą, jakby nie mogły zdecydować, czy panicznie krzyknąć, żeby uciszyć pędzące myśli, czy udźwięcznić napierające do oczu łzy. W końcu zacisnęła je w wąską kreskę.

Cóż niby miała odpowiedzieć Małgorzacie? Informacja z listu to prawda. W rodzinie Dreznalów nie było Eleonory. Jak mogła o tym zapomnieć?!

Powróciły do niej wspomnienia dnia, gdy składała wniosek o przyznanie emerytury. Czuła wtedy w ciele dziwne odrętwienie, które za wszelką cenę próbowała zbagatelizować. Teraz zrozumiała, że to był znak od losu; powinna w tym cholernym wniosku zawrzeć wyłącznie prawdziwe informacje; niestety, kłamstwa tak głęboko wżarły się w jej skórę, że sama już przyjmowała je za pewnik. Prawdopodobnie dlatego, że dotąd wszyscy jej wierzyli na słowo.

Taka była ta nowa, niepisana tradycja po wojnie; ludzie dawali wiarę wszystkiemu, co im się powiedziało, bo walcząc z demonami przeszłości, nikt nie miał siły dociekać prawdy. Zresztą na co ona i komu, skoro były ważniejsze problemy? Czyżby dlatego w chwili składania wniosku Eleonora nie poszła za tym krzyczącym głosem rozsądku, tylko uznała, że wszystko potoczy się tak, jak zawsze? Z pewnością podświadomie liczyła na to, że nikt nie będzie wygrzebywał tych dokumentów, skoro ona sama…

– Mamo?

Małgorzata przypatrywała się teściowej, jak gdyby wyczytała z jej oczu wszystkie myśli i pojęła to, do czego teściowa nie chciała się przyznać. Narastająca cisza była pełna napięcia i zagęszczała atmosferę między nimi, podczas gdy każde tyknięcie wskazówki zegara zdawało się kruszyć fasadę prawd i przekonań, za którymi kobieta ukryła to, czego obawiała się najbardziej. Czas zwolnił, minuty dłużyły się w nieskończoność, aż w końcu niepokój przerodził się w poczucie zagrożenia, któremu Eleonora nie potrafiła stawić czoła.

W jednej chwili zrodzona z destrukcyjnych emocji panika rozlała się po jej trzewiach, burząc wszystkie zapory i systemy obronne. Niespodziewanie dla synowej i samej siebie Eleonora rozpłakała się niczym małe dziecko.

– Nie płacz – usłyszała miękki szept, zabarwiony troską i serdecznością. – Wyjaśnimy tę sprawę, mamo.

– Tu nie ma czego wyjaśniać – wychrypiała po chwili. – Bo… – Uniosła oczy na synową, która cierpliwie czekała, aż teściowa się uspokoi.

W jej oczach błyszczały teraz spokój i zrozumienie. Zupełnie jakby w wyniku słabości Eleonory Małgorzatę owładnęła nadprzyrodzona łaska. Jej łagodna twarz w małym salonie drewnianego domku, rozświetlona wpływającą przez okno strużką ciepłego światła, na którym tańczyły drobinki kurzu, wydała się Eleonorze wybawieniem.

Czy to los ją zesłał, by miała komu powierzyć swój sekret i zrzucić ciężar przygniatający jej serce, rozum i duszę?

– Bo to prawda – odpowiedziała nagle, sama zaskoczona tym wyznaniem.

Małgorzata nawet nie drgnęła. Jej oczy, stateczne i pełne ufności, nadal wpatrywały się w Eleonorę. Nie było w nich ani iskierki osądu, drwiny czy zaskoczenia. Kobieta trwała w skupieniu, wyczekiwaniu, niczym spowiednik, który czeka cierpliwie, aż grzesznik zechce wyjawić mu swoje przewiny.

– Co jest prawdą, mamo? – zapytała po chwili.

Eleonora jeszcze przez moment biła się z myślami, lecz wreszcie intuicja przejęła władzę nad jej umysłem i całkiem poddała się chwili.

– Że w Maliniczach nie było żadnej Eleonory, a rodzina Dreznalów miała dwie córki. – Westchnęła przeciągle i zatopiła wzrok w swoich pomarszczonych dłoniach. – Tyle że jedna z nich pogrzebała się za życia.

– Dlaczego?

– Bo czasem, żeby uratować siebie, najpierw musisz spalić cały dotychczasowy świat. I ja to zrobiłam…

Długo milczały, jakby nie mogły znaleźć odpowiednich słów, by poprowadzić tę rozmowę dalej. W końcu Małgorzata przysunęła się do teściowej, chwytając ją za drżące dłonie.

– Mamo, pomogę ci to wszystko odkręcić, ale muszę znać prawdę – powiedziała spokojnie, acz pewnie, tonem, który zawsze budził w Eleonorze zaufanie.

Starsza pani spojrzała w pełne ciekawości oczy synowej. Jakaś zbłąkana myśl nakazywała jej rozliczyć się z przeszłością. Rozgrzebać to wysypisko wspomnień, lęków, obaw i destrukcyjnych emocji. Przewartościować wszystko, co się wydarzyło, wyrzucając to, co przez lata osłabiało jej ciało, zatruwało myśli i serce. Czuła, że

czasoprzestrzeń dała jej tę możliwość i że nigdy później nie otrzyma już drugiej takiej okazji, by uwolnić się od cierpienia.

– Masz rację – odparła, czując ścisk w klatce piersiowej. – Czas zrzucić z siebie jarzmo. Ale… – Eleonora błądziła wzrokiem po oczach synowej. – Musisz mi obiecać, że dopóki nie umrę, nikomu nie zdradzisz tego sekretu.

– Dobrze – wyszeptała po dłuższej chwili synowa.

– Nie bez powodu ukrywałam to wszystko przez tyle lat. Muszę mieć pewność.

Jej głos wibrował z niepewności i obaw, a jednak dziwna lekkość, jaką poczuła w sercu, mogła być oznaką, że to jej pomoże i lada moment będzie mogła przestać się obwiniać.

– Obiecuję. Nikomu nie zdradzę tego, co mi powiesz. Zaufaj mi – odezwała się Małgorzata. – Nigdy wcześniej nie dałam ci żadnego powodu, byś mogła mieć wątpliwości. Tym razem też tak będzie.

Eleonora się uśmiechnęła. Dobrze wiedziała, że w tym życiu nie ma właściwszej osoby, której mogłaby powierzyć swój sekret. Czemu więc nadal się opierała?

– To prawda. A jednak wciąż się boję – zaśmiała się nerwowo. – Zobacz, im człowiek starszy, tym bardziej lękliwy.

– Wcale nie. To całkiem zrozumiałe. Im dalej w las, tym ciemniej i mroczniej, a człowiek doświadczony, który zdaje sobie sprawę z zagrożeń, jakie niesie ze sobą wędrówka w głąb siebie, woli zostać w miejscu, które zna. Nawet gdy jest ono zimne i brudne. Ale jeśli tylko się odważysz, potrzymam cię za rękę i pomogę przejść przez ten mrok, a później doprowadzę do światła.

– Mówisz to tak, jakby takie sytuacje były twoim chlebem powszednim.

– Och. – Małgorzata się zarumieniła. – Może nie takie, w końcu otworzyłam swój gabinet psychologiczny dopiero niedawno. Ale zrobię wszystko, żebyś w tym trudnym czasie poczuła, że ktoś się

tobą opiekuje. W końcu taka jest rola lekarza od duszy. – Puściła do Eleonory oczko.

– Hmm… – Eleonora, choć była już stara, poczuła się znów jak dziewczynka tuż przed pierwszą spowiedzią. Bała się, a jednocześnie przepływała przez nią nadzieja na otrzymanie rozgrzeszenia. Nadzieja na życie w czystości. – Dobrze – powiedziała ledwo słyszalnie.

– Zanim więc dojdziemy do tego, dlaczego musiałaś spalić swój świat, powiedz, od czego to wszystko się zaczęło.

Eleonora spojrzała na leżące na komodzie zdjęcie, gdzie widniało pole ziemniaków, po którego jednej stronie ciągnęła się jasna połać zboża, a po drugiej ciemny las. Pośrodku, między usypanymi w kopczyki ziemniakami, siedziały dwie kobiety, ubrane w brudne od ziemi sukienki. Śmiały się do Henryka, robiącego im to zdjęcie, które stało się wieczną pamiątką ich pobytu w Tysiącletniej Rzeszy.

Eleonora wytężyła wzrok, zaglądając jednej z bohaterek zdjęcia w oczy.

– Wszystko zaczęło się od Fiodora. Mojego męża – wyznała z nutą melancholii w głosie.

– Słucham? – Tym razem Małgorzata nie potrafiła ukryć zdumienia. – To mama miała jeszcze jednego męża?

– Tak – wyszeptała Eleonora, a następnie przymknęła oczy, przenosząc się myślami do niewielkiej wsi, położonej na zachód od rzeki Zbrucz. – Miałam męża i bliskich, którzy… – Z trudem przełknęła ślinę. – Być może nadal mieszkają na Ukrainie.

CZĘŚĆ I

1931 rok, Podole

Wiosna skończyła się gwałtowną burzą, a pierwszy letni poranek okrył przedpola Płoskirowa mleczną mgiełką, leniwie unoszącą się ponad ziemią. Słońce wspinało się po niebie, lecz jaśniało słabo, od niechcenia, jakby wcale nie zwiastowało początku dnia, a z wolna postępujący wieczór.

Emilia Dreznal patrzyła na ten spektakl z rosnącą ciekawością. Zdawało jej się, jakby puszysty tren odchodzącej wiosny zastygł, otuliwszy ciepłym obłokiem ukwiecone łąki i połacie wschodzących zbóż. Niebo przybrało niespotykane dotąd barwy. Odcienie fioletu, szarości i brzoskwiniowej poświaty orzeźwiały krajobraz, ukazując nowe, nieznane dotąd oblicze ziemi, która przed wiekami należała do prowincji małopolskiej Korony Królestwa Polskiego, a która po traktacie ryskim znalazła się w granicach ZSRS. A jednak, gdyby wspiąć się na najwyższe drzewo w okolicy i wytężyć wzrok, w tle zamajaczyłaby Polska; wszak Malinicze leżały zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od jej granic.

Dziewczyna jeszcze przez chwilę spoglądała na ów pejzaż, próbując wyłuskać jak najwięcej szczegółów i przenieść go na niewielkie płótno, które sama zrobiła z kawałka bawełnianej chusteczki i czterech wystruganych, a następnie zbitych przez sąsiada patyków. Na wieku drewnianej walizeczki, mieszczącej

zaledwie kilka tubek z farbami olejnymi, mieszała kolory tak, by stworzyć barwy fabrycznie niewyrabiane, a jednocześnie najbardziej zbliżone do tych zaobserwowanych na niebie. Sunąc pędzlem po płótnie, nadawała im w myślach nowe nazwy: poranna mgła, lila wschodu, błękit nad pastwiskiem, pastelowy szmaragd, szaroniebieskie myśli, mysie futerko…

Całe to poranne przedstawienie, tak niecodzienne, a zarazem niesamowicie pasjonujące, porwało Emilię do tego stopnia, że nie zauważyła, jak mgłę w oddali rozpędza sylwetka jeźdźca na ryżym koniu. Kopyta zwierzęcia rozbryzgiwały obłoki unoszące się nad polną drogą, a ciszę wokół muskało przygaszone parskanie, sam galop jednak zdawał się dudnić w głąb ziemi, jak gdyby dopasowywał się do tętna jej jądra, skrytego pod warstwami urodzajnej gleby. Dziewczyna, wpatrzona w unikatowe kolory nieba, puściła to jednak mimo uszu. Dopiero po chwili, czując na sobie czyjś wzrok, opuściła spojrzenie i dojrzała przybysza.

Jeździec ubrany był odświętnie; w ciemny garnitur, spod którego wychylał się kołnierz śnieżnobiałej koszuli, spiętej pod szyją błyszczącą spinką. Mężczyzna zeskoczył zgrabnie z konia, ujął wodze i popatrzył na Emilię z takim… zachwytem i zachłannością, jakby miała być ostatnim widziadłem w jego życiu.

Dziewczyna pomyślała, że oto stoi przed nią pan Rozwadowski, właściciel największego majątku w okolicy, który sąsiadował z ich polami. Nigdy dotąd nie spotkała go na żywo, lecz któż inny, tak zamożnie ubrany, stałby o tej porze na tle porosłego chwastami zagajnika i wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał zganić za to, że robi coś niestosownego. Zapewne już kiedyś widział, jak młoda dziewczyna marnuje czas na malowanie obrazu, zamiast pracować w polu, obejściu czy kuchni. Byłoby to usprawiedliwione, gdyby należała do jednej z tych szanowanych bogatych rodzin, ale Dreznalowie ledwo wiązali koniec z końcem. A on, patrząc na nią tak przenikliwie i władczo, z pewnością o tym wiedział.

Emilia siedziała jeszcze przez chwilę na balkonie, z pędzlem zawieszonym tuż nad płótnem, i nie wiedziała, czy większy strach budzi w niej osaczające spojrzenie przybysza, czy świadomość, że ma na sobie jedynie cienką koszulę nocną. I kiedy tylko myśl o jej stroju rozgorzała w głowie piętnastolatki, Emilia poczuła się głęboko skrępowana.

Speszona szybko poprawiła szlafrok, który kilka chwil wcześniej zrzuciła sobie z ramion, uszyty z pasów prześwitującej, poszarzałej koronki, otrzymanej od babci i stanowiącej wspomnienie czasów świetności ich rodziny. Oplotła się nim ciasno, starając się nie myśleć o tym, że cienki materiał nie wystarczy, aby osłonić bujne piersi.

Na widok jej niezręcznych ruchów mężczyzna się otrząsnął, przywiązał konia do dużego drzewa orzechowego i ruszył w stronę domu, a Emilia uciekła z balkonu, by schować się w mroku swojego pokoju na piętrze. Wystraszona naprędce próbowała narzucić coś na siebie, lecz ciało nie chciało jej słuchać, a halka plątała się w palcach.

Miała nadzieję, że nie będzie musiała sama otwierać drzwi nieznajomemu. Wiedziała, że ojciec wraz z kilkoma chłopami z sąsiedniej wsi, którzy nie posiadali roli, a jedynie skrawki przydomowych ogródków, od rana pracuje w polu. Nie była jednak pewna, czy chodzi jeszcze po obejściu, czy już wyszedł. Nim zdążyła się nad tym zastanowić i zapanować nad wyglądem, rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Zamarła, nasłuchując, lecz wyglądało na to, że pozostali domownicy jeszcze śpią. Dopiero po dłuższej chwili dobiegł jej uszu odgłos ojcowskich butów i zgrzyt przekręcanego zamka. Na dźwięk zaskoczonego głosu taty odetchnęła z ulgą. Ciekawość jednak nie pozwoliła jej zostać w pokoju. Wiążąc gorset, wyszła na korytarz, gdzie natknęła się na mamę, babkę i stryjenkę, równie zaskoczone co ona. Kobiety zerkały w stronę holu i posyłały sobie pytające spojrzenia, zdając się równie zaniepokojone porannym najściem co Emilia. W końcu bezgłośnie

postanowiły, że zejdą do salonu, by sprawdzić, co się dzieje. Uniesiony głos ojca nie wskazywał na nic dobrego.

– Nie ja tu ustalam zasady, Dreznal. – Do ich uszu dobiegł po chwili mocny, chrapliwy głos przybysza.

Emilia próbowała rozszyfrować wyraz twarzy ojca, lecz jako najmłodsza stała na samym końcu i co jakiś czas któraś ze starszych kobiet zasłaniała jej widok. Ponadto z trudem skupiała uwagę, ponieważ co rusz napotykała głodne spojrzenie przybysza. Miała wrażenie, że mężczyzna wwierca się w nią wzrokiem i przeszywa jej ciało na wskroś. Mimo to z wysoko uniesionym podbródkiem stąpała za kobietami, starając się udawać pewną siebie ziemiankę. Dokładnie tak, jak od lat nauczała ją babka.

– Dzień dobry – odezwał się nieznajomy, gdy kobiety weszły do salonu.

– Dzień dobry – odpowiedziała stanowczo Katarzyna, najstarsza z rodu. – A cóż to za nieproszone najście o tak wczesnej porze?

– Pan Bucwald zaraz wychodzi, mamo – odpowiedział Jonasz, ojciec Emilii, co przybysz skwitował ponurym uśmiechem. – Zamienimy tylko jedno słowo po męsku. Wasza obecność jest nam miła, ale nie konieczna.

Zatem nie był to Rozwadowski, jak pierwotnie sądziła Emilia, lecz Fiodor Bucwald, którego również nie miała okazji poznać. Już dawno jednak doszły ją słuchy o bezwzględności nowego zarządcy majątków ziemskich.

– Myślałem, że dostanę choć szklankę wody – stwierdził Bucwald, na co Jonasz zmrużył oczy.

– Proszę wybaczyć nietakt, byłem pewien, że pan tylko na chwilę. Wobec tego oczywiście zapraszam do stołu – odparł z wyraźną dezaprobatą. – Nie chciałbym, aby do komisarza dotarła informacja, że nie został pan należycie ugoszczony. Emilio, przynieś panu wody.

Dziewczyna skinęła głową i poszła do kuchni, czując na sobie wzrok przybysza, który przyprawiał ją o nieprzyjemne palpitacje

serca. Myślała o tym, czy rozpoznał w niej tę półnagą dziewczynę, przed kilkoma minutami siedzącą na balkonie. Krępowała ją myśl, że mógłby wspomnieć o tym przy stole. Cóż to byłby za niefart… Nie została jeszcze przecież oficjalnie przedstawiona w towarzystwie, a Bucwald już widział ją w negliżu.

Gdy wróciła, w salonie panowała niezręczna cisza. Wszyscy siedzieli sztywno przy starym drewnianym stole. Emilia rozstawiła szklanki i nalała do nich wody, a następnie przysiadła z boku.

– Dotąd myślałem, że młodej obywatelce ziemskiej nie przystoi nakrywanie do stołu. Czyżby aspirowała do obniżenia statusu społecznego? – zapytał sarkastycznie mężczyzna, a matka, słysząc te słowa, nerwowe wciągnęła powietrze.

– Panie Bucwald – podjęła babka. – Nie wiem, jakie zasady panowały w pańskiej, domniemywam, rosyjskiej rodzinie, lecz my wychowujemy dzieci z ogładą i należytą starannością. Tak, by nie czuły się ważniejsze niż inni tylko dlatego, że urodziły się w dostatku. Schedą naszej rodziny jest nie tylko posag, ale i służba drugiemu człowiekowi.

Bucwald zaśmiał się w głos, a Emilia przyjrzała mu się baczniej.

Zła sława ciągnąca się za Fiodorem Bucwaldem zdecydowanie nie szła w parze z brzydotą. Zarządca był rosłym mężczyzną, barczystym, ciemnowłosym o pociągłej twarzy, którą zdobiły gęste, długie wąsy oraz kozia bródka, przez co usta zdawały się składać jedynie z dolnej wargi. Sprawiał wrażenie poważnego, inteligentnego i… młodego, choć wiedziała, że jest starszy od niej o przeszło dekadę. Był też na swój sposób przystojny i mógł podobać się kobietom, choć ona opisałaby go jako interesującego. Takiego, co przez wzgląd na ciekawe rysy twarzy, wydatne kości policzkowe, krzaczaste brwi i schowane pod zarostem usta byłby dobrym modelem do nauki malowania portretów. Wszak nie u każdego zdarza się tyle krzywizn na niewielkim skrawku ciała.

– Niechże pani nie myśli, pani Dreznal, że moje imię definiuje przynależność do Imperium Rosyjskiego. Jestem Ukraińcem, zrodzony z ukraińskich matki i ojca. A imię me, Fiodor, na cześć dziada dostałem, zasłużonego carowi, choć osobiście nie utożsamiam się z przeszłością swoich przodków, tak rozmytą we krwi mojej i tak niewartą uwagi.

– Cóż za zuchwałość wypierać się swoich korzeni! – stwierdziła babka z niechęcią.

– Jeśli powody ku temu są znaczące, nie pozostaje mi nic innego.

– W obliczu sytuacji, w jakiej znajduje się naród, każdy rozsądny na pana miejscu korzystałby z tego przywileju, jakim obdarzyli pana rodzice, przeczuwszy, że po Wielkiej Wojnie Rosjanie będą trzymać wszystkich za gardła. A pan, choć chełpi się swoją narodowością, to jednak nie wstydził się zostać sługusem Sowietów.

– Całe szczęście, pani Dreznal, że mamy inne spojrzenie na historię Ukraińskiej Republiki Ludowej. A łaskawy los podarował mi jeszcze inne atrybuty, dzięki którym mogę władać swoim życiem. Tymczasem umizgi względem jaśnie panującej władzy pozostawiam tym, którym są one bardziej potrzebne. A na przyszłość radzę nie zdradzać się ze swoimi poglądami. Mogłoby to przynieść nieprzyjemne konsekwencje.

– Zaiste. – Jonasz wtrącił się do rozmowy, widząc, jak Katarzyna nadyma policzki, wyraźnie niezadowolona z zuchwalstwa Fiodora Bucwalda. – Przejdźmy zatem do sprawy, która sprowadza pana do naszego domu. – Jonasz zmarszczył brwi, przyglądając się kolejny raz kartce, którą dzierżył przed sobą.

– Oczywiście. – Bucwald wypił duszkiem wodę i głośno odstawił szklankę na stół. – Najpierw jednak prosiłbym pana córkę, by uzupełniła szkło – powiedział, pożerając Emilię wzrokiem.

Dziewczyna wstała i bez słowa dolała mu wody, a Bulwald uważnie śledził każdy ruch jej młodego ciała, co nie umknęło uwadze zgromadzonych. Dziewczyna również czuła, że jest obserwowana,

i niemal przestała oddychać. Ciężka aura zawisła nad stołem, a Fiodor uniósł palec wskazujący, wypił kolejną szklankę do dna i nakazał dłonią ponowne uzupełnienie szkła. Emilia w milczeniu go obsłużyła. Bucwald wydawał się zadowolony.

– Niesamowite, jak smaczna może być woda, gdy podają ją tak piękne i smukłe dłonie. Powinny zdobić je klejnoty lub chociaż ażurowe rękawiczki, a nie dzban z ukruszonym uchem.

Babka Emilii przewróciła oczami, matka wbijała w Fiodora lodowate spojrzenie, a ojciec chrząknął, nakazując bezgłośnie córce, by wróciła na swoje miejsce.

– Rozumiem, panie Bucwald, że od dziś mam się rozliczać za grunt z panem – rzekł poważnie.

– W rzeczy samej.

– Wobec tego będę z panem szczery. Sytuacja, z którą ostatnio borykam się w folwarku, sprawia, że nie jestem w stanie dotrzymać warunków, jakie pan dziś przede mną stawia. Będę wdzięczny, jeżeli pozwoli pan, bym przez pana dłonie posłał do komisarza list po prośbie o wydłużenie terminu spłaty. Dziś bowiem…

Bucwald uśmiechnął się złośliwie i chrząknął, zatrzymując Dreznala w pół zdania.

– Zbyt wiele pan oczekuje w zamian za kilka szklanek wody.

– Być może. A jednak liczę na zrozumienie. Ostatni rok był trudny, susza zdziesiątkowała plony, a ziemia, jak zapewne pan wie, to sam piach, więc o nieurodzaj nietrudno. Podatki podniesiono o osiemdziesiąt procent, jednocześnie zaniżając cenę ziarna w skupie. Ponadto doznałem znacznej straty poprzez rozbudowę kolei, która przebiega przez pole. To wszystko…

Fiodor Bucwald uniósł dłoń w uciszającym geście, a Jonasz kolejny raz zamilkł.

– Chyba nie muszę panu przypominać, że to dzięki daninie Malinicze prężnie się rozwijają. Gdyby nie sprawny przepływ pieniędzy, do tak przemyślanej rozbudowy zapewne by nie doszło,

więc pana prośba o odroczenie terminu zapłaty godzi nie tylko w komisarza, ale i przyszłość naszej społeczności. Poza tym jest jeszcze inny czynnik, który stanowi podstawę do odmowy pana prośby. Komisarz bardzo skrupulatnie prowadzi księgi arendy, a zatem zwłoka zostałaby od razu dostrzeżona. A jak pan zapewne zauważył, do miasteczka z roku na rok napływa coraz więcej ludzi, a wielu z nich zaciera ręce na myśl o tym, że panu i innym kułakom powinie się noga i będą mogli zająć wasze miejsce. Jak pan myśli, panie Dreznal, z kim wolałby wtedy współpracować komisarz? Z osobą, która zwleka z płatnościami i ani myśli przystąpić do kołchozu, czy taką, która deklaruje terminowość i lojalną służbę wobec panującego ustawodawcy?

Jonasz westchnął ciężko.

– Źle mnie pan zrozumiał. Zapłacę należność, rozliczając się z każdej kopiejki za zwłokę, ale termin jest zbyt krótki. Poprzedni sekretarz przyjeżdżał zawsze po plonach, gdy sprzedałem już to, co udało mi się zebrać, ale teraz jest na to za wcześnie. Pszenica jeszcze nie nadaje się do zbioru.

– Poprzedni sekretarz nie bez powodu jest dziś bez pracy – odparł Fiodor. – A pan, panie Dreznal, godząc się na przejęcie majątku po swoim ojcu, zdawał sobie chyba sprawę, że to wymaga opłaty. Żadna kwota nie jest zbyt duża, gdy chodzi o życie. A chyba nie muszę przypominać, że pańskie problemy finansowe szybciej się rozwiążą, gdy wstąpi pan do kołchozu. Wystarczy jedna decyzja, by niemalże bez uszczerbku pańska rodzina przeszła przez warunki OGPU[1].

Jonasz spuścił ramiona.

– Dziękuję za propozycję. – Westchnął. – Ale… Kołchoz nie jest dla mnie – odparł ze ściśniętym gardłem. – Zapłacę, ile trzeba, jednak kwoty podatku zmieniają się co chwila i dziś nie mogę tego uiścić, a jak już wspomniałem, poniosłem straty przez kolej. Myślę, że to powinno zostać uwzględnione podczas obliczania zapłaty.

Bucwald obrócił pustą szklankę w dłoniach.

– Czyli teraz podważa pan kompetencje szefa zarządu głównego, który sam zatwierdza wysokość opłat.

– Absolutnie nie. Proszę nie wkładać w moje usta czegoś, czego nie powiedziałem. Zwyczajnie liczyłem na mniejszą kwotę.

– A więc się pan przeliczył. I jeżeli w tak nieprzemyślany sposób zarządza pan majątkiem, zaczynam żywić obawę, że z czasem nie będzie pana stać nawet na odsetki. – To powiedziawszy, Fiodor wstał, głośno szurając drewnianym krzesłem i patrząc z góry na zebranych przy stole. – Chyba że wymyśli pan inny sposób na pokrycie płatności. – Skinął głową i ruszył do wyjścia, prześlizgując się wzrokiem po Emilii.

– Panie Bucwald, proszę zaczekać. – Jonasz ruszył za nim, usiłując coś jeszcze tłumaczyć, lecz ten nie zamierzał już słuchać.

Emilia obserwowała przez okno, jak ojciec podbiega do zarządcy i korzy się przed nim, po czym wydaje się z pokorą przyjmować słowa reprymendy wypływające z ust Bucwalda. I choć nie zdołała usłyszeć ich wymiany zdań, to zgarbiona postawa taty była dla niej wymownym widokiem…

Kiedy Fiodor Bucwald odjechał, Dreznalowie przez jakiś czas trwali w milczącym zawieszeniu. Każde z nich z osobna próbowało oswoić się z sytuacją, której byli świadkami, i znaleźć dla niej rozwiązanie.

– Mówiłam twojemu ojcu, że zarządzanie tą ziemią to największa głupota, jaka przyszła mu do głowy. Przecież od razu widać było, że to jałowe i nieurodzajne, ale on się uparł jak ten wół, bo tanie i jeszcze w Polsce. Nawet rady poprzedniego zarządcy, który twierdził, że zubożał na tym interesie, nie ostudziły jego zapału. Koleją się zachłysnął… Jakby to miało być wybawienie nasze, a teraz co? Ani to nasze, ani polskie, i jeszcze grabią nas z każdej strony! – Katarzyna z niezadowoleniem kręciła głową, patrząc na wysokość opłaty. – Dwieście pięćdziesiąt rubli haraczu za to pustkowie…? Toż to rozbój w biały dzień.

– Teraz i tak nic nie zrobimy. Przecież nie pójdziemy do kołchozu, żeby nam kto naszą ojcowizną zarządzał. – Jonasz sapnął z rezygnacją, patrząc przez okno na długie po horyzont pole, pod którym ziemia z każdym dniem zmieniała się w wysuszony i spękany od upału step.

– Oj, Dobrosław, Dobrosław… – Katarzyna wycedziła przez zęby, wspominając imię zmarłego przed laty męża. – Że też ja głupia zgodziłam się wtedy na tę przeprowadzkę.

– A miała mama inne wyjście? – wtrąciła stryjenka Pelagia, strofując spojrzeniem swoją teściową. – Przecież wszystko nam zabrali po powstaniu styczniowym. Kupno tej ziemi na jakiś czas uchroniło nas od ubóstwa, na które, jak widać, jesteśmy skazani, a i przed Sybirem udało się uciec. – Przeżegnała się naprędce. – Boże, miej w opiece tych nieszczęśników, którzy nigdy stamtąd do domu nie wrócili.

Emilia poczuła nieprzyjemne ukłucie w dole brzucha. Za każdym razem, gdy w jej obecności wspominano o konfiskacie majątku rodzinnego jako karze za udział dziadka i jego starszych synów w powstaniu styczniowym, czuła smutek. I choć w odróżnieniu do swoich rodziców, babki i stryjenki nigdy nie zaznała życia w przepychu, to ciążyła jej świadomość, że przez zryw niepodległościowy pozbawiono ją możliwości doświadczenia luksusów, jakie stały się udziałem jej przodków i obecnych krewnych. Wszystkich, tylko nie jej, bo Emilia była drugą córką Jonasza i narodziła się po grabieży. Zupełnie jakby Jonasz wraz z utratą dziedzictwa został pozbawiony płodności i nie potrafił powołać na świat kolejnego potomka. Ostatnia gałąź drzewa genealogicznego Dreznalów była więc skazana na obumarcie, wszak po kądzieli, jak mawiała babka, dziedziczyło się jedynie ból porodowy.

Wspomnienia dworu należącego dawniej do tej rodziny były niczym baśń, którą karmi się dziecko, by miało dobre sny. Emilia przez lata

chłonęła z babcinych ust słowa tęsknoty i pamięć o tym, co utracone. Katarzyna jednak żywiła nadzieję, że wnuczka poprzez upór i pogłębianie wiedzy znajdzie sposób na odzyskanie majątku. Jednak w dziewczynie rosła wyłącznie niechęć do wszystkiego, co ruskie. Począwszy od języka i zwyczajów, a skończywszy na poznawanych raz po raz restrykcjach, którymi próbowano trzymać jej bliskich w szachu.

Im była starsza, tym coraz bardziej czuła się stłamszona. Powtarzające się co roku klęski nieurodzaju, zubożenie i wizja straty majątku sprawiały, że Emilia chciała działać natychmiast. Bała się, że im dłużej będzie się uczyć, tym trudniej będzie jej pomóc rodzinie, ponieważ zadłużenie rosło w zastraszającym tempie i należało od razu coś zrobić. Za kilka lat może faktycznie nie stać ich będzie nawet na odsetki, tak jak złowróżbnie rzekł Bucwald.

– Będziemy musieli zapłacić – stwierdził Jonasz z rezygnacją, wytrącając córkę z rozmyślań. – Jakoś przeżyjemy, ale trzeba będzie mocno zacisnąć pasa. Zwolnimy ludzi, sami w pole pójdziemy.

– Zrezygnuję z wyjazdu na pensję i zatrudnię się w miasteczku – odparła Emilia. – Mogę też sprzedać obrazy. Ostatnie wyszły mi całkiem nieźle.

– Nie ma mowy! – Babka spiorunowała wnuczkę wzrokiem. – Choćbyśmy mieli się zapożyczyć u lichwiarzy, zdobędziesz odpowiednie wykształcenie i wrócisz nam to, co zabrano. Jesteś naszą ostatnią nadzieją, Emilio. Nie pozwolę, żebyś tu siedziała albo, nie daj Boże, przedwcześnie podjęła pracę jak te chłopki, które przychodzą tu robić za strawę. Choć jak tak dalej pójdzie, ani one, ani my nie będziemy mieć co do garnka włożyć – mruknęła. – Dwieście pięćdziesiąt rubli… – Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ale po co czekać? Nie widzi babcia, że długi już nas podkopują? Lada moment trzeba będzie wszystko budować od nowa.

– Nawet gdybyśmy mieli budować naszą potęgę od nowa, to potrzeba do tego wiedzy, którą tylko ty możesz posiąść. I tylko ty

możesz nam pomóc.

Babka patrzyła stanowczo na wnuczkę, a Emilia spojrzała po twarzach pozostałych członków rodziny, szukając w nich aprobaty.

Ojciec nadal w skupieniu popatrywał na pole, zdając się totalnie pochłonięty swoimi myślami. Stryjenka również była nieobecna duchem, czemu Emilia wcale się nie dziwiła. Pelagia zawsze odpływała myślami, gdy temat rozmowy nawiązywał do powstania. Zapewne teraz wspominała śmierć męża, którego stracono na szubienicy. A matka… Matka jak zwykle siedziała przy stole jak kukła. Bezbarwna. Niema. Emilia patrzyła na nią ze ściśniętym gardłem. Wiedziała, że nie stanie w jej obronie, choć przecież powinna dbać o dobro dziecka, a przynajmniej się za nim opowiedzieć.

Kornelia jednak nie miała w tym domu prawa głosu. Zanim wyszła za Jonasza, służyła jako pokojówka w starym dworze Dreznalów. Nie miała szlachetnych korzeni i ukończyła ledwie cztery klasy szkoły powszechnej, choć Emilia nieraz słyszała od babki, że „jak na taką mimozę, to i tak dobrze”. Dziewczyna nie pamiętała, by mama kiedykolwiek walczyła o swoją pozycję, a tym bardziej o pozycję córki. Z początku zdawało się jej, że kiedy starsza siostra wyjdzie za mąż, matka w końcu skupi uwagę na niej. Na próżno. Kornelia snuła się po domu, nic nie umiejąc, niczego nie rozumiejąc i nie dbając o nic. Przez te wszystkie lata nie zadbała nawet o to, by dla męża bardziej się wykształcić i przestać w końcu dawać babce pożywkę do drwin…

Emilia z biegiem czasu coraz mniej pojmowała zachowanie matki i traciła cierpliwość, by jakkolwiek je usprawiedliwić. Oficjalnie była przecież żoną gospodarza na włościach; tymczasem całym swoim jestestwem wysyłała sygnały, jakoby pozostała cichą, nikomu niewadzącą pokojówką. Permanentnie milczała i była wśród domowników jedynie ciałem. Czasem tylko z jej ust padały pojedyncze słowa, które jednak rozmywały się w przestrzeni – przez Katarzynę niezauważone, przez Pelagię kwitowane sapnięciem,

a przez męża, który za wszelką cenę dbał o to, by jak najwięcej zarobić na plonach, odcinając się od sytuacji rodzinnej, niedosłyszane.

Katarzyna przy każdej możliwej okazji, choć z czasem coraz rzadziej, powtarzała, że nie rozumie, co jej syn widział w pokojówce, nie dbając o to, że tymi słowami zaburza we wnuczkach obraz rodzicielki. „Mógł się przecież wżenić w rodzinę równą statusem społecznym. Może wtedy nie mielibyśmy takich problemów finansowych" – mawiała Katarzyna.

I to akurat Emilia rozumiała aż nadto. W końcu byle jaki posag jest lepszy niż żaden.

Od kiedy Emilia stała się kobietą, a wydarzyło się to raptem kilka miesięcy temu, babka pozwalała sobie na coraz mniej dwuznacznych kąśliwości w stosunku do Kornelii. Jakby problem zaakceptowania synowej zszedł na drugi plan w obliczu wychowania najmłodszej wnuczki na panienkę. Babka stała się dla Emilii mentorką, nauczycielką, ikoną. Jakby czuła, że to ona, nie Kornelia, musi ponieść na barkach obowiązek wykształcenia dziewczyny na kobietę silną, prawą i bezkompromisową. Katarzyna chciała, by wnuczka była pełna majestatu i wdzięku, jak na Dreznalównę przystało. Robiła więc wszystko, by Emilia nie przejęła prostego obycia matki i by nikt się nie domyślił, że są w niej geny chłopki. Już wcześniej przez lata rzeźbiła i szkoliła Emilię, uważając, że żadna guwernantka nie da takiej wiedzy, jaką przekaże jej ona sama. Teraz zaś zaczęła przygotowywać wnuczkę do roli, którą miała odegrać dla dobra rodziny, nie bacząc na to, że swoim zachowaniem uśmierciła więź między matką a córką.

– Ale babciu… Mam jeszcze sporo czasu do wyjazdu na pensję. Może do czegoś się przydam?

– Przyda to ci się podszkolić francuski. Zresztą z niemieckim też na bakier jesteś – skwitowała Katarzyna z powagą.

– Dobrze, babciu – odpowiedziała posępnie Emilia, wiedząc, że niczego nie wskóra.

– Ale zanim siądziesz do lekcji, zerknij, jak kucharka przygotowuje obiad. Nigdy nie wiadomo, co też przyda ci się w życiu, kiedy już całkiem zbankrutujemy. Może wrócisz do matczynych korzeni i będziesz musiała służyć w czyimś domu – wtrąciła Pelagia, nagle ożywiona i jak zwykle skora, by wylać z siebie czarne myśli.

Emilia w odpowiedzi tylko skuliła ramiona i westchnęła, by nie pokazać po sobie, z jaką intensywnością wyobraziła sobie ową wizję.

* * *

Kiedy Fiodor Bucwald pojawił się na obrzeżach dworu Rozwadowskich, słońce stało już wysoko, a parne powietrze dawało złudzenie, jakby człowiek siedział zamknięty w szklarni. Każdy oddech kładł się gorącem na płucach, libera kleiła się do skóry, a odór potu był tak intensywny, że drażnił nozdrza, dotąd obojętne na wydzielane przez ciało zapachy.

Odstawił konia do boksu, łapiąc podejrzliwe spojrzenia stajennych i fornali. I choć żaden nie śmiał się odezwać, Fiodor dobrze wiedział, że zbyt długo jeździł konno. Obiad z pewnością podano już na stoły, a on nie dość, że spóźniony, to musiał jeszcze się odświeżyć przed spotkaniem z Rozwadowską. Wszak nie przystoi mu pokazać się przed kobietą w tak zaniedbanym anturażu.

Szybkim krokiem wszedł do budynku, w którym mieszkała służba uplasowana wyżej w hierarchii dworu. I choć Fiodor nie był pracownikiem we dworze, a urzędnikiem partyjnym i zarządcą terenów na południe od Płoskirowa, to Rozwadowska postanowiła gościć go u siebie. Dzierżył najważniejszą funkcję wśród mieszkańców miasteczka, a mając na względzie fakt, iż Rozwadowskim patrzono na ręce, przyjął jej propozycję. Z początku nie był zadowolony z decyzji hrabiny, ponieważ jechał do Malinicz

z przeświadczeniem, że prócz godnego urzędniczego wynagrodzenia będzie też mógł mieszkać w jednym budynku z Rozwadowskimi – jak pan i szlachcic, nie parobek. Jednak gdy zobaczył, jak przestronne i zadbane jest lokum na najwyższym piętrze służbowego budynku, poczuł satysfakcję. Po czasie uznał też, że to rozwiązanie dużo bardziej komfortowe niż to, przy którym początkowo się upierał.

W znacznym oddaleniu od willi miał sporo prywatności, czego zazdrościli mu kucharze, kamerdyner czy pokojowi mieszkający tuż pod bacznym okiem hrabiostwa. Tu Bucwald czuł się wolny; w willi z pewnością przeszkadzałoby mu napięcie, rozwarstwienie wyczuwalne między dumnymi Rozwadowskimi oraz sprzeczne sygnały, jakie wysyłali tamtejsi ludzie. Tu, z odpowiedniej odległości, mógł spokojnie wszystkiemu się przypatrywać, a i nikt mu przez ramię nie zaglądał, gdy przychodziła pora spisania raportu.

Szybkim, choć nieco ociężałym od narastającego upału krokiem wspiął się po schodach do swojego mieszkania. A kiedy zamknął za sobą drzwi, od razu chwycił po dwa wiadra stojące w sieni i ruszył do prowizorycznej łazienki, na którą składały się ustawiona pośrodku pomieszczenia balia i cynkowana miska na wysokim taborecie, który zamówił jakiś czas temu u stolarza. Liczył, że nabrana rankiem woda ze studni nadal jest chłodna, a kiedy zanurzył w niej dłoń, poczuł ulgę i błogość orzeźwienia. Opłukał się nad balią najostrożniej, jak mógł, oszczędzając wodę, w której zamierzał jeszcze umyć się wieczorem, a następnie włożył wyjściowy strój i zasiadł do stołu, by spisać raport z płatności.

Po chwili na papeterii czerniły się litery złożone w nazwiska wszystkich właścicieli okolicznych ziem. Było ich siedmioro, a Fiodor zapisał je rosnąco, poczynając od właściciela najmniejszego poletka, skończywszy na tym, który uprawiał największe. Systematycznie też dopisywał kwoty podatku, przeliczając pieniądze, uprzednio zebrane i schowane w sakwie. Kiedy skończył, przebiegł wzrokiem po

zapiskach. Tylko przy Dreznalu i wynotowanym na samym dole najbogatszym kułaku Rozwadowskim nie było dopisanej kwoty.

Na ten widok Fiodor poczuł, jak przez jego trzewia przebiega elektryzujący dreszcz.

Spojrzał na wiszący nad łóżkiem niewielki obraz z podobizną swojej matki i uśmiechnął się do niego, myśląc, że oto nastał dzień, którego wyczekiwał od dawna. Przypomniał sobie przyrzeczenie, jakie złożył w dniu jej śmierci, i wydarzenia z ostatnich lat, które upłynęły mu na badaniu ksiąg spisu powszechnego Cesarstwa Rosyjskiego i Królestwa Polskiego z 1897 roku. W tym celu udał się do każdej z dziesięciu guberni, próbując odnaleźć na listach tego szczura, który uciekł spod Wołynia. Tego, o którego istnieniu przez lata nie wiedział, a który skazał go na tułacze, wygnańcze życie.

A teraz, gdy w jego głowie pobrzmiewały echa ich porannego spotkania, zamiast satysfakcji czuł narastające zwątpienie i rosnące dylematy. Był niemal pewien, że Jonasz go nie rozpoznał. Patrzył bowiem na niego jak na obcego i chyba kompletnie nie łączył go z wydarzeniami, które rozegrały się niemal trzydzieści lat wcześniej, a które na zawsze zmieniły Bucwalda. To przeświadczenie sprawiło, że wahał się, co powinien zrobić, a pierwotny plan, zakładający pozbawienie Dreznala majątku, wydał się zbyt prosty. Banalny. Taki, którym Fiodor nie nakarmi głodu zemsty.

Dumał jakiś czas nad tym, co uczynić, a im dłużej się rozwodził, tym wyraźniej uwidaczniała się w jego myślach córka Jonasza.

Emilia – uwodzicielska, pełna wdzięku i majestatu, a jednocześnie skryta. Tajemnicza. I taka… pociągająca.

Fiodor nie zdawał sobie dotąd sprawy, że ktoś tak młody i delikatny może na nim wywrzeć takie wrażenie. Nigdy przecież nie interesowały go niewinne dziewczęta, a w kobietach szukał raczej oparcia. Czegoś, co go ukoi i wypełni pustkę pozostawioną przez przedwcześnie zmarłą matkę.

– Emilia – szepnął, czując dziwną, niespotykaną wcześniej lekkość.

Zdał sobie sprawę, że jeszcze kilka godzin temu nie wiedział nawet o jej istnieniu. A teraz, gdy wspominał jej roznegliżowane, rozświetlone wschodzącym słońcem ciało i usta rozchylone zdumieniem, zrozumiał, że wpadł w otchłań jej uroku.

Zegar wybił dwa razy, upominając Fiodora, że czas ruszyć na spotkanie z hrabiną. Nie przeciągając, dopisał piórem liczbę dwieście pięćdziesiąt przy nazwisku Dreznala, a później z własnych pieniędzy dołożył odliczoną kwotę do stosu banknotów. W myślach widział już Jonasza płaszczącego się przed nim, skrępowanego koniecznością odpłaty i zdolnego na wiele, byle tylko utrzymać folwark. Tego było trzeba Fiodorowi. Władzy i poczucia wygranej. Dopracowanej zemsty, która smakuje jak wieloletnie wino.

* * *

Drewniany, kryty gęstą strzechą dwór Rozwadowskich z racji swoich rozmiarów, licznych wykuszy, ozdobnych balkonów i wspartego kolumnadą wejścia robił na Fiodorze Bucwaldzie ogromne wrażenie. Był jak matka wszystkich folwarków, stworzonych na jej podobieństwo i rozsianych po okolicy, choć wielokrotnie dużo mniejszych, uproszczonych i pozbawionych ozdób, których tu nagromadzono aż nadto. Mężczyzna nie mógł zaprzeczyć, że podoba mu się ta spuścizna po dawnej Rzeczypospolitej. Było w niej coś jednocześnie sielskiego i uporządkowanego. Coś, czego nie widział w dzielnicach złożonych ze starych, krzywych i obdrapanych chat wschodniego ZSRS.

Tymczasem dom Rozwadowskich stanowił w jego oczach kwintesencję tej specyficznej architektury krajobrazu, jaki go otaczał. Podobało mu się w nim wszystko. Do tego stopnia, że coraz silniej pragnął zrobić, co w jego mocy, by przejąć ten budynek.

Do wnętrza prowadził efektowny przedsionek, przy którym co miesiąc zmieniano roślinne aranżacje nasadzone w skrzyniach oraz

donicach. Po lewej stronie z balkonów dumnie spływały kaskadami bujne rośliny. Gdyby Fiodor miał dość władzy i pieniędzy, po przejęciu tego lokum zbudowałby tu oranżerię, w której rosłyby cytrusy, funkie oraz rośliny o wielkich kwiatach, które widział kiedyś w domu jednego z partyjnych kolegów.

Teraz, gdy był już blisko dworu, dojrzał, że lewy brzeg elewacji pokrywa się plątaniną liści winogrona, które pięły się wysoko pod dach, zahaczając o balustradę balkonu. Zdziwiło go to, bo mógłby przysiąc, że ostatnim razem, gdy tędy przechodził, ściana była pusta. Kolejny raz więc oblicze tego domu go zaskoczyło; był tak malowniczy i zmienny jak rozległa przyroda wokół niego.

Kiedy przeszedł przez szklane drzwi frontowe, uderzył go słodki zapach truskawek. Zaciągnął się nim, przywołując we wspomnieniach obraz ciasta drożdżowego, które w dzieciństwie piekła dla niego niania.

Stary kamerdyner pojawił się po kilku mrugnięciach powiekami i skinął głową na powitanie.

– Dzień dobry, hrabina oczekuje pana w gabinecie dziennym – oznajmił, co Fiodor przyjął z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Ruszył przez otwarte pokoje do miejsca, w którym zazwyczaj spotykał się z pracodawczynią.

Dotąd wydawało mu się, że przywykł już do tych wnętrz, które wzmocniono podmurówką, a ściany przeciągnięto gipsem, co sprawiało wrażenie, że jest się w murowanej posiadłości. Choć te zabiegi nie pomogłyby w niczym, gdyby willa zajęła się ogniem, stanowiły jednak wyraz wysokiej pozycji i bogactwa. Niesamowitego wrażenia tych wielobarwnych pomieszczeń dopełniały tapety, nadające klimat pokojom, a także wyszukane dodatki. Zupełnie jakby Rozwadowska co kilka dni wprowadzała do tego domu kolejnego dekoratora, który zmieniał wystrój lub podsuwał nowe, lecz wciąż gustowne elementy dekoracji.

I tak Fiodor szedł równym krokiem, karmiąc oczy kwiecistymi dekorami, portretami członków rodziny, meblami obitymi pluszem, na których spoczywały poduszki w nowych wyhaftowanych poszewkach. Srebrne świeczniki błyszczały od przedzierających się przez okna promieni słońca, rażąc go w oczy, a strzeliste bukiety w pękatych wazach wdzięczyły się do niego kolorami pobliskich pól i łąk.

W kolejnym pomieszczeniu, w prostych awangardowych ramach, które przyozdobiono jedynie cienką, połyskującą linią, pojawiły się fotografie przedstawiające Malinicze. Widniały na nich dwie schodzące się drogi żelazne, młyny, magazyny, spichlerze oraz nowy dworzec kolejowy w Płoskirowie, który postawiono ledwie trzy lata wcześniej: potężny ceglany gmach z dwiema wieżyczkami i ozdobnym frontowym wejściem. Fiodor słyszał, że budynek zimą ogrzewany był parą, lecz wydawało mu się to nierealne. Bo jak parą, skąd niby? Miał nadzieję, że będzie mu dane zobaczyć ów cud techniki na własne oczy.

Teraz jednak musiał przyspieszyć kroku, bo o ile dobrze dosłyszał z gabinetu mieszczącego się w prawym skrzydle domu, Rozwadowska upominała się o niego. Sakwa z pieniędzmi pobrzękiwała w kieszeni kamizelki, a koszula znów kleiła się do pleców. Przeklęty upał nawet w domu nie dawał za wygraną, choć próbowano otwartymi na przestrzał oknami wywołać przeciąg.

Przez uchylone drzwi zobaczył Rozwadowską. Siedziała w fotelu, wpatrując się w coś z nietęgą miną.

– Moje uszanowanie – rzekł, wchodząc i schylając głowę w geście powitania. – Proszę wybaczyć spóźnienie, lecz kułacy rozsiani po polach, nieraz z rolnikami przy pracy…

– Nigdy więcej nie waż się spóźniać na spotkanie ze mną.

Fiodor zatrzymał się w pół kroku, zaskoczony jej nagłą reakcją. Wstrzymał oddech, by nie wybuchnąć wściekłością, bo przecież dysponował odpowiednimi środkami, by raz na zawsze odesłać tę rozkapryszoną kobietę tam, gdzie jej miejsce. A jednak uporczywa

myśl podpowiadała mu, że nie warto tracić cierpliwości. Raz już podpadł przełożonemu; na podstawie jego lichych pomówień wysłano do łagru mężczyznę. Później rodzina tego burżuja za wszelką cenę próbowała udowodnić jego niewinność, przez co Bucwald znacznie nadszarpnął swoją reputację w kręgu partyjnych kolegów.

– Proszę wybaczyć – ukorzył się. – Kamerdyner twierdził, że pani mnie oczekuje.

Hrabina patrzyła na Fiodora z obrzydzeniem, jakby był karaluchem zmierzającym po wyłożonej tapetą ścianie. Zmrużyła lekko oczy, a on zastanawiał się, czy właśnie planuje go rzucić na pożarcie swoim psom, które warczały na niego, siedząc przy jej krześle. W końcu uniosła brew i westchnęła, jakby uświadomiła sobie, że jeśli spadnie mu włos z głowy, ona całkiem straci swoją.

– Mimo to nie powinieneś chować do kieszeni zasad savoir-vivre'u.

– Postaram się zapamiętać.

Fiodor posłał jej szyderczy uśmiech, a ona nakazała mu zasiąść do stołu. Nie zdecydował się jednak, widząc obite pluszem krzesło, lecz podszedł bliżej i przysunął w jej stronę listę z nazwiskami, po czym położył na niej sakwę z pieniędzmi.

Popatrzyła na to i delikatnie skinęła głową.

– Oponowali?

Fiodor się zawahał. Nie spodziewał się takiego pytania; postanowił jednak powiedzieć prawdę, wiedząc, że aby dopiąć celu, musi zaskarbić sobie względy Rozwadowskiej.

– W większości tak.

Ponownie uniosła brew.

– Ale zapłacili?

– Tak, choć Dreznal nalegał na wydłużenie terminu spłaty.

– Co mu tym razem nie pasowało? – Wwierciła się w niego spojrzeniem, jakby chciała się upewnić, że nie skłamie.

– Kolej. Narzekał, że przez budowę torów, które przecinają jego część pola, poniósł straty. Jednak nie dałem temu wiary. Wszak nigdy nie słyszałem, żeby przez hałas zboże nie rosło.

Hrabina parsknęła śmiechem, a Fiodor poczuł, że udało mu się nieco ocieplić zimną jak lód atmosferę.

– Najważniejsze, że poradziłeś sobie z nim, jak należy. A co w miasteczku? Jakieś konflikty między kupcami?

– Nic niepokojącego. Notujemy znaczny wzrost napływającej ludności. Przygotowałem też listę wniosków w sprawie budowy kolejnych sklepów. Niektóre planowane na wyrost, lecz wszystkie zakładają budynki murowane, które napędziłyby pracę pobliskich cegielni, co będzie miało duży wpływ na rozwój przemysłu. Myślę więc, że warto się nad nimi pochylić. Ale co najważniejsze, przyszła pora na zmiany. Tu, w Maliniczach.

Słysząc te słowa, kobieta wyraźnie spochmurniała, a Fiodor poczuł się niepewnie. Wydawało mu się, że sprawi Rozwadowskiej przyjemność, jeśli połechce jej ego, tymczasem ona zdawała się z nagła oklapła.

– Cóż to za zmiany? – zapytała bez entuzjazmu.

– Daniny to jedno, ale w oczach władzy nie wystarczą. Sowiecki system to nie to samo co Rzeczypospolita, a pani nie dość, że szczyci się tytułem, którego w oczach władzy mieć nie powinna, to jeszcze nie daje przykładu okolicznym chłopom. Nalegam, by przystąpiła pani do kołchozu. Nie pobiorę wtedy daniny, a pani i w oczach rządzących się wybieli. Może nawet zapomną o pani występkach.

Rozwadowska wstała, odłożyła listę na stół i podeszła do okna. Przez chwilę dumała, patrząc na ogród, który rozpościerał się przed dworem.

– A jakież ja mam występki wobec władzy, panie Bucwald? Wspólnie z mężem stworzyłam tu coś, czego wyście nie potrafili urządzić w żadnej parafii na Wschodzie. Takich Malinicz od zawsze pragnął mój mąż, więc niby czemu miałabym teraz przekazać to

władzy? By ktoś, kogo kompetencji nie znam, zarządzał moją ziemią? Tak jak zarządzali moi sekretarze? Komuż wtedy byłabym potrzebna?

– Co ma pani na myśli?

Jej wzrok błądził po rabatach, aż wreszcie spoczął na nieboskłonie nad Płoskirowem, które rozwijało się w zawrotnym tempie. Fiodor pomyślał, że Rozwadowska obawia się wpisania swoich dóbr w granicę tego miasta lub może – wzorem wschodnich zarządzeń – oddania ziemi chłopom, co mogłoby znacznie zubożyć jej majątek. Słyszał już o takich sytuacjach, które coraz częściej zaczynały spotykać pozostałą w ZSRS polską szlachtę.

– Czasem się zastanawiam, czy gdybyśmy dawniej wiedzieli to, co wiemy teraz, odważylibyśmy się na takie przedsięwzięcia. Czyż nie wykazujemy się głupotą, zakładając się z życiem o wszystko, podczas gdy to nie powinno być nasze miejsce na ziemi?

– Nadal ogromną zuchwałością jest pragnąć cech boskich, kiedy posiada się już wszystko, co ziemskie. Nawet Stalin, niech jego chwała trwa wiecznie, nie ośmiela się na taki krok.

Rozwadowska przerzuciła na Fiodora poirytowane spojrzenie.

– Wy, Ukraińcy, choć wierzycie w tego samego Boga, zupełnie inaczej pojmujecie życie. Czy intuicja, która podpowiada ucieczkę w czasach zagrożenia, jest cechą boską? Czyż nie jest to szept anioła stróża, który ma nas chronić?

– Nie rozumiem, o jakim zagrożeniu pani mówi – odparł Fiodor, zgrywając nieobeznanego w temacie, choć od dawna śledził poczynania wszystkich klas społecznych multikulturowego Podola i dobrze wiedział, co czeka hrabinę, jeśli nie zacznie podrygiwać w takt rosyjskiej pieśni.

Rozwadowska przez dłuższą chwilę patrzyła na jego ogorzałą twarz, jakby szukała na niej oznak fałszu. Po chwili jednak opuściła gardę i uciekła wzrokiem w bok.

– To nawet lepiej – odparła zrezygnowana. – I oby nigdy nie pojawiły się w panu wątpliwości co do mojej postawy. A jeśli chodzi o kołchoz, zastanowię się jeszcze. Może pan odejść, panie Fiodorze. Na pewno jest pan zmęczony. W drodze do drzwi proszę jeszcze zajść do kuchni po strawę. Poleciłam przygotowanie posiłku dla pana.

– Oczywiście.

Fiodor nieznacznie skinął głową i odszedł, posławszy kobiecie uśmiech, choć w duchu nadal próbował wyłuskać sens z jej słów. Wyrzucał sobie, że w ciągu ostatnich dni wydarzyło się coś, co uszło jego uwadze, a o czym jak najszybciej powinien zdać raport swojemu przełożonemu.

Gdy dotarł do kuchni, wszystko stało się jasne. Z plątaniny szybko wyrzucanych przez kucharki polskich słów zrozumiał, że rankiem hrabina dostała list, z którego wynikało, iż rodzina kuzynki Rozwadowskiej, dotąd zamieszkująca pod Kijowem, niespełna dwa tygodnie temu została wywieziona przez NKWD w nieznanym kierunku i jak dotąd nie dała znaku życia. A i hrabia zapadł się pod ziemię.

Gwar w pomieszczeniu sprawiał, że Fiodor czuł się coraz lepiej. Zupełnie jakby naelektryzowany strachem tlen ładował jego ciało. Zmęczenie zniknęło bezpowrotnie, a on nie myślał już o niczym więcej, jak tylko o tym, że jest coraz bliżej chwili, gdy na jego oczach rozegra się krwawy spektakl. A gdy się zakończy, on będzie mógł przejść po zgliszczach i zabrać to, co mu się należało za jego ciężką pracę.

* * *

Tender był do połowy wypełniony czarnymi bryłkami, które wysypywały się, gdy Stanisław Adamiec, stojąc na granicy niewielkiej

budki maszynisty, machał równo łopatą, nabierając węgiel. Następnie obracał się za siebie i wrzucał go do skrzyni.

Pot kapał mu z czoła pod naporem pracy i przenikliwych spojrzeń nowego kierowcy pociągu, Maćka Fleszara. Gorąca para coraz gęściej wypełniała niewielkie pomieszczenie, aż mężczyźni znaleźli się w obłoku, zupełnie zdezorientowani. Maciek zdawał się nawet nieco wystraszony dymem w kabinie, choć Stanisław domyślał się, że winowajczynią całej tej sytuacji jest przepustnica kontrolująca ilość pary dostającej się do tłoków, która na tak długim odcinku drogi mogła ulec uszkodzeniu lub znów, jak ostatnim razem, zwyczajnie się zacięła i przez to para, zamiast w całości wylatywać przez komin, wracała do środka, ograniczając widoczność. Stanisław jednak nie przejął się tym zbytnio; pamiętał wiele poważniejszych awarii.

Jeszcze przez chwilę przerzucał węgiel, bo wiedział, że trzeba zwiększyć efektywność i moc silnika, by jak najszybciej dojechać do stacji w Płoskirowie. Gdyby pociąg stanął w szczerym polu, nic już nie mogliby zrobić. Maciej w tym czasie sprawował kontrolę nad parowozem, obsługując wajchy. I tak pociąg osobowy sunął po torach, umożliwiając pasażerom podróż nowoczesnym środkiem transportu.

Kiedy mijali zabudowania Malinicz, Staszek odetchnął z ulgą. Lada moment dojadą do Płoskirowa, gdzie pociąg kończył bieg. Oparł łopatę o biodro, wolną dłonią złapał za poręcz przy drzwiach kabiny i wystawił głowę na zewnątrz. Zaciągnął się orzeźwiającym zapachem sosnowego lasu, który okalał ziemie Rozwadowskich, a gdy słońce znów oświetliło mu twarz, otworzył oczy i zobaczył ciągnącą się aż po horyzont łąkę miododajnych kwiatów, po której w nierównym szyku przechadzały się kobiety, raz po raz zrywając rośliny i wrzucając je do wiklinowych koszy. Obserwował je tak samo jak mężczyźni skryci w cieniu lasu, którzy doglądali pracy zielarek zbierających zioła na napary dla hrabiny Rozwadowskiej, która, jeśli wierzyć lokalnym plotkom, od lat cierpiała na bóle żołądka.

Nierówności społeczne na tym obrazku były aż nadto widoczne: kobiety niczym niewolnice, skulone i zgarbione, rwały rośliny na spiekocie, co jakiś czas się podnosząc i poprawiając mokre od potu chustki na czole, podczas gdy mężczyźni odpoczywali w cieniu bukowego listowia.

Pociąg szarpnął, więc Staszek szybko obrócił się przez ramię. Fleszar trudził się przy kombinacji ruchów przy wajchach i dźwigniach, by zmusić maszynę do hamowania. Stanisław wiedział już, że maszynista zabrał się do manewru zbyt późno, bo stacja była bardzo blisko, a oni nadal jechali z pełną prędkością. Zmarszczył brwi, widząc, jak na twarzy Maćka maluje się mieszanina strachu i wściekłości. Pomyślał, że trudno będzie im teraz poskromić tę mechaniczną bestię, zwłaszcza że chwilę wcześniej obficie nakarmił piec węglem. Wiedział jednak, że nic już nie może poradzić. Przez otwarte drzwiczki paleniska widział, że węgiel się już żarzy.

Hamulec dociśnięty do wszystkich kół spowalniał ich obrót, więc pociąg sunął teraz po torach z głośnym piskiem, ale nadal prąc przed siebie. Kierowany doświadczeniem Staszek, wiedział, że aby zatrzymać skład, potrzeba kilkuset metrów, a oni byli już tak blisko stacji… Strach o bezpieczny postój zaczął udzielać się i jemu. Wykolejenie przy takiej prędkości było pewne jak to, że po nocy przychodzi dzień; chłopak żywił jednak dziwne przekonanie, że nie może umrzeć w katastrofie komunikacyjnej. Miał dopiero dwadzieścia lat i całe życie przed sobą.

Koniec torów był coraz bliżej; Staszek na ten widok chwycił mocniej poręcz i zacisnął zęby. Pociąg sunął coraz wolniej, szansa na poskromienie parowozu minimalnie wzrosła, lecz ta żelazna droga nadal wydawała się zbyt krótka, by udało im się w porę zahamować… Kiedy tory zniknęły z pola widzenia, lokomotywa, grzęznąc kołami w ziemi, wciąż sunęła przed siebie, aż w końcu mocne szarpnięcie wstrząsnęło kabiną maszynisty. Zgrzyt ustał, zastąpiły go wrzaski i lament. Maciek ze Staszkiem spojrzeli po sobie.

Zdawali sobie sprawę, co się stało, i w równym stopniu zdenerwowani obawiali się konfrontacji z podróżnymi. Po chwili pasażerowie zaczęli wychodzić na zewnątrz, głośno wyrażając swoje oburzenie. Wyszli więc i oni, starając się odseparować od krzyków, choć na widok lokomotywy, która zatrzymała się kilkadziesiąt metrów za końcówką torów, ścisnęły im się gardła.

– Nie jest źle – powiedział Staszek po chwili, chcąc rozładować napięcie, lecz nowy maszynista zdawał się go nie słyszeć. W otępieniu patrzył na przednie koła napędowe zatopione w piaszczystej ziemi.

Obaj wiedzieli, że teraz są już skończeni i w najlepszym wypadku zostaną wyrzuceni z pracy. W milczeniu wrócili do lokomotywy, zabrali dokumenty przewozowe i udali się do naczelnika stacji kolejowej, Bazylego Raskazowa, by rozliczyć się z odbytej podróży.

* * *

Wystarczyło, że przestąpili próg stacji w Płoskirowie, by w środku zaczęło wrzeć jak w kotle.

– Czy wyście całkiem oszaleli?! – Wściekły wrzask poniósł się po ceglanym korytarzu, a po chwili z ciemnego holu wyłoniła się postać Raskazowa. – Wy prostaki, wy łajdaki, wy durnie!

Szedł szybko w ich stronę, tupiąc podkutymi butami o wykafelkowaną podłogę. W granatowym sztywnym uniformie i z purpurową ze wściekłości twarzą wyglądał jak bryłka węgla, która na czubku zajęła się żarem. Piorunował wzrokiem obu mężczyzn, a jego czarne jak sadza tęczówki wypełniała buzująca wściekłość.

– Naczelniku Raskazow, nastąpiła awaria – zaczął Maciek, miętoląc w dłoniach czapkę i dokumenty z odbytej trasy.

Ten jednak nie zamierzał z nim rozmawiać i bez słowa wymierzył Maćkowi siarczysty policzek.

– Zejdź mi z oczu, psie – wycedził przez zęby, po czym pchnął mężczyznę i wyszedł na peron. – Jasna cholera! – rozległo się na dziedzińcu.

Pozostali urzędnicy jak na rozkaz ruszyli za swoim naczelnikiem, porzucając obowiązki.

– *Blat! Job twoju mać!*[2] – krzyczeli na widok lokomotywy.

Staszek z Maćkiem po chwili też wyszli z budynku. Nie pobiegli jednak za naczelnikiem jak Rosjanie, ale przystanęli z boku, w pewnej odległości od gapiów. Tu czuli się bezpieczni, choć przekleństwa i oznaki ekscytacji wywołanej incydentem docierały do ich uszu.

– Jesteśmy skończeni – szepnął pobladły Maciek, patrząc tępo na urzędników obchodzących lokomotywę.

– Być może – odparł Staszek i zerwał źdźbło trawy, po czym zagryzł je w ustach, próbując się uspokoić.

– Być może? Przecież już po nas! Mogą nas za to zamknąć albo wysłać do gułagu.

Staszek posłał koledze pełne politowania spojrzenie.

– Bo hamulec nie odbił?

– Jaki hamulec?

– Ten, który spowodował to zdarzenie.

Maciek patrzył na Staszka z wyrazem konsternacji na twarzy.

– O czym ty mówisz? Dobrze wiemy, że nie wyhamowałem.

– My tak, oni nie.

– Zarządzają stacją! Jak niby mieliby tego nie wiedzieć?

Stanisław spojrzał na maszynistę spode łba.

– Dużo się jeszcze musisz nauczyć o Rosjanach, Fleszar. Zerwij sobie trawkę, odsapnij trochę i pozwól, żeby ta sprawa rozwiązała się sama. A, i jeszcze jedno: nie odzywaj się, nim Raskazow nie zada ci pytania. Tak będzie lepiej dla twojej twarzy, a zwłaszcza dla zębów.

– Żeby rozwiązała się sama? – Maciek prychnął. – Na świecie nic jeszcze nie rozwiązało się samo. Nawet w zasupłanym sznurowadle splot rozluźnia się tylko dlatego, gdy ruszasz nim lub butem.

– Nie filozofuj mi tutaj, Fleszar. Jeżdżę tą trasą od trzech lat i wiem, jakimi idiotami są ci urzędnicy, więc jeśli chcesz wyjść z tej sytuacji bez obrażeń, to z łaski swojej posłuchaj się rady kolegi z większym doświadczeniem.

Maciek umilkł, choć nadal był biały na twarzy, jakby go ktoś mąką obsypał. Nie odzywał się jednak, tylko patrzył tępo na miejsce zdarzenia, co jakiś czas nabierając duży haust powietrza, jakby zwykły oddech mu nie wystarczał.

Po godzinie, kiedy już Rosjanie obeszli parowóz ze wszystkich stron i dotarło do nich, że nie są w stanie nic zrobić, Raskazow ruszył w stronę budynku. Kiedy był już blisko, warknął do stojących na uboczu Polaków:

– Do gabinetu!

Szli za naczelnikiem z duszą na ramieniu; Staszek starał się udawać, że zupełnie nie przejmuje się sytuacją, lecz w rzeczywistości drżał w duchu. Udzieliła mu się nerwowość Maćka i dotarło do niego, że jeśli dobrze nie rozegra tego spotkania, rzeczywiście może być z nimi krucho. O ile w ogóle Raskazow zechce rozmawiać z nim, a nie z Fleszarem. Miał nadzieję, że naczelnik nie zacznie maglować nowego maszynisty, który ze zdenerwowania ledwo trzymał się na nogach. Staszek odrzucał od siebie myśli o zsyłce na Sybir, do gułagu lub więzienia; uważał, że taka kara nie jest prawdopodobna. Co innego utrata pracy; ta wizja, w chwili, gdy z robotą i tak było krucho, sprawiała, że oblewały go poty. Próbował jednak zachować zimną krew, zastanawiając się, co na jego miejscu zrobiłby jego dziadek, który przecież spędził piętnaście lat na zesłaniu za udział w powstaniu styczniowym i nieraz snuł opowieści o tym, jak wywinął się z rąk zaborcy. A po otrzymaniu wieści o śmierci swojego syna

w Wielkiej Wojnie za punkt honoru obrał nauczenie wnuka, jak postępować z wrogiem.

Gabinet Raskazowa był niewielki, dość skromnie urządzony, choć nie brakowało tu kilku ekskluzywnych bibelotów. Obok wypełnionej petami kryształowej popielniczki leżała pozłacana zapalniczka, a dalej piętrzył się stos kartek zapisanych na maszynie. Gustowny zegar w drewnianej skrzyni o złotej tarczy i błyszczącym wahadle przesłoniętym kolorowym witrażem wybił pełną godzinę i Raskazow jednym mocnym uderzeniem go powalił. Oderwane wahadło potoczyło się po podłodze niczym wielka moneta i po chwilowych wariacjach opadło z brzękiem.

– *Blat!* – wrzasnął Rosjanin, waląc w złości pięścią w witrynę.

Książki i bibeloty zakołysały się na półkach, lecz uderzenie widocznie było zbyt słabe, by mebel upadł na podłogę. Raskazow wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i pospiesznie wyjął jednego. Nadal jednak w złości nie panował nad odruchami, ponieważ kilka szlugów wypadło na stół. Przez chwilę walczył z zapalniczką, a kiedy odpalił papierosa, mocno zaciągnął się dymem. Tytoń wyraźnie chłodził żar jego ciała.

– I co ja mam teraz z wami zrobić, szczury? – warknął.

– Zagonić do pracy – wypalił Stanisław.

– Chyba w łagrze!

Maciej się wzdrygnął, a po jego bladej skroni popłynęła strużka potu. Stojący obok niego Stanisław, sztywny i dumny jak wysokie drzewo, ani drgnął; wiedział, że jeśli zachowa trzeźwość myślenia, zdoła odpowiednio rozegrać to spotkanie. Dotąd miał z Raskazowem wiele sprzeczek i wiedział, że naczelnik z natury jest osobą wybuchową, a jego furia przypomina erupcję Etny z 1928 roku, o której czytał w prasie. Kiedy pierwsze wybuchy znajdą ujście, złość wypłynie w jego słowach, temperatura ciała się ustabilizuje, a przez rozum zacznie przepływać światło myśli.

– Racja, naczelniku – rzucił z żołnierską butą.

W oczach Raskazowa pojawił się niezidentyfikowany błysk, a Maciej Fleszar zachwiał się, słysząc słowa kolegi. Ciemne jak sadza oczy na tle białej niczym wymalowane wapnem rzędy młodych jabłonek twarzy patrzyły tępo na Stanisława, nie dowierzając w to, co się dzieje. Sam jednak wyraźnie nie miał odwagi ni pomysłu, by zmienić bieg tej rozmowy.

– Coś ty powiedział? – zapytał Raskazow, a w jego głosie zawibrowały nuty niedowierzania.

– Że zgadzam się z panem, panie naczelniku. Za ten występek należą nam się łagry o najsurowszym rygorze. Jesteśmy bowiem odpowiedzialni za zniszczenie powierzonego mienia, o które jako Polacy wyjątkowo winniśmy dbać. Proszę wybaczyć ten incydent, przez który może pan stracić poszanowanie panującej władzy, i pozwolić nam naprawić swój błąd, nim informacja o nim pójdzie dalej.

– Jak śmiesz ze mną negocjować, ty tępa gnido?! – wrzasnął w złości Raskazow, choć już nie tak głośno, jak chwilę wcześniej.

– Ma pan rację, to było niestosowne. Proszę zatem od razu wysłać nas do miejsca karnego i polecić pańskim podwładnym posprzątanie tego bałaganu.

– Ty śmieciu! Żaden z moich ludzi nie będzie sobie brudził rąk waszym spierdoleniem!

Staszek zacisnął mocno zęby, starając się nie patrzeć na wybałuszone oczy Raskazowa oraz usta, z których wraz z rosyjskimi przekleństwami wystrzeliwały kropelki śliny. Gdyby zerknął teraz na zwierzchnika, mógłby nieopatrznie się uśmiechnąć.

– I z czego się śmiejesz, do cholery! – Raskazow poprawnie jednak zinterpretował ten grymas.

– Kto? – Staszek obrócił się ostentacyjnie. – Nikt się nie śmieje, naczelniku.

– Nikt, naczelniku – wtrącił się Maciej, drżąc jak osika.

– Wypierdalać mi stąd! Do jutra ma to być posprzątane, bo jak nie…

– Oczywiście, naczelniku.

Staszek kiwnął głową, obrócił się na pięcie i pociągając Maćka za łokieć, wyszedł z gabinetu. Przestępując próg, fartem uniknęli ciosu popielniczką, którą rzucił za nimi Raskazow, a która spadłszy na posadzkę, roztrzaskała się w drobny mak.

Szybkim krokiem przemierzyli długi korytarz, wyszli z budynku, a następnie przebiegli przez tory, by skryć się w cieniu zagrzebanej w ziemi lokomotywy i przywrócić nie tylko oddech, ale i rezon.

– Co robimy? – spytał Maciek na skraju płaczu.

– Jak to co? Spierdalamy! – odparł Staszek i rzucił się biegiem w las, na wschód w stronę Malinicz. W stronę Rzeczypospolitej. Ku drodze prowadzącej do domu.

* * *

– Wszystkie zarzuty, jakie od lat kierowałam pod adresem twojej matki, zawierają się w tym, co właśnie widzę przed oczami – rzekła Katarzyna, po czym westchnęła z rezygnacją, opierając dłoń o parapet.

Pelagia na te słowa odłożyła na stolik robótkę i podeszła do teściowej; w ruchach stryjenki Emilia dojrzała te same sztywne maniery, które babka próbowała wpoić i jej.

– Mój Boże. Nie godzi się… – Stryjenka przysłoniła usta dłonią. – Mamo, pozwól, proszę, że pójdę i przemówię jej do rozsądku.

– Obawiam się, że będzie to kolejna zbyteczna próba wskrzeszenia tego, co w mojej i twojej rodzinie przechodziło z pokolenia na pokolenie. Kornelia wydaje się całkiem pozbawiona przytomności.

– Przytomności? – Emilia zerwała się z krzesła i podbiegła do okna.

– Umysłu. – Babka przewróciła oczami. – Przytomności umysłu.

– Jak można tak robić? – Pelagia kręciła głową z niedowierzaniem. – Na nic lata spędzone wśród inteligencji. Jej dusza należy do chłopów!

Emilia spojrzała przez okno.

Mama wydawała się szczęśliwa. Śmiała się i rozmawiała żywo z kobietami, które układały chochoły ze zbóż ściętych przez robotników. Pochylała się nad nimi, by zawiązać sznurki, a gdy kobiety coś opowiadały, patrzyła im w oczy. Nie przeszkadzało jej, że są brudne, śmierdzą i noszą łachmany. Zdawała się nie dostrzegać też ich bosych, zakurzonych stóp. Rozmawiała z nimi tak, jakby była im równa. Jakby była jedną z nich.

A jednak biel jej sukienki kontrastowała z ich poszarzałymi, od dawna niezmienianymi ubraniami. Spięte w kok orzechowe włosy wyróżniały się wśród wypłowiałych od słońca chust, spod których wymykały się tłuste kosmyki. I w końcu cera – jasna, świetlista – była jak pąk lilii między zakurzonymi brązowymi kartoflami.

– Zamknij usta, Emilio – upomniała dziewczynę babka. – Damie nie przystoi tak ich rozdziawiać. Mimika twarzy jest bardzo ważna i powinnaś już nad nią panować. Zwłaszcza w zaskakujących sytuacjach.

Emilia zacisnęła wargi. Chciała odgryźć się babce, rzec, że ta z wiekiem powinna nauczyć się panować nad językiem, by nie strzępić go na jej mamę, lecz nie odważyła się na taki krok. Nie potrafiła sprzeciwić się babce, nawet gdy czuła, że jej zachowanie ją rani.

Spojrzała tylko na babcine dłonie, splecione w koszyczek i przyciśnięte do talii, jak gdyby miały swoim ciepłem złagodzić bóle brzucha. Długie, smukłe palce z zadbanymi paznokciami były wolne od biżuterii. Na ten widok Emilia przypomniała sobie babcine ubolewania nad tym, jak to Katarzyna musiała spieniężyć wszystkie cenne pierścionki, by utrzymać rodzinę w popowstańczej rzeczywistości. Przemawiało przez nią swego rodzaju melancholijne

przygnębienie, w którym jednak pobrzmiewała duma, jakoby to właśnie Katarzyna uratowała bliskich przed zapaścią. Nie było to zresztą jedyne poświęcenie, wszak babka zawsze podejmowała ryzykowne i śmiałe decyzje, które okazywały się jedynym ratunkiem. Właściwie stała się dla Emilii wzorem do naśladowania.

– Usiądź przy stoliku – zaleciła teraz, a Emilia pokornie skinęła głową. – Spotkanie towarzyskie już w tę sobotę, nie ma co marnować cennego czasu na obserwowanie prostactwa i braku kultury.

– Pamiętaj tylko, jak masz usiąść – wtrąciła się stryjenka. – Bo jak wstać i z gracją podejść do okna, to już zapomniałaś.

Emilia zagryzła zęby i powoli odsunęła się od okna, powtarzając sobie w myślach, by usiąść swobodnie, lecz delikatnie, bez opadania na mebel niczym jakiś niechluj. Ma siadać miękko, ze sztywną postawą. I musi uważać, żeby się nie zgarbić. Pamiętać, aby stopy trzymać przy sobie, lewą lekko wysuwając w przód, i jednocześnie dbać o to, by uda się stykały. Ręce najlepiej położyć na kolanach i siąść tak blisko stolika, by nie musieć podnosić się, gdyby naszła ją ochota na napicie się herbaty.

Pod bacznymi spojrzeniami Katarzyny i Pelagii czuła się jednak spięta, a każdy krok zdawał się jej samej okropnie słoniowaty. Mimo to, o dziwo, nie usłyszała jak zazwyczaj pełnych zniecierpliwienia sapnięć. Nie wyczuła też niezadowolenia, które babka dotąd wyrażała z powodu jej niewłaściwego chodu czy krzywej postawy. Utrzymawszy pozycję, szła prosto, nie gapiąc się po ścianach, nie śledząc zegara ani bibelotów ustawionych na komodzie, skupiwszy wzrok jedynie na celu.

Przystanęła przed krzesłem, po czym odsunęła je lekko, niemal bezszelestnie. Wsunęła pod nie jedną nogę i siadła z gracją, nie opierając się, ale zostawiając przestrzeń między plecami a oparciem. Następnie przysunęła się do stołu. Wreszcie zrobiła to przy

zachowaniu odpowiedniej odległości i jej nadgarstki spoczęły na rancie stołu. Tak jak powinno być. Idealnie.

Niezauważenie wypuściła z nozdrzy powietrze, oblekła twarz w lekki uśmiech, po czym sięgnęła po filiżankę i upiła łyk herbaty.

– Tak, właśnie tak – rzekła babka z aprobatą. – Jesteś gotowa.

Wraz ze stryjenką patrzyła na Emilię z zadowoleniem, dumna z trudów, jakie włożyła w wyszlifowanie jej manier. Jednak dziewczyna nie potrafiła się cieszyć ze spełnienia tych oczekiwań. Czuła, że w rękach babki i stryjenki jest marionetką, której chcą użyć do własnych celów. Coraz lepiej zaczynała pojmować zasady gry, która miała zapewnić dobro jej rodzinie, lecz ją skazać na nieszczęście.

* * *

Fiodor Bucwald rozwarł powieki i widząc, jak wczesna jest jeszcze godzina, zarzucił poduszkę na głowę. Jednak mimo to do jego uszu nadal docierały dźwięki rozmów, szurania, wbiegania i zbiegania po schodach oraz ogólnego harmidru.

Zły zerwał z siebie poduszkę i cisnął nią w głąb pokoju. Nie znosił, kiedy ktoś zakłócał mu sen. A już zwłaszcza działali mu na nerwy ci parszywi obszarnicy. Miał serdecznie dosyć tej przykrywki, która urągała jego pozycji i poczuciu własnej godności.

– Niech to szlag! – warknął, słysząc metaliczny brzdęk spadających sztućców.

Musiał jak najszybciej zrobić coś, by znów przysłużyć się władzy i wrócić na właściwe miejsce. Ta zsyłka na dziki zachód niczemu nie służyła. Co najwyżej skutkowała kolejnymi wrzodami żołądka, naciekającymi od żółci, którą czuł w ustach za każdym razem, gdy musiał znosić widok tych wszystkich Polaków, szczycących się swoim pochodzeniem, jakby byli lepsi od Rosjan i Ukraińców. Lepsi od niego.

Zwlókł się z łóżka, po czym spojrzał przez okno, zastanawiając się, któremu z robotników powinien zwrócić uwagę. Najchętniej doniósłby na nich wszystkich do sekretarza politbiura, by odpowiednie formacje zrobiły z nimi porządek. Na każdego by coś wymyślił, a potem patrzył z rosnącą satysfakcją, jak znikają mu sprzed oczu raz na zawsze.

Rozległy dwór Rozwadowskich jaśniał dumnie nieopodal, a promienie słońca, które cienką strużką oświetlały jego front, przyciągnęły uwagę Bucwalda. Tylko ten widok trzymał go jeszcze w ryzach i trzeźwił zapał jego nienawistnej myśli. Kiedy to wszystko się skończy, będzie mógł zasiąść na tych włościach jak pan. Jak ten, któremu się one należały od dawna.

Po chwili spuścił wzrok na zielony trawnik między jego lokum a dworem Rozwadowskich. Chłopi przystrajali go licznymi kwietnymi girlandami, ustawiali stoliki i ażurowe krzesła, w cieniu rozwijali koce dla dzieci. Na ten widok poczuł nieprzyjemne gniecenie w brzuchu.

Piknik.

Jak mógł zapomnieć, że to właśnie na dzisiejsze przedpołudnie zapowiedział zebranie, by kolejny raz spróbować przekonać wszystkich do wstąpienia do kołchozu?

Ostatnie dni przeciekły mu przez palce, a on przez tę przeklętą wykolejoną lokomotywę całkiem zapomniał o tym, że powinien pojechać do Dreznalów i ostatecznie załatwić z Jonaszem kwestię płatności za podatek. Nie mógł pozwolić, żeby Dreznal nieopatrznie przyznał się komuś do długu lub, nie daj Boże, podziękował komisarzowi za jego miłosierne podejście. Inni mogliby to uznać za przejaw nieszczerości ze strony Bucwalda. Z uwagi na kontakty partyjne Fiodora Rozwadowska zgodziła się na zmiany w organizacji zarządzania ziemią, a to mogłoby skłonić innych do podążania jej drogą. W końcu ktoś, kto tak prężnie rozwija majątek, musi wierzyć w powodzenie swojego pomysłu.

Jednak im dłużej o tym myślał, tym bardziej coś mu nie pasowało. Rozwadowska zbyt szybko przystała na jego warunki, zawieszając broń, a przecież miał znaleźć na nią paragraf, a już najlepiej – dowód na jej spiskowanie przeciwko władzom Związku Sowieckiego.

Sen musiał więc poczekać do kolejnej nocy i Fiodor w pośpiechu, acz należycie przygotował się do wyjścia, szorując nad balią spocone po parnej nocy pachy, tłuste włosy oraz ogorzałą twarz. Brzytwą zgolił jednodniowy zarost, skropił żuchwę wodą kolońską i włożył świeże ubranie. A gdy upewnił się, że wygląda odpowiednio, wyszedł na zewnątrz.

Parne powietrze od razu wpełzło pod poły jego koszuli; materiał przykleił się do pleców i Fiodor niemal od razu poczuł bezcelowość porannych zabiegów higienicznych. Po chwili cierpki zapach potu owionął jego nozdrza niczym nieprzyjemna woń zgniłych ziemniaków, której nawet przeciąg nie może wypędzić ze spiżarni. Przez to całkiem stracił ochotę na jakiekolwiek spotkania. Wiedział jednak, że musi. Szybkim krokiem przemierzał ogród, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony, a wyraz jego twarzy musiał być złowrogi, ponieważ rzucane mu ukradkowe spojrzenia polskich kułaków i służby wydawały się pełne przestrachu. On jednak nie dbał o to. Przeciwnie – zdawało mu się, że dzięki temu wzbudza większy respekt, że wzrasta w sile, która przywiodła go z tak daleka i której potrzebował, by zrealizować plan utkany wiele lat wcześniej.

Kiedy zobaczył w oddali Dreznalów, poczuł dziwne, natrętne wiercenie w brzuchu. Z jednej strony cieszył się, że zdoła uniknąć katastrofy, z drugiej obraz bliskich więzów, poszanowania i postawy ufności sobie wśród członków tej rodziny budził w nim zazdrość, która szybko zamieniła się w gniew. I to uczucie rozprzestrzeniło się w jego żyłach jak trucizna, dając pożywienie najgorszym jego cechom.

Jonasz, widząc Fiodora, ruszył ku niemu pospiesznie, pozostawiając rodzinę w tyle. Garbił się, chwiał na nierównym trawniku. Patrzył na

Fiodora z pewną dozą nieufności. A jednocześnie zdał się Bucwaldowi podobny do rycerza. Wiernego obrońcy i strażnika rodziny, który gotów był poświęcić życie, by bronić tego, co miał w nim najcenniejsze. I ta postawa wzbudziła w zarządcy wzgardę, obrzydzenie oraz gniew. Wiedział, że te emocje, tak silne i niedające się poskromić, wzięły swój początek w pierwszych wspomnieniach z dzieciństwa, kiedy jego jedynym niepohamowanym pragnieniem było zobaczenie owego rycerza przy matce i przy nim. Nadaremnie marzył wtedy, by ojciec pojawił się w jego życiu i swoją pewną postawą zdołał zagwarantować im bezpieczeństwo.

– Moje uszanowanie, panie Bucwald. – Jonasz nieznacznie uniósł spłowiały kapelusz, po czym spuścił wzrok i skłonił się niezgrabnie.

Fiodor czuł rosnące podniecenie, patrząc, jak o wiele starszy mężczyzna z kępką siwych włosów na czubku głowy, wychudzonym ciałem i gęstym, bielutkim wąsem, zdobiącym pooraną głębokimi zmarszczkami twarz, uniża się przed nim, porzuca własną godność i przybiera postawę służalczą, tak nieadekwatną do tej sprzed chwili.

– Witam – odparł beznamiętnie.

– Dobrze, że spotykam pana teraz… przed piknikiem. – Jonasz uśmiechnął się przyjacielsko, a Fiodor poczuł rosnące zniecierpliwienie. To uniżenie, jasne, ciepłe spojrzenie oraz wypływająca z oczu Jonasza nadzieja działały mu na nerwy. – Nie udało mi się jeszcze zebrać pełnej kwoty, ale obiecuję spłacić każdą kopiejkę. – Wyjął z kieszeni niewielką sakiewkę, w której szeleścił plik banknotów.

Fiodor od niechcenia zajrzał do środka, wyjął z woreczka kilkadziesiąt rubli i popatrzył na Jonasza z pogardą.

– Te ochłapy, jak rozumiem, są za moje milczenie.

Jonasz wstrzymał oddech, patrząc na Bucwalda skonsternowany.

– Nie rozumiem.

– Nie dziwota, żeś stracił swój dwór, skoroś tak głupi i naiwny. Myślisz, że będę chronił twoją dupę przed hrabiną za darmo? –

Fiodor zaśmiał się gardłowo, choć śmiech ten, wymuszony i nerwowy, nie sprawił mu przyjemności. – Nic w życiu nie jest za darmo, Dreznal, a już na pewno nie ochrona takiej marności.

– Nie może mi pan tego zrobić! – odparł Jonasz. – Wie pan przecież, w jakiej sytuacji jestem przez kolej. Zwłaszcza teraz, gdy z uwagi na ostatni wypadek pociągi zatrzymują się na skraju mojego pola, a pasażerowie… – westchnął ciężko. – Znów zniszczono kolejną partię moich plonów. To będą następne straty i nie wiem, jak uda mi się uiszczać tak wysokie kwoty.

– Nikogo nie interesuje twoja ułomność. I radzę ci nie chwalić się hrabinie tą historią, bo jeszcze uzna, żeś celowo nakazał ludziom chodzić po swoich uprawach, żeby zaniżyć daninę. A tyś zwykły nierób i leń!

– To już jest gruba przesada! – wtrącił się nagle damski głos.

Fiodor powiódł spojrzeniem w kierunku jego źródła. Za Jonaszem stała Emilia. Musiała najpewniej wyrwać się naprzód z damskiego szeregu.

– Nie znam bardziej prawego i pracowitego człowieka od mojego ojca!

„Cóż to za zuchwalstwo!” – chciał rzec Fiodor, lecz nie potrafił. Patrzył na pewną i dumną postawę dziewczyny, która hardo mierzyła go spojrzeniem, i nie mógł oderwać wzroku od jej trójkątnej, delikatnie opalonej twarzy ani romantycznie splecionych włosów, które kaskadą spływały z jej lewego ramienia. W przypływie złości na jej wydatne kości policzkowe wypłynął rumieniec, a piegi zyskały bardziej wyrazisty kolor. Duże, symetryczne usta o szpiczastym łuku kupidyna wydęły się w grymasie, który Bucwald nagle zapragnął ujarzmić. Chciałby dotknąć ich swoimi ustami, przygryźć, posmakować…

Oblizał się na te myśli.

– Wobec tego niewielu prawych ludzi panienka w życiu widziała – odparł butnie, licząc na jej wzburzenie, lecz Emilia zacisnęła usta

w wąską jak smyczek skrzypcowy kreskę.

– A jednak dostatecznie wielu, żebym wiedziała, iż nie można nazywać tak mojego taty.

Srebrny, gęsty wąs na twarzy Jonasza uniósł się nieznacznie, a wokół oczu wykwitły wachlarze zmarszczek.

– Wystarczy, kwiatuszku. To nie są kwestie, którymi powinnaś zaprzątać sobie głowę.

– To prawda. – Katarzyna zjawiła się przy nich, chwyciła wnuczkę za łokieć i odciągnęła od Bucwalda. – Pozwól ojcu załatwić męskie sprawy i chodź z nami, wszak nie przyszłyśmy tu rozmawiać o ziemi.

– A przynajmniej ty nie przyszłaś tu w takim celu – syknęła zza pleców Pelagia, co nie umknęło uwadze Fiodora.

– Nie będziemy przeszkadzać w rozmowie – rzuciła najstarsza z rodu, posławszy Pelagii surowe spojrzenie, po czym popchnęła wnuczkę przed siebie i niczym kaczka prowadząca swoje stadko ruszyła ku polanie, na której miał odbyć się piknik.

Fiodor parsknął, widząc te archaiczne konwenanse.

– Panie Bucwald. – Jonasz splótł dłonie i spuścił głowę, jakby świadom, że w każdej chwili może zostać zdzielony przez Fiodora batem, po czym nabrał powietrza i rzekł cienkim głosem: – Nie może mi pan tego robić. Ziemia, którą uprawiam, to jedyne, co mam. Ledwo wiążemy koniec z końcem, a pan winien to rozumieć i jako zarządca stać po stronie dyplomacji, zamiast podżegać do konfliktów między nami a hrabiną Rozwadowską.

Fiodor uśmiechnął się w duchu, widząc słabość Dreznala. Dawniej, gdy jeszcze go nie znał, zastanawiał się, jak potężnej siły argumentów będzie musiał użyć, by pojedynkować się słownie z takim przeciwnikiem; mężczyzną, przez którego dla Fiodora wszystko się zaczęło i przez którego dla jego matki się skończyło. Teraz, widząc jego niemrawe umizgi, nie mógł zdecydować, czy bardziej nim gardzi, czy mu współczuje.

– W końcu najęła tu pana, by pomógł – dodał Jonasz w odpowiedzi na przedłużające się milczenie Fiodora.

– Najęła… – powtórzył Bucwald, po czym pomyślał o tym, jak od wielu lat z partyjnego nadania przybywał do takich majątków, by następnie słać do swoich przełożonych z dalekiej Rosji raporty, czy mieszkańcy polrejonu działają w radach wiejskich, polonizują Ukraińców, zrzeszają się politycznie przeciw komunistycznej władzy sowieckiej oraz czy nie wspierają POW[3]. – Nikt mnie nie najął – wypalił nagle, czując niesamowitą satysfakcję z tego wyznania.

W oczach Jonasza pojawił się cień konsternacji.

– Przecież pracuje pan dla hrabiny.

– A może to hrabina pracuje dla mnie?

Jonasz nie zdołał powstrzymać parsknięcia.

– Wobec tego to nawet lepiej. Nie muszę płacić nikomu za milczenie.

Fiodor poczuł w trzewiach niepohamowaną złość. Rzucił się na Jonasza, złapał go za poły koszuli i przygwoździł do pnia pobliskiego drzewa.

– Nie pogrywaj ze mną, bo jutro możesz znaleźć się w łagrze albo… czekaj, może znajdziemy lepsze rozwiązanie i wcale nie wrócisz dziś do domu.

Jednym śmiałym ruchem wyciągnął zza paska nóż i przyłożył go Jonaszowi pod żebra. Dreznal syknął cicho, a koszula szybko zaczęła czerwienić się od krwi.

– Od teraz będziesz mi płacił nie tylko za milczenie – warknął Fiodor.

– Nie jestem nic panu winien – wycedził Jonasz przez zęby.

– Oczywiście, że jesteś. I to dużo więcej, niż myślisz. Albo przyniesiesz mi to w pysku, albo… – Przycisnął nóż mocniej, głębiej wbijając ostrze w ciało mężczyzny. – Wezmę to sobie sam.

– *Towaryszcz* Bucwald![4] – Mocny baryton tuż za plecami Fiodora sprawił, że ten niemal podskoczył ze strachu.

Fiodor momentalnie puścił Jonasza i obrócił się na pięcie, a kiedy dotarło do niego, że ma przed sobą regionalnego szefa Wydziału Sekretno-Politycznego OGPU Ukraińskiej SRR, Gienricha Liuszkowa, serce podeszło mu do gardła. W jednej sekundzie wszystko inne straciło znaczenie, bo oto znalazł go ten, któremu Fiodor zaprzedał duszę.

* * *

Dzień szybko zmienił się w wieczór, a park przy dworku Rozwadowskich rozjaśniły lampy naftowe, porozwieszane na gałęziach drzew. Latarnie gazowe, dumnie stojące przy alejkach, oraz długie świece na stołach, pomiędzy szkłem z napojami i metalowymi półmiskami, na których pozostało jeszcze trochę jedzenia, tworzyły romantyczny nastrój.

Emilia stała przy stryjence i babci, pamiętając o swojej nienagannej postawie oraz manierach, na które według Katarzyny zwracali uwagę wszyscy, a które zdaniem dziewczyny zdawały się w tym towarzystwie kompletnie niepotrzebne. Nie było bowiem wśród zgromadzonych żadnego młodzieńca, który przykułby jej wzrok. Zresztą cały ten piknik zdawał się farsą; niby przywodził na myśl dawne wydarzenia o takim charakterze, zwyczaje i obrzędy, lecz już z daleka widać było, jak bardzo sytuacja wyższych klas społecznych zmieniła się od czasów jej babki, stryjenki, a nawet siostry, która przecież wyszła za mąż ledwie kilka lat wcześniej.

To już nie był świat, w którym polscy właściciele dworów i szlachcice cieszyli się estymą na tych terenach. Teraz, choć na przekór losowi starali się pokazać, że panują nad sytuacją, nie mieli żadnej mocy sprawczej. Owszem, byli ubrani odświętnie, a ich palce, nadgarstki oraz szyje zdobiły drogocenności, tak jak to sobie wiele razy wyobrażała Emilia. Lecz ich twarze pobielały ze strachu, a wzrok błądził nerwowo po zebranych, jak u zwierza, na którego tuż za

drzewem czai się łowca. Emilia znała te przesiąknięte lękiem spojrzenia. Od lat obserwowała je u swojego taty, matki i stryjenki Pelagii. Jedynie babka zdawała się oporna na groźby wrogiej Polakom polityki, ciasnotę komunistycznego imadła, długi oraz wszechogarniającą biedę. A jednak w ostatnim czasie i ona słabła, przybita bezradnością własnych rąk.

Emilia pomyślała, że gdyby teraz miała uwiecznić tę scenę na obrazie, wśród pięknej scenerii, wszyscy musieliby być bezbarwni niczym duchy na tle czasów, które zrzuciły ich z piedestału i które zawiązały na ich kończynach sznurki, gwałtownie i ostro pociągane przez spojrzenia stojących w tle enkawudzistów.

Powietrze zgęstniało od ciężkich oddechów ludzi, którzy nie tak wyobrażali sobie ów piknik. Przyszli tu w nadziei na to, że hrabina znalazła sposób na ich problemy. Może z uwagi na awarię na kolei wspaniałomyślnie zmniejszy im daninę? Może chciała przekazać im dobre wieści z Rzeczypospolitej, że na przykład polski rząd wspomoże swoich rodaków, pozostawionych za wschodnią granicą na mocy traktatu ryskiego i coraz bardziej piętnowanych przez politykę ZSRS? Może do władzy nareszcie dotarła informacja o niszczeniu polskich kościołów i zamykaniu polskich szkół…

Tymczasem te pytania pozostawały bez odpowiedzi, a całe spotkanie rozwlekało się w czasie, w dziwnej, napiętej atmosferze. Wiadomo było tyle, że Rozwadowska poddała się władzy i zamierzała przekształcić swoją ziemię w kołchoz, co dla większości zebranych oznaczało oddanie swojego majątku w dyspozycję władzy sowieckiej w zamian za marny ekwiwalent. Niektórzy rolnicy po kilku kwadransach wrócili do swoich domostw, marudząc pod nosem coś o marnowaniu czasu, byciu niepoważnym oraz końcu świata. Tak się przynajmniej zdawało Emilii, ponieważ jej rosyjski nie był dość dobry, a w obecności partyjnych komisarzy nikt nie ośmielił się głośno mówić po polsku. Jeszcze któryś z nich oskarżyłby ich o szpiegostwo, a za to, co oczywiste, groziło więzienie.

Ona też najchętniej wróciłaby do domu, ponieważ martwiła się o ojca, którego nie widziała od czasu spotkania z Fiodorem. Jednak babka nie dawała za wygraną. Napierała na wnuczkę, by zainteresowała sobą któregoś z mężczyzn.

– Niby którego? – dopytywała dziewczyna, lecz Katarzyna w odpowiedzi słała jej tylko pełne przygany spojrzenia.

Z pewnością nie żadnego z tych zwalistej postury w mundurach i popielatych uniformach NKWD. Ludzie się ich bali, ponieważ czuć było od nich wrogość i żądzę władzy.

Z początku trzymali się na uboczu, w milczeniu lustrując wzrokiem zebranych, lecz z czasem, wszedłszy w tłum, przejęli pałeczkę, jakby to oni tu byli gospodarzami. Wszyscy, którzy znaleźli się w zasięgu ich wzroku, kłaniali się im służalczo. Babka zabroniła Emilii przyglądać się im tak natarczywie, nakazując skupienie na osiąganiu celu. Emilia jednak nie chciała ściągać na siebie spojrzeń chłopskich synów z sąsiednich wsi. Ani też tych, którzy po kolektywizacji rolnictwa pracowali w kołchozie, na kolei czy nawet w fabrykach leżącego nieopodal Płoskirowa. Wszyscy zdawali się nieodpowiedni na jej męża. Poza tym o czym miałaby z nimi rozmawiać? Na roli się nie znała, gdyż ojciec nigdy jej do pracy nie dopuszczał. Nie chodziła też z nimi do szkoły, ponieważ przez lata pobierała indywidualne nauki u dalekiej przyjaciółki Katarzyny, jeszcze z czasów carskich, czym babka szczyciła się przy każdej okazji, uznając swój szeroki krąg znajomych za schedę po dawnym wystawnym życiu. Poza tym żaden z tych mężczyzn nie wyglądał na takiego, który wspomógłby Dreznalów w tym trudnym dla nich czasie, ponieważ wszyscy jednako martwili się coraz powszechniejszym ubóstwem.

– Podejdź do stołu po sok. Bartłomiej z Rędzińskich od zachodu słońca zapuszcza na ciebie żurawia – wyszeptała Pelagia. – Nie możesz tak stać przy nas. To ostatni moment, żebyś z kimś porozmawiała. Niedługo trzeba będzie wracać. Poza tym zaczęłam

się martwić o Jonasza. Ciekawe, czy Bucwald w ogóle wpuścił go na to przyjęcie.

– O Jonasza nie musisz się martwić. Prędzej musimy poszukać Kornelii. Wyszła na skraj parku i też zaginęła. – Katarzyna z niesmakiem pokręciła głową. – Że też my, głupie, pozwoliłyśmy jej iść szukać Jonasza. Ona siebie nie potrafi dopilnować, a co dopiero własnego męża.

– Mama pewnie wróciła do domu. I tak nie chciała tu przychodzić – stwierdziła Emilia z rezygnacją. – A Rędzińscy… Oni nawet nie mają pola rolnego, nie mówiąc o gospodarstwie.

– Ale przynajmniej długów nie mają. Poza tym z daleka widać, że partyjniacy tylko czekają, żeby nam co zabrać. Człowiek to się w tych czasach wokół własnej osi musi obracać, a i tak boi się, czy plon zdąży dojrzeć, jak Rusek kradnie mu, co jego.

– Może właśnie dlatego tata też nie chciał tu przyjść? Może siedzi z mamą w obejściu i domu pilnuje. – Emilia zachichotała cicho, rozbawiona.

– Tyś to młoda i… głupia jak matka! – Pelagia piorunowała ją wzrokiem. – Gapisz się na ten świat i żadnych wniosków nie wyciągasz. Rozkradli ziemię prawie wszystkim rolnikom na Wschodzie. – Dziewczyna wybałuszyła oczy na stryjenkę. – No co się tak patrzysz? Tyś myślała, że po co partyjniacy tu przyszli? Szczerzą kły na hrabiowskie dobra! Podobno krewnych Rozwadowskich tak rozkułaczyli, że tamci piach gryzą na kaukaskiej ziemi.

– Powściągnij język, bezwstydnico! – Katarzyna syknęła złowrogo. – Nie daj Boże… – Przeżegnała się szybko. – Jeszcze kto usłyszy twoją paplaninę i dopiero będzie problem. – Rozejrzała się na boki. – Może faktycznie Jonasz dobytku pilnuje. Jeszcze by nam tego brakowało, żeby pod naszą nieobecność coś nakradli. Źle im z oczu patrzy.

– Nie tak źle jak niektórym Polakom – usłyszały za sobą chrapliwy głos i niemal pisnęły z przerażenia.

Obróciły się gwałtownie. Naprzeciw nich stał, szczerząc się w złośliwym uśmiechu, Fiodor Bucwald.

– No wie pan! – Pelagia się obruszyła.

– Cóż… – Mężczyzna wypluł przeżute źdźbło trawy i zbliżył się do Pelagii na odległość oddechu. – Polskich obszarników idzie rozpoznać z daleka.

– To samo można powiedzieć o pana kolegach, panie Bucwald. Matce pewnie wstyd oblewa lico, gdy widzi, z kim pan przystaje – wycedziła Katarzyna przez zęby.

Błysk nienawiści przebiegł po oczach Fiodora. Zacisnął mocno szczęki i zmrużył powieki, a napięta żyła na jego grubej szyi pulsowała nerwowo.

– Na jej nieszczęście już nie żyje, a szkoda. Zapewne chciałaby zobaczyć te zmiany, które lada moment nastąpią. A tymczasem, panienko Emilio. – Ujął dłoń dziewczyny i musnął wargami. – Zapraszam na spacer.

– Bardzo mi przykro, panie Bucwald, ale właśnie miałyśmy wracać do domu. – Katarzyna szarpnęła wnuczkę za łokieć, wyrywając jej dłoń z uścisku Fiodora. – Dlatego wybaczy pan, ale Emilia spotka się z panem innym razem.

– Dopiero co słyszałem z pani ust, że wnuczka ma szukać sobie kandydata na męża. Czyżby więc ten, który lada moment stanie się prawowitym właścicielem uprawianej przez was ziemi, nie byłby odpowiedni?

Babka spiorunowała Bucwalda spojrzeniem, a im bardziej była wzburzona, tym on zdawał się czerpać z tego coraz większą satysfakcję.

Emilia poczuła, że coś ją ku niemu przyciąga. Nie wiedziała, czy to troska o ojca, którego to najwyraźniej Bucwald widział jako ostatni, czy może chodziło o zachłanność bijącą z jego słów, uporczywe spojrzenie, na wskroś przenikające najsilniejszą kobietę w jej rodzie, czy może świadomość wielkiej ambicji, która w mgnieniu oka

windowała mężczyznę po szczeblach w górę lokalnej hierarchii. Emanował też dziwną, magnetyczną aurą zepsucia, której dziewczyna nigdy wcześniej nie doświadczyła. Intrygowały ją buchająca z jego ciała ordynarność, impulsywność, niemal zwierzęce odruchy, które nagle zapragnęła oswoić.

– Spokojnie, babciu. – Stanęła pomiędzy nimi. – Myślę, że kilka minut w towarzystwie pana Bucwalda nie opóźni znacząco naszego powrotu.

Fiodor wyprężył pierś jak kogut i przerzucił spojrzenie na Emilię, a ona bez namysłu się go uczepiła.

Dojrzała błysk w jego oku i zadziornie uniesiony kącik ust. Serce przyspieszyło jej w piersi; z trudem przełknęła ślinę, a mimo to nie drgnęła pod naporem hipnotyzującego wzroku, lecz zapragnęła stać się jego jedyną posiadaczką. Przeraziło ją to, a równocześnie pobudziło nieznane dotąd odczucie pulsowania ciała. Powietrze coraz trudniej przedzierało się do jej płuc, jakby właśnie stała nad przepaścią i miała skoczyć, czego się obawiała, a zarazem nie mogła się doczekać. Ekscytacja przebiegła jej po plecach elektryzującym dreszczem.

– Otóż to – odparł Fiodor z niebywałą świadomością siły, z jaką na nią oddziaływał, po czym prześlizgnął się spojrzeniem po jej twarzy, szyi i odkrytym dekolcie sukienki. – Zapraszam więc na przechadzkę.

Emilia ujęła go pod ramię, myśląc, że przejdzie się z nim kawałek i porozmawia o rzeczach, tematu których w jej rodzinie nikt nie chciał z nią poruszyć. Poza tym charyzma zarządcy mogła jej też pomóc w szlifowaniu manier i obycia, na którym tak zależało jej babce i które miało stać się jej biletem do przyszłości.

„Oby tylko nie okazała się wilczym biletem” – pomyślała, odpowiadając uśmiechem na jego zachłanny wzrok.

* * *

Spacerowali alejkami, wolnym krokiem okrążając rozświetlony ogród i skupiając na sobie ukradkowe spojrzenia garstki osób siedzących przy pustych już stolikach. Pewność Fiodora z nagła wyparowała i od kilku chwil mężczyznę dręczyła myśl, co jest w pannie Emilii takiego, że nie potrafi darzyć jej nienawiścią? Będąc przy niej, czuł w sobie dziwną lekkość, jak gdyby w momencie podjęcia tej dziewczyny pod ramię uleciał z jego ciała duch ołowianego żołnierza, który niezależnie od sytuacji nigdy nie spuszcza gardy ani wzroku z raz obranej drogi.

– Panie Fiodorze – zaczęła miękko dziewczyna po chwili ciszy, która zwykle w podobnych sytuacjach ciążyła mu niemiłosiernie. Tym razem jednak niebywałą przyjemność sprawiało mu obcowanie z tą bliskością, którą odczuwał każdym skrawkiem ciała i której wzniosłości nie mógł pojąć. – Czy byłabym bardzo pruderyjna, gdybym poprosiła pana o wytłumaczenie się z tej niechęci względem mojego taty? Wszak nie wygląda mi pan na złego człowieka, choć nie mogłabym tego powiedzieć podczas naszego dzisiejszego spotkania przed piknikiem.

Fiodor obrócił ku niej twarz i zlustrował spojrzeniem słodką twarzyczkę o regularnych rysach. Emilia uśmiechała się do niego prowokująco, wytrzymując jego spojrzenie, a uniesione uśmiechem policzki zaróżowiły się delikatnie. Zdawało mu się, jakoby grała twardą i silną, jednocześnie wiedząc, że stąpa po żarzących się kamieniach, a mimo to z perfekcją panowała nad emocjami i lękiem przed oparzeniem.

– Czyż ojciec nie zakazał panience mieszania się w sprawy mężczyzn? – skwitował sucho.

– Moja babka sprzeciwiła się pańskiemu zaproszeniu mnie na spacer, a mimo to zabiegał pan o rozmowę. Proszę więc nie zachowywać się jak hipokryta, panie Bucwald.

Fiodor uniósł wysoko brwi, kolejny raz zaskoczony śmiałością młodej dziewczyny.

– Mimo wszystko uważam, że nie można porównywać tych dwóch jakże różnych płaszczyzn. Sprawy męskie…

– Winny być równie ważne, co te dotyczące kobiet.

Fiodor parsknął, orientując się, z jaką precyzją i śmiałością weszła mu w słowo i całkiem zmieniła kontekst jego wypowiedzi.

To dziwne, że tak śmiałe zagranie wcale go nie zdenerwowało, ale obudziło w nim dawno zapomnianą chęć rywalizacji. Zlustrowawszy spojrzeniem wydęte w dzióbek usta, które wskazywały na niemałe zadowolenie, milczał, bezwiednie zatapiając się w rysach jej twarzy, które bezsprzecznie składały się na ideał kobiecego piękna, jaki od lat nosił ukryty w sercu, a który to dopiero teraz, w tej jednej chwili uniesienia, zdał mu się czymś tak oczywistym jak jasność księżyca w bezchmurną noc. Uczepiona jego spojrzenia, Emilia uśmiechała się coraz szerzej, karmiąc się chwilą jego zawahania, a on, ni stąd, ni zowąd, poczuł pełzające mu po twarzy płomienie, które z każdym mrugnięciem wznosiły się ku górze, liżąc policzki, uszy, czoło i nasadę włosów. Szybkim ruchem próbował strząsnąć z siebie ten ogień, lecz nadal czuł zawstydzające ciepło.

– Doprawdy czystym szaleństwem byłoby zestawiać sprawy mężczyzn i kobiet – powiedział zmienionym głosem, zahaczając spojrzeniem o lampy, drzewa i krzewy, byleby tylko utrzymać niknącą w głowie myśl, dzięki której mógł podtrzymać rozmowę. – Nie ma bowiem na świecie takich kobiet, które światłością swojego umysłu zwykłyby dorównywać klasycznej męskiej myśli.

Zaśmiała się w głos, a Fiodor poczuł wstyd i nieznany mu dreszcz, że brakuje mu panowania nad rozmową. Myśli w jego głowie rozbijały się o siebie, a rozsypane sylaby nie potrafiły złożyć się już w żadną sensowną odpowiedź. W końcu, po sekundach trwających wieczność, rozbrzmiała mu w głowie straszliwa myśl: „Czyżby dlatego rozbawiło ją to wyznanie, bo zauważyła moje zmieszanie i wstydliwą purpurę rozlaną na twarzy, tak sprzeczne ze słowami, jakiem wypowiedział?”.

Jakże mógł sobie na to pozwolić?!

A jednak fizjologia działała w zupełnym oderwaniu od psyche, która – choć wciąż na swoim miejscu – zdała się teraz niczym pusta dziupla w spróchniałym konarze.

– Zadziwiające są pańskie poglądy, panie Bucwald. – Dziewczyna teatralnie pokręciła głową. – Choć z drugiej strony – rzuciła mu spojrzenie, niczym sieć rybacką na jezioro, z postanowieniem, że właśnie teraz złowi to, po co tu przyszła – wskazywać to może jedynie na fakt, iż na swojej marnej drodze nie spotkał pan takiej kobiety. Proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia. – Swymi słowami kolejny raz zasznurowała mu usta, a Fiodor uniósł wysoko brwi, odurzony. Takiego toku rozmowy w ogole się nie spodziewał. – Jeśli więc wstydzi się pan, rozumiem, porozmawiam w tej sprawie z tatą. Zapewne ma swoje zdanie na temat waszych waśni.

– Zapewne – uciął Fiodor, choć w głębi serca wiedział, że Jonasz nawet się nie domyśla prawdziwego znaczenia jego działań. – Uważam jednak, że starania panienki okażą się bezcelowe.

Wzruszyła ramionami i zsunęła dłoń z jego przedramienia, po czym śmiało zerwała kwiat dzikiej róży, pnącej się po równo przystrzyżonym parkanie. Obracała wielki i rozłożysty kielich w dłoniach, zerkając to na płatki, to na alejkę.

– Proszę wybaczyć, ale nie przejmę się pana zdaniem, ponieważ póki co bezcelowy okazuje się jedynie spacer w pana towarzystwie. Dotąd wydawał mi się pan człowiekiem, którego działanie jest ściśle związane z realizacją jakiegoś planu, lecz teraz zdaje mi się pan rozedrgany niby mucha odurzona pacnięciem dłoni.

– Zadziwia mnie panienki zuchwałość, ewidentnie odziedziczona po babce – odparł natychmiast, odzyskując częściowo rezon. – I począłem się zastanawiać, czy bierze ona swój początek w chęci bliższego poznania mojej osoby, czy próbie wyprowadzenia mnie z równowagi.

– Proszę sobie nie schlebiać, panie Bucwald. Moje myśli kieruję ku tacie, którego nie widziałam od kilku godzin i o którego dobrostan się lękam. Sądziłam, że mógłby pan rozwiać moje obawy. Tymczasem okazało się, iż marnuję tylko czas.

Obróciła się na pięcie i zostawiła go bez słowa, czego żadna dziewczyna przed nią nie odważyła się zrobić. Fiodor poczuł mocne ukłucie w piersi. Nigdy nie przegrał starcia z żadnym człowiekiem, tym bardziej biedniejszym od niego, a tymczasem Emilia pogrywała sobie z nim, jak chciała. Tego było zbyt wiele! Jednym susem doskoczył do niej i złapał ją za rękę. Gwałtownie obróciła się ku niemu, lecz na jej twarzy nie było strachu ani zdenerwowania, a wyraz zadowolenia z siebie.

A więc spodziewała się jego kroku i teraz, dumna ze swojego występku, śmiała mu się w twarz!

Pragnął ją zganić, lecz nie potrafił. Jego ciało pod urokiem jej aury znów zdawało się odseparowane od ducha. Stał, patrząc na nią zahipnotyzowany.

– Co się stało, panie Bucwald? Czyżby jednak zmienił pan zdanie i chciał ze mną rozmawiać?

W jego głowie rozgorzała myśl, świetliście prawdziwa i obnażająca, jakoby o niczym innym nie myślał od chwili ujrzenia tej dziewczyny wtedy, na balkonie. Jej niewinny, a zarazem nieprzyzwoicie zmysłowy widok wrył się w jego pamięć i powracał do niego co wieczór na chwilę przed zaśnięciem. Łapał się na tym, że szukał jej twarzy w obliczach wielu napotkanych w międzyczasie dziewcząt, nie mogąc zrozumieć, dlaczego to właśnie ona zaczęła przyćmiewać swoim pięknem wszystkie inne lica. Jakże więc mógł teraz pozwolić, by to spotkanie tak felernie się zakończyło?

Czuł, jak zdenerwowanie coraz mocniej gotuje krew w jego żyłach. Przebiegł wzrokiem po jej oczach, pragnąc znaleźć w nich iskrę podziwu, którą dostrzegał w spojrzeniach niemalże wszystkich

mieszkańców Malinicz. Lecz jej oczy błyszczały niesfornie, jakby z radością, że w końcu dostaną to, czego oczekiwały.

Nagle krew zmieniła tor i buzujące endorfiny przestały uderzać mu do głowy, a zachwyt w jednej sekundzie ustąpił miejsca poczuciu zniewagi.

– Owszem. Chciałbym, lecz nie zamierzam tłumaczyć się z powodów zaburzonej relacji z Jonaszem, bo kimże jesteś, Emilio, by brać mnie na takie spytki?

– Proszę zatem wybaczyć, ale lepiej będzie, jeśli za radą babci wrócę już do domu, skoro nic mi pan nie może ofiarować – rzuciła i pewnym krokiem ruszyła przed siebie.

„Jak śmie?!" – buzowało w głowie Fiodora, kiedy stał, usiłując zebrać w całość swoje poszarpane poczucie męskości. Czuł, jak od zaciśniętej w złości szczęki zaczynają napinać się jego kark, barki, pięści, a następnie całe cało. Nie zdążył jednak rzucić w stronę dziewczyny pogardliwej klątwy ni groźby, ponieważ nagle nieopodal rozległo się głośne klaskanie. Skierował wzrok ku źródłu dźwięku i wówczas zobaczył polskiego kułaka, Lucjana Zaworskiego, który z rozbawieniem gapił się na Fiodora. Klaskał coraz mocniej, aż w końcu wybuchnął tubalnym śmiechem. Rozeźlony Fiodor ruszył w jego stronę, piorunując go spojrzeniem.

– Marnie widzę twój awans u zaproszonych partyjniaków, Bucwald, skoro nawet dziewka gardzi twoimi umizgami – ryknął tamten, gdy Fiodor stanął przed nim.

Nie myśląc o konsekwencjach swego postępku ani opinii, którą kolejny raz sam mógłby sobie zepsuć, Fiodor gwałtownie uniósł rękę i wymierzył cios, powalając Lucjana na ziemię. Nieszczęśliwie Zaworski spadł na stół, rozbijając dzbanki napełnione sokiem i strącając na ziemię metalowe półmiski. Wszyscy wpatrywali się teraz w Bucwalda, zszokowani jego postępowaniem, a on, czując, jakby w jednej chwili stracił wszelkie siły witalne, obrócił się na pięcie, by ruszyć w stronę mieszkania, lecz z nagła skrzyżował

spojrzenia z Geinrichem Liuszkowem, który patrzył na niego przeciągle, po czym krzyknął:

– *Idi syuda, towaryszcz Bucwald! Davaj pogovorim nemnogo*[5].

Fiodor nie miał wyboru. Liuszkow był jego przełożonym i choćby kazał mu zjeść kamienie, Bucwald musiał to zrobić. W przeciwnym razie czekała go niechybna śmierć. Kula z pistoletu Liuszkowa nigdy jeszcze nie chybiła celu. Pokornie więc się ruszył za Gienrichem, który pewnym krokiem skierował się do dworu Rozwadowskich.

Gdy weszli do środka, Liuszkow bezpardonowo zajął miejsce na miękkiej sofie i z pewną swobodą odpalił papierosa, napawając się przyjemnym posmakiem dymu.

Fiodor kątem oka widział przerażenie na twarzy Rozwadowskiej, która stojąc w pokoju przechodnim, obserwowała całe zajście. Jej strach zaczął mu się udzielać, choć z początku nie wiedział dlaczego. Po chwili jednak, gdy Liuszkow mocno strzepnął popiół prosto na drewnianą podłogę, pozostawiając na niej trwały czarny ślad, Fiodora ścisnął za gardło lęk.

Oczy Liuszkowa rzucały obłąkańcze iskry, jak gdyby nie należały do człowieka siedzącego na najwyższym szczeblu lokalnej władzy, ale kogoś, kto postradał zmysły lub ugościł w swoim ciele samego szatana. Kolejny raz strzepnął popiół, tym razem puszczając żar na surowy blat stolika. Na widok czarnej plamy uniósł lekko kącik ust.

Fiodor nie zdziwiłby się, gdyby ten wariat puścił z dymem cały dwór okryty strzechą. Gienrich Liuszkow był bowiem zdolny do wszystkiego i Fiodor nie chciał kolejny raz narażać się na jego gniew.

– A co tak stoicie? Nóg wam nie szkoda? A może żal polskiej gościny? – rzekł po chwili Gienrich, poprawiając się na sofie.

Fiodor przełknął ślinę, podszedł bliżej i usiadł na sąsiedniej sofie, po prawej. Celowo wybrał akurat tę, ponieważ z tej perspektywy za Liuszkowem widział jedynie ścianę, przyozdobioną wielkim obrazem z widokiem na żyzne pola, oraz rąbek przedsionka prowadzącego do

wyjścia i nie rozpraszał go już widok wystraszonej twarzy Rozwadowskiej.

– Nie chciałem wzbudzać w panu poczucia braku szacunku.

– Proszę, proszę. Czyżby nasza ostatnia rozmowa przyniosła efekty? – Liuszkow zaśmiał się rubasznie, a Fiodor powrócił wspomnieniem do gabinetu przełożonego, gdzie ten, przystawiając mu do skroni lufę pistoletu, cedził, że Fiodor za bardzo wychyla się na swoim stanowisku. – Chociaż jak tak patrzę na was, towarzyszu, wcale tego nie widzę. Miotacie się w tych swoich Maliniczach, zamiast raz-dwa wprowadzić tu sowiecki porządek.

– Wszystko idzie zgodnie z planem.

Liuszkow spojrzał na Fiodora z politowaniem.

– I dlatego jednego chłopa straszycie nożem, a drugiego bijecie po mordzie?

– To prywatne sprawy i nie mają związku z moją pracą.

– Prywatnych spraw to wy nie powinniście mieć z tymi ludźmi, towarzyszu Bucwald. – Liuszkow odpalił kolejnego papierosa. – Zniżacie się wtedy do ich poziomu, a partia nie chce w swoich szeregach słabych członków.

– Nie jestem słaby! Wzbudzam respekt.

Liuszkow wypuścił z ust kłąb dymu.

– Gdyby tak było, nikt nie odważyłby się spojrzeć w waszym kierunku, a tym bardziej porwać na znieważenie.

Fiodor w złości mocno zacisnął szczęki. Liuszkow miał rację. Władza nie potrzebowała kogoś, na kogo w każdej chwili można naskoczyć i kto musi wdawać się w bójki, żeby pokazać swoją pozycję. Władza chciała ludzi silnych jak Stalin, stałych jak stepy Kaukazu i zimnych jak Syberia.

– Towarzyszu Bucwald, wasz raport też daje mi dużo do myślenia. Praktycznie nie ma w nim wzmianki o kolektywizacji, a jako jeden z niewielu towarzyszy macie idealne warunki, by się popisać w tym względzie. Wieś gospodarką stoi. I to nie byle jaką. W dodatku do

kołchozu przyzwyczajona, bo czyż ta dziwna zależność między Rozwadowskimi a ich ludźmi nie jest jak kołchoz?

– Pracuję nad tym, żeby namówić Rozwadowską, by oddała wszystkie swoje ziemie, ale ona w męża wpatrzona, sama decyzji nie podejmie, bo to jego ojcowizna. A ten rozpłynął się w powietrzu i wszystko się opóźnia.

– Jego ojcowizna… Toż to sowieckiej Rosji ziemia, a nie jakiegoś obszarnika! A ty bawisz się w ciuciubabkę z tymi krwiopijcami socjalistycznego ładu i pasożytami żyznej ziemi, zamiast działać.

– Racja, komisarzu – przyznał Fiodor, choć tylko po to, by Liuszkow wreszcie przestał go obrażać. – Postaram się poprawić i przyznaję, że nie mam ostatnio pomysłu, jak dobrze rozegrać tę sytuację, która, jak sam pan przyznaje, jest dość nietypowa.

– Otóż to, towarzyszu. Dlatego dla przykładu ostatni raz daję wam radę, żebyście brali dupę w troki, bo jeśli następnym razem będę musiał się fatygować i inwigilować wasze dokonania albo, nie daj Boże, samemu się za to zabierać, towarzyszu… – odparł, bacznie wpatrując się w Fiodora, po czym wstał i sięgnął po karafkę wypełnioną trunkiem w herbacianym kolorze – to będę z wami rozmawiał inaczej. – To powiedziawszy, odsunął ręką połę marynarki i położył palce na kaburze pistoletu.

Bucwald z trudem przełknął ślinę, wiedząc, że nie może się już poddawać babskim umizgom ani pobłażać ludziom w Maliniczach. W porównaniu z innymi członkami partii już wystarczająco długo zwlekał z twardymi decyzjami. Czas to zmienić. Stawką była śmierć. A on za nic w świecie nie chciałby oddawać życia za jakiegoś Polaka.

* * *

Noc jaśniała w blasku księżyca okrągłego jak pieniążek, lecz w gęstwinie świerkowego lasu panowała ciemność jak w mysiej norze. Staszek kroczył po omacku. Jego oczy nie mogły się

przyzwyczaić do mroku, stawiał więc stopy tam, gdzie przez rzadkie listowie spływały strużki srebrnej poświaty. Męczyło go przedzieranie się przez las, bo co chwila potykał się o wystający konar czy plątał nogawki spodni w cierniste pędy jeżyn.

Obok siebie słyszał kroki Maćka Fleszara i jego ciężki, zmęczony oddech. Chłopak od kilku godzin się nie odzywał i to milczenie ciążyło na Staszku bardziej niż atmosfera złowrogiego otoczenia. Sytuacja, w której się znaleźli, wymagała wyjątkowego wsparcia, zaangażowania, poczucia jedności oraz pewności, że w razie potrzeby mogą na siebie liczyć. Tymczasem Staszek, nieadekwatnie do winy, tylko na sobie czuł odpowiedzialność za wypadek i późniejsze perypetie. Sądził, że uchronią ich one przed wysłaniem do łagru, a tymczasem teraz musieli ukrywać się w lasach.

Odkąd tylko zerwali się z peronu, Maciek był obrażony jak baba. Najpierw dąsał się na Staszka za jego zachowanie przy naczelniku. Później, gdy na skraju ostatniej wsi usłyszeli, jak robotnicy rozmawiają o obławie na „parszywych szpicli z kolei", o mały włos nie zszedł z tego świata na zawał serca. A gdy Staszek usiłował postawić go do pionu, zaciął się w sobie i od tamtej pory nie odezwał się do kolegi ani słowem.

A jednak, wyrzekając się snu, nieprzerwanie towarzyszył mu w podróży, choć jedynym wyznacznikiem ich kursu ku granicy Rzeczypospolitej było zachodzące słońce. Wiedzieli, że od Polski dzieli ich kilka, może kilkadziesiąt kilometrów, lecz ta wędrówka ciągnęła się w nieskończoność. Zupełnie nie byli do niej przygotowani, a myśl o obławie dodatkowo ich paraliżowała. Burczenie w brzuchach zdawało się komponować z trzaskiem igliwia pod ich stopami, a każde pohukiwanie sowy czy przypadkowe ujadanie psa w oddali doprowadzało ich na skraj wyczerpania nerwowego. Dlatego też cisza między nimi, niczym niewidoczna ściana, była tak dokuczliwa, a Staszek miał wrażenie, jakoby sam musiał mierzyć się z tym wyzwaniem, jakim była ucieczka.

Usłyszawszy nagłe przeciągłe syknięcie kolegi, westchnął i nie wiadomo który już raz tej nocy znalazł się bliżej Maćka. W milczeniu pomógł mu się wygramolić z kłujących chaszczy; widząc w nikłej łunie księżyca jego umazaną od łez twarz, nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Co ty, Maćko, po krzakach nigdy nie chodziłeś? – odparł z lekką dezaprobatą, dostrzegając wystraszone oczy kolegi, błyszczące na tle brudnej i zmęczonej twarzy. Ten widok z kolei wzbudził w nim współczucie.

– Nie musiałem – burknął tamten.

– Nie musiałeś? Toż to czysta przyjemność.

– Co przyjemnego jest w ukrywaniu się?

Staszek zbył milczeniem pytanie zabarwione łzawym lękiem. Owszem, może sytuacja, w jakiej się znajdowali, nie była najlepsza, ale przecież dzięki Staszkowi nie przydarzyło im się nic złego.

Gdyby to tylko Maciek stał przed naczelnikiem, z pewnością ze strachu najpierw narobiłby pod siebie, a później zapewne przedłożyłby nadgarstki celem zakucia w kajdanki. W żaden sposób przecież nie przysłużył się temu, że, jak by nie patrzeć, nadal byli wolnymi ludźmi. Może NKWD faktycznie ich tropiło, ale wciąż mieli szansę na wydostanie się z tego parszywego zdradzieckiego kraju. Do Polski było już blisko, jak rzut beretem, a że musieli uciekać w nocy… Czyż nie takie chwile są kwintesencją ludzkiego życia? Czyż właśnie nie tę przygodę będą z uśmiechem wspominać na starość?

– Ekscytacja. Nie mów, brachu, że nie czujesz tego zrywu wolności w trzewiach. – Staszek sprzedał Maćkowi kuksańca, przez co chłopak zachwiał się i o mały włos kolejny raz wpadłby w krzaki.

– W dupie mam taki zryw – warknął Fleszar.

– No, dawaj, Maciek, rozpłacz się! Na co czekasz? – Staszek się napuszył. – Przecież w takiej dupie jesteśmy, że ino siąść na niej i beczeć jak dziecko.

Maciek w odpowiedzi tylko wsadził ręce do kieszeni i z nadąsaną miną obrócił się do niego plecami.

„Cóż za kara z niebios mnie spotkała, żebym przygodę życia musiał przechodzić z taką niedorajdą" – pomyślał Staszek, ciężko wypuszczając z siebie powietrze.

Przeszedł kilka kroków i zobaczył, że las nareszcie się rozrzedza, a między pniami drzew migocze tafla wody. Po chwili przyszło mu do głowy, że oto przed nimi ścieli się wielkie jezioro, na którego brzegu mogło zdarzyć się wszystko. Staszek nigdy nie był poszukiwany, lecz gdyby to on odpowiadał za przeprowadzenie obławy, to właśnie w takim miejscu ustawiłby swoich ludzi. Na obrzeżach lasu, nieopodal granicy państw, nad jeziorem, którego przekroczenie wpław po wielodniowej wędrówce okazałoby się zabójcze dla uciekinierów. Tu nie było innej możliwości, jak tylko wpaść w sidła zasadzki.

Zachwiał się pod ciężarem własnych myśli, które tłoczyły do jego żył lodowaty strach. Zwolnił kroku, starając się niemal niesłyszalnie stąpać po iglastym poszyciu. Maciek za to przyspieszył, z chrzęstem rozgniatając pod butami szyszki.

– Ciszej, durniu – wyrwało się Staszkowi. – Patrz i słuchaj, co się dzieje, bo las się kończy.

Fleszar zatrzymał się w pół kroku.

Staszek wstrzymał oddech i próbował wytężyć słuch, jednocześnie modląc się w duchu, by dosłyszeć jedynie pełną spokoju ciszę.

Lecz jego pokorne prośby nie zdążyły wznieść się ku niebiosom, ponieważ nieopodal dosłyszał ciężkie sapnięcia i głośny, błagalny szept. Po chwili dostrzegł zarys klęczącej postaci. Pochylony człowiek chyba wpatrywał się w poszycie i tylko jasny blask księżyca oddzielał jego lico od ciemności w tle.

– Zostań tu – szepnął Staszek do Maćka, po czym spinając w sobie całą siłę, ruszył w tamtym kierunku.

Gdzieś w duszy słyszał szept intuicji, że to zasadzka i że powinien czym prędzej zawracać, a jednak ciekowość oraz wrodzona empatia brały górę nad zdrowym rozsądkiem.

Im bliżej był postaci, tym wyraźniej słyszał płacz i błagalne słowa. Pociąganie nosem, ciche modlitwy, łzawy szept, gwałtowne wyrzuty, przez które przebijała się rezygnacja.

– Boże, dopomóż. Boże…

Delikatna dłoń wzniosła się i starłszy z twarzy łzę, opadła wzdłuż tułowia.

Staszek był już na tyle blisko, że zdołał dostrzec dojrzałe, zapłakane lico kobiety. Wpatrywała się w leżące przy niej ciało mężczyzny.

Zaczął biec.

– Co się stało? – rzucił, jednym susem doskakując do nich, czym wywołał w kobiecie popłoch. Głośno krzyknęła, wystraszona jego obecnością. – Cicho, kobieto! – syknął. – Powiedz lepiej, co się stało? Ktoś was napadł?

Przez chwilę patrzyła się na niego oniemiała, jak gdyby był zbłąkaną zmarłą duszą.

– Nie bój się mnie. – Staszek padł na kolana obok niej i przyjrzał się mężczyźnie w sile wieku, który leżał na ziemi bezwładnie. Na jego białej koszuli wykwitła wielka plama zaschniętej krwi. – Napadł was kto? – zapytał ponownie Staszek i to chyba ocuciło kobietę, ponieważ gwałtownie potaknęła głową.

– Nie wiem, chyba tak – szepnęła. – Zniknął mi z pola widzenia po południu, a później, gdy pobiegłam go szukać, znalazłam go tu, ale nie mam siły dźwignąć, a trzeba by go zanieść do chaty, do lekarza… – mówiła szybko, zanosząc się płaczem.

Na te słowa Staszek poczuł, jak adrenalina uderza mu do skroni. W jednej chwili zniknęły wszystkie obawy i lęki o możliwość demaskacji. Przestał dbać o to, że musi czym prędzej wydostać się

z ZSRS, ponieważ teraz musiał pomóc. To leżało w jego naturze ponad wszystkim innym.

– Nie płacz już. Pomogę ci.

Schylił się, próbując ostrożnie chwycić mężczyznę pod ramiona, lecz nieprzytomne ciało zdawało się ważyć tonę.

– Maciek! – rzucił w eter Staszek. – Chodź tu, ino szybko!

Maciek zjawił się po chwili, chwiejąc się na nogach. Na jego twarzy malowało się przerażenie, a jednak nie wahał się dołączyć. We dwóch zupełnie sprawnie podnieśli mężczyznę, który ocknął się na moment i jęknął cicho. Słysząc to, kobieta westchnęła z ulgą, po czym szybko ruszyła przed siebie, w głąb lasu, który dopiero co pokonali.

Staszek nie spuszczał jej z oczu, choć ona, jak gdyby zapominając, że niosą za nią ciężkiego mężczyznę, susami przebiegała raz na lewą, raz na prawą stronę. Po kilku chwilach znaleźli się na polu, gdzie na niewielkim wzniesieniu stał dom.

– To tam, zanieście go pod drzwi, ja pobiegnę po pomoc. – Kobieta wskazała dłonią w tamtym kierunku, a sama popędziła w prawo i szybko zniknęła im z pola widzenia.

* * *

Lipcowa bezwietrzna i roziskrzona gwiazdami noc mimo całego swojego romantyzmu miała w sobie również coś złowieszczego. Emilia nie potrafiła ubrać w słowa odczuć, jakie jej teraz towarzyszyły. Tylko niezidentyfikowany dreszcz przebiegający po jej ciele dawał znać o wzniosłości tej pory, jak gdyby właśnie ta noc miała na zawsze zapisać się w jej pamięci.

Z pikniku u hrabiny wracała do domu w milczeniu, puszczając mimo uszu nerwowe pomrukiwania babci i dociekliwe pytania stryjenki Pelagii. W końcu wszyscy widzieli bójkę wywołaną przez Bucwalda chwilę po tym, gdy Emilia oddaliła się od niego. Babka

i stryjenka uważały, że dziewczyna ma z tym jakiś związek. Ona jednak nie znała odpowiedzi na te pytania i nie zamierzała się nad nimi zastanawiać. Sama bowiem była zaskoczona zachowaniem Fiodora, choć odnosiła nieodparte wrażenie, że nie z jej przyczyny mężczyzna dał się ponieść – zupełnie niepotrzebnie – emocjom.

Tym, co zdumiewało ją jeszcze bardziej, była ona sama. Nie mogła wyjść z podziwu nad dotąd nieznanym własnym śmiałym obliczem, jakie dziś pokazała światu. Spacer z Fiodorem był bowiem jej pierwszym spotkaniem z mężczyzną bez obecności zaborczej babki, która prócz bacznego obserwowania wnuczki zawsze wiodła prym w rozmowie. Gdyby tylko wiedziała, z jaką bezceremonialnością i arogancją Emilia rozmawiała z Bucwaldem, wyrzucałaby jej to zapewne aż do śmierci, wypominając te wszystkie lata poświęcone na szlifowanie dziewczęcych manier. Emilia, myśląc o tym, jak czuła się w tamtej chwili, kiedy zerwała się z uprzęży, uśmiechała się pod nosem. Bawiło ją i zachwycało, jak pewnie i dumnie czuła się przy boku człowieka, który topniał pod wpływem jej spojrzenia. Rosła w siłę, widząc jego zmieszanie i niepasujące do zajmowanej przezeń pozycji rozedrganie, gdy podczas rozmowy konfrontowała go ze swoją zuchwałością, która nie miała nic wspólnego z klasycznymi zasadami obycia. Podobała jej się ta nowa rola; mogła nie tylko decydować o swoim zdaniu, ale również tak prowadzić rozmowę, by wygrać potyczki słowne z mężczyzną starszym o przeszło dekadę. I choć Fiodor trzymał w garści rolników z całej okolicy, Emilia miała wrażenie, że ona siłą swojego charakteru trzyma w garści jego.

Jednak im bliżej była domu, tym wyraźniej docierały do niej słowa babki i stryjenki oraz ich lęki o przyszłość. Wszyscy przecież widzieli jej przechadzkę z Fiodorem, a potem bójkę mężczyzn. Pelagia snuła domysły, jakoby Emilia wpadła w oko przeciwnikowi Bucwalda, Lucjanowi Zaworskiemu. A przecież on ma rodzinę, a najstarsza córka jest niewiele młodsza od Emilii.

– A bo to człowiek wie, co takiemu w duszy gra? Niejeden ma ciągotki do młodych dziewuszek, a Zaworski pewnie z niejednej studni wody by jeszcze zaczerpnął. W końcu ta jego żonka to z piętnaście lat młodsza, albo i lepiej. Mogłaby być jego córką. A we wsi mawiają, że odkąd tylko mógł, to dzieci płodził.

Emilia z trudem przełknęła ślinę. Znała Malinicze od podszewki i wiedziała, że teraz znajdzie się na językach nie tylko polskich chłopów, rolników, sprzeciwiających się kolektywizacji kułaków oraz pracowników kołchozu, ale też wmieszanych w lokalną społeczność Ukraińców, Rosjan i Żydów. Konsekwencji tej niechlubnej sławy nie potrafiła przewidzieć, ponieważ nigdy dotąd nie doświadczyła niczego podobnego.

Popędzana niepokojem przyspieszyła kroku, chcąc jak najprędzej znaleźć się w zaciszu swojego pokoju. Wyprzedziła nieco babkę i stryjenkę, śmiało przejmując rolę przewodniczki tego rodzinnego pochodu, co Pelagia skwitowała kąśliwą uwagą, jakoby Emilia po kilku minutach spaceru z Bucwaldem stała się bezpruderyjna, mimo zakorzenionej w duszy ogłady.

Emilia próbowała tego nie słuchać i cieszyć się z faktu, że babka nie skarciła jej za to śmiałe zachowanie, i parła dalej przed siebie. Kiedy jednak ich oczom ukazał się rodzinny dom, dziewczyna w ułamku sekundy pożałowała swojego krnąbrnego występku; zdecydowanie wolałaby iść z tyłu i nie narażać się na tak silne nerwy.

W domu paliły się świece, oświetlając wnętrze jadalni oraz leżącego na stole ojca, nad którym pochylały się matka i akuszerka z sąsiedniej wsi, przyjmująca na świat większość mieszkańców Malinicz. Emilia na ten widok poczuła silne zawroty głowy. Tysiące chaotycznych myśli pędziło jej od skroni do skroni, a każda z nich pchała do jej żył kolejną porcję strachu. Rzuciła się pędem ku ojcu jak wicher, zdając się nie widzieć niczego prócz półnagiego ciała leżącego na stole. Wszystko wokół zastygło, jakby zmrożone jej gwałtownym zachowaniem. Śmiertelna cisza kłuła w uszy,

a wpatrzone w nią zdezorientowane pary oczu, osadzone w bladych twarzach, potęgowały poczucie niepokoju.

– Co tu się dzieje? – krzyknęła Emilia, obrzucając matkę i akuszerkę przerażonym spojrzeniem, po czym doskoczyła do stołu, lecz wtedy położna pacnęła ją w rękę brudną od krwi i wielką niczym męska dłonią.

– Zabieraj to, bo całkiem stracę cierpliwość – warknęła do Kornelii.

Matka Emilii jednak nie zareagowała. Stała w otępieniu, trzymając na naręczu skrawki pociętego prześcieradła, z których do metalowej miski wypełnionej wodą o mętnym, czerwonym od krwi kolorze skapywały pojedyncze kropelki.

Nagle Emilia poczuła na swoich ramionach czyjeś dłonie i obróciła się gwałtownie. Zobaczyła nad sobą twarz młodego mężczyzny o kasztanowych włosach i zielonych oczach, w których dzięki żółtej, nierównej otoczce źrenic zdawało się skrywać światło.

– Chodź, nie możesz teraz przeszkadzać – powiedział miękko, a ona instynktownie wyrwała się z jego uścisku.

– Jezusicku! Co się tutaj dzieje? – krzyknęła Pelagia, wchodząc do izby.

Zaraz za nią weszła Katarzyna.

– Zabierzta je, bo zaraz stracę cierpliwość! – Akuszerka warknęła niczym pies wyczuwający zagrożenie.

Dwóch młodych nieznajomych usłużnie skinęło głowami, po czym wyprowadzili Emilię, Pelagię oraz Katarzynę do salonu.

– Co to ma znaczyć? – uniosła się Katarzyna. – I kim wy w ogóle jesteście?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, jakby szukali we własnych oczach odpowiedzi na te pytania. W końcu ten, który przez chwilę przytrzymywał Emilię, najwyraźniej uznał, że przejmie inicjatywę, bo postąpił krok naprzód i odparł:

– Znaleźliśmy pana Jonasza na skraju jeziora i pomogliśmy pani Kornelii przenieść go do domu.

– Pani Kornelii – parsknęła Pelagia. – Toż to oksymoron.

– Cicho, głupia – skarciła ją Katarzyna i wwierciła się spojrzeniem w mężczyznę. – Gdzieście go znaleźli?

– Na skraju lasu.

– A konkretnie?

– Nie wiemy – wtrącił drugi. – My nie stąd. Przypadkiem byliśmy w okolicy.

Pelagia zaśmiała się i przewróciła oczami.

– Przypadkiem byliście w lesie po zmroku? To ciekawe, zważywszy na to, że niemal wszyscy z tej okolicy byli wtedy na pikniku. Na pewno wy go tak urządziliście!

– Niedorzeczność! – odparł gwałtownie pierwszy. – Jaki interes mielibyśmy w krzywdzeniu nieznajomego mężczyzny, a potem przywleczeniu go do domu?

W salonie zapanowała cisza zakłócana jedynie nierównomiernymi sapnięciami. Nagle przerwał ją głośny pisk nienaoliwionych zawiasów i w drzwiach pojawiła się akuszerka. Obciągnęła podwinięte do łokci rękawy i spojrzała przelotnie na zgromadzonych. Przez chwilę poprawiała sobie jeszcze mankiety, jakby pod baczną obserwacją innych nie mogła się skupić na tej prostej czynności. Wreszcie uniosła wzrok i popatrzyła ze złością, czując na sobie powinność ustosunkowania się do pełnych oczekiwania spojrzeń.

– Nic mu nie będzie – burknęła – ale niech się nie schyla przez następne dni, bo mu się jeszcze szwy rozejdą.

Stryjenka Pelagia nerwowo wciągnęła powietrze, a babka z impetem wstała z sofy.

– Dziękuję, pani Konieczna, jednak proszę powiedzieć, co mu się stało, ponieważ…

– Nawinął się – rzuciła akuszerka, spiesząc ku drzwiom wyjściowym i ignorując wszelkie zasady savoir-vivre’u.

– Nie rozumiem. – Katarzyna ruszyła za nią, a w krok za kobietą rzuciła się Emilia, wiedząc, że jeśli zostanie w salonie, nikt jej później

nie wyjaśni tej sytuacji.

Akuszerka z brudną od krwi jasną bluzką, opinającą się na jej obfitym biuście, i w sięgającej do kostek bawełnianej spódnicy, wyglądem przypominającej teraz kuchenny fartuch po świniobiciu, obróciła się na pięcie. Na tle niknącego w mroku podjazdu wyglądała jak postać wyjęta z sennego koszmaru.

– Normalnie komuś, na nóż, ale nie truj mnie już, Kaśka, bo jutrzenka zaraz zajaśnieje, a jam jeszcze głowy do poduszki nie przytuliła. Wstanie ten twój, pożal się Boże, synuś, to ci wyjaśni, a mnie już nie męcz. Droga przede mną długa, a nawet podwieźć nie ma komu.

Katarzyna rozwarła szeroko usta, zaskoczona bezpośredniością akuszerki.

– Ja panią odwiozę – wyrwała się Emilia zza pleców babki, co natychmiast ocuciło Katarzynę.

– Chybaś całkiem rozum postradała, moja pannico!

– Ale babciu, należy się wynagrodzenie za pomoc, a…

Przecież nie mamy pieniędzy – chciała dopowiedzieć, lecz ugryzła się w język.

– Przecież ty nigdy nie powoziłaś! – Katarzyna przeżegnała się szybko.

– Ja powoziłem, całe dzieciństwo snopy siana z ojcem zbierałem po polu, a i ludzi się wiozło na wykopki – usłyszała Emilia za plecami.

Obróciła się i powiodła spojrzeniem po mężczyźnie o kasztanowej czuprynie i świetlistych oczach. Uśmiechał się lekko i jego twarz nabrała miłego i przyjacielskiego wyrazu, jak gdyby należała nie do obcego, a przyjaciela domu. Tuż za nim stał jego krępy kolega, a dalej, w progu, Kornelia z Pelagią. Młody chłopak uniósł krzaczaste brwi i patrzył to na Emilię, to na Katarzynę w radosnym oczekiwaniu, jak gdyby miał już pewność, że ich odpowiedź na jego propozycję będzie twierdząca.

– A poza tym to idealne podziękowanie również dla nas, wszak podwózki do granicy Rzeczypospolitej potrzebujemy teraz bardziej niż czegokolwiek innego – dodał.

Emilia uśmiechnęła się pod nosem, widząc, jak twarz babci pokrywa się fioletowymi wybroczynami. To mogło oznaczać tylko jedno.

– Chyba żeście powariowali, że do granicy was ktoś będzie odwoził?! Kim wy w ogóle jesteście?

Nieznajomi rzucili sobie przeciągłe spojrzenia, jak gdyby znów niemo próbowali uzgodnić między sobą wersję.

– My… – Wyższy, zielonooki, potarł dłonią kark.

Emilia uśmiechnęła się, widząc ten gest zmieszania, który w oczach jej babki, upadłej szlachcianki, stanowił przekroczenie wszelkich norm obycia.

– Jesteśmy wędrowcami – dokończył.

Stojąca za nimi stryjenka Pelagia zaśmiała się w głos.

– Wędrowcy… Gdzieście więc zgubili swojego Baltazara?

Chłopak posłał jej poirytowane spojrzenie.

– Czeka na nas przy stajence.

– Dość tych głupich żartów! – huknęła akuszerka. – Odwozicie nas czy dalej taką sknerą będziesz, Kasiula, że szkoda ci zmarnować nawet końskiej werwy? – Spojrzała na babkę spode łba, a ta zapłonęła wściekłym rumieńcem.

– Przecież jeśli was ktoś złapie przy granicy… – Pelagia przyłożyła dłoń do ust. – Toż to pakowanie się śmierci pod kosę!

– Odwozimy! – skwitowała butnie matka Emilii i śmiało zeszła z ganku. – Pojadę z wami. Należy się odwdzięczyć za pomoc. Chłopcy nieśli Jonasza aż spod jeziora i tylko dzięki nim biedak nie wykrwawił się do cna. Jeśli dowodem wdzięczności będzie podwiezienie do granicy, zrobię to.

Katarzyna, Emilia i Pelagia patrzyły na Kornelię oniemiałe. Jeszcze nigdy tak zdecydowanie nie wyraziła swojego zdania.

– Całkiem rozum postradałaś! – skarciła synową Katarzyna.

– Trudno – odgryzła się Kornelia, a Emilia wybałuszyła oczy ze zdziwienia. – Ci chłopcy uratowali mojego męża, więc ja pomogę im się przedostać do Polski.

Katarzyna złapała ją za łokieć.

– I w razie niepowodzenia oddasz życie za obcych ludzi?

– Ktoś, kto ratuje najważniejszą osobę w moim życiu, nigdy nie będzie mi obcym! – warknęła matka Emilii, czym wprowadziła Katarzynę i Pelagię w jeszcze większe osłupienie.

– Świetnie! – Akuszerka klasnęła w dłonie. – Jedna mądra w tym domu.

Emilia uśmiechnęła się przekornie pod nosem i pokręciła głową. Pani Konieczna patrzyła na jej matkę zupełnie inaczej niż stryjenka i babka. Bez słowa ruszyła za matką do stajni, czując ekscytację na myśl o wyprawie do Polski.

1980 rok, Zachodniopomorskie

– Czyli poznałaś się z tatą jeszcze przed wojną? Myślałam, że dopiero w trakcie… – przerwała Eleonorze Małgorzata.

Wspomnienia jej teściowej zaskakiwały jaskrawością i wyrazistością. Musiała je mieć głęboko wpisane w serce, jakby stale odtwarzała je w myślach. Żyły nawet teraz, prawie pięćdziesiąt lat po tamtych wydarzeniach.

– Żebyśmy się wtedy poznali, to za dużo powiedziane – odparła Eleonora. – Właściwie nie wiedziałam nawet, jak ma na imię. On też nie poznał wówczas mojego, tego… pierwszego.

Małgorzata mogłaby przysiąc, że w tej chwili dostrzegła na pomarszczonej twarzy teściowej delikatny rumieniec.

– Ale odwiozłyście ich do granicy?

– Tak, chociaż podczas podróży nie byli szczególnie rozmowni. Głównie milczeli i nie wychylali się znad skrzyni.

– Pewnie się bali, że ktoś ich zobaczy.

– Tak. Wydedukowałam to, gdy pojechałam do Płoskirowa nadać list z rezygnacją ze stancji w Warszawie i zobaczyłam afisze o obławie na dwóch Polaków, którzy spowodowali katastrofę na kolei. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Ale nikomu o tym nie powiedziałam. Zresztą wyobrażasz sobie, jaką aferę urządziłaby stryjenka? Przecież musiałabym tego słuchać przez następne dziesięciolecia, a tak… Lepiej jej się spało w niewiedzy.

– A twój tata? Wydobrzał?

Eleonora westchnęła, wracając myślami do tamtych czasów, lecz jej wspomnienia przerwał warkot samochodu.

Rzeczywistość szybkim ruchem przecięła to wątłe połączenie i znów jasność letniego dnia oślepiła stare oczy kobiety. Eleonora z trudem przełknęła ślinę, jak gdyby powrót do codzienności, życia, które prowadziła od lat tu, na Pomorzu Zachodnim, okazał się wyczerpujący. Posłała synowej rozgorączkowane spojrzenie, a ta przyjęła je ze zrozumieniem.

– Muszę trochę rozprostować kości – powiedziała Eleonora, czując, że tylko wysiłek fizyczny pomoże jej odegnać te dziwne, naładowane negatywną energią myśli.

Z trudem wstała z fotela, lecz kiedy wyszła na zewnątrz, ze zdziwieniem odkryła, że jaskrawość dnia jej nie przytłacza, a wywołuje falę wzruszenia.

Ogród przed domem tonął w kolorach kwitnących roślin, które wdzięczyły swoje główki do nieba, a owady i motyle przysiadały na ciemnych jądrach kwiatostanów. Feeria zapachów nie dusiła jej jak zwykle, gdy Eleonora odczuwała przesyt bodźców, lecz czule drażniła nozdrza. Na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Uniosła dłoń do czoła, robiąc z niej daszek, i patrzyła, jak mężczyźni jej życia wysiadają z lśniącego czerwienią samochodu.

Byli niemal identyczni – obaj monumentalni, barczyści i prości, jak gdyby tę sylwetkę panowie w ich rodzie dziedziczyli z pokolenia na pokolenie. Pod ich koszulkami rysowały się kształtne mięśnie, a gęste czupryny lekko pofalowanych włosów wznosiły się nad wysokim czołem. Tym, co ich różniło, był czas, który kasztanową głowę Stanisława smagnął pędzlem siwizny. I jeszcze zmarszczki, znów niemalże w tych samych miejscach, lecz u Stanisława znacznie wyraźniejsze, wyrzeźbione na stałe, podczas gdy u Pawła uwidaczniały się jedynie w chwilach, gdy zmieniał mu się nastrój.

– Dzień dobry, mamo – odezwał się młodszy z mężczyzn, zasłaniając swoim wysokim ciałem słońce i przytulając się do Eleonory. – Dobrze dziś wyglądasz.

– Dziękuję, synku. Co z samochodem?

Marcin spiął usta.

– Będziemy musieli znaleźć innego mechanika, bo ten wyjechał na urlop. Ale to jutro, dziś już i tak każdy warsztat zamknięty. No i podróż mocno dała nam się we znaki. – Spojrzał na Małgorzatę, która stała obok, a w jego spojrzeniu matka dojrzała pełne troski i zrozumienia uczucie. – Potrzebujemy odpocząć.

– Dobrze, chodźcie do środka. – Eleonora obróciła się i otworzyła na oścież drzwi. – Zaraz przyniosę wam coś do picia.

Małgorzata i Marcin weszli do domu, a Staszek podszedł do Eleonory, objął ją w pasie i czule pocałował w czubek głowy.

– Cieszę się, że wrócił ci dobry humor.

– Pobyt dzieci zawsze poprawia mi nastrój.

– Tak, Gosia ma na ciebie wspaniały wpływ. Dobrze, że nasz syn wprowadził taką dziewczynę do rodziny.

– Masz rację, Stasiu.

Weszli do środka i skierowali się do kuchni. Gosia zdążyła już nastawić wodę na herbatę i wyjąć porcelanę z kredensu. Eleonora patrzyła na to wszystko z czułością, po czym uniosła wzrok na młodą kobietę.

Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, jedna drugiej posłała ciepły uśmiech, będący wyrazem wdzięczności za zaufanie i możliwość powierzenia tajemnicy.

* * *

Noc była spokojna, lecz Eleonora czuła ciążący na sercu niepokój. Przed zaśnięciem zdawało jej się, że ktoś ją obserwuje, i to wrażenie przebijało się do snów, w których Fiodor trzymał ją za nadgarstki tak mocno, że traciła czucie w palcach. Krzyczała, by ją puścił, lecz on nic sobie z tego nie robił. Napawał się jej lękiem. Zaczęła więc prosić i obiecywać poprawę, lecz on w odpowiedzi tylko śmiał się szyderczo i powtarzał, że nie jest w stanie zaoferować mu nic, czym mogłaby odkupić winy swoich bliskich.

Zerwała się ze snu, zlana potem, i napiła się wody, którą co wieczór szykowała sobie i stawiała na nocnej szafce na wypadek takich sytuacji.

Przez kilka chwil siedziała w ciszy, próbując wyrównać przyspieszony oddech i mocne uderzenia serca. Spojrzała na niebo, na którym wolno przesuwało się kilka chmur zasłaniających gwiazdy, które mimo upływu lat nadal trwały na swoich miejscach.

Do jej myśli powróciło wspomnienie z czasów, gdy ze Staszkiem zamieszkali w tym domu. Chata w głuszy, do której ich przydzielono po powrocie do Polski, zdawała jej się wtedy ostatnim miejscem, w którym chciałaby zostać, ponieważ w razie zagrożenia w promieniu kilometra nie było nikogo, kto mógłby pospieszyć im na ratunek. A jednak, wiedząc, że nie mają dokąd pójść, musiała przełamać ten strach. I zostać.

Na wspomnienie tamtej pierwszej bezsennej nocy nadal ściskało jej się serce. Odgłosy dobiegające z lasu, dziwne i niepokojące, wzbudzały w niej wspomnienia z wojny. Chrobotanie zwierząt szukających pokarmu w runie leśnym przywoływało na myśl widok

grzęznących w poszyciu ciał, pozbawionych życia zapewne podczas ucieczki i pozostawionych na pożarcie drapieżnikom. Wydawało jej się, że te obrazy sprzed kilku lat odradzają się, że tamte ciała wstają z martwych, by dać jej znać, że czekają na jej reakcję, aż je pogrzebie i w ten sposób przywróci im godność. Szelesty spłoszonych ptaków, które z impetem przedzierały się przez listowie, przypominały jej odgłos kroków uciekających robotników, zostawionych na pastwę losu. Do tego stukot pociągu dobiegający gdzieś z oddali…

Miała ochotę zbudzić Staszka i biec przed siebie, w stronę bezpiecznej przystani, tyle tylko że nie znała kierunku. Polska utraciła potęgę, szerzyło się bezprawie, nikomu nie można było ufać, nikomu się zwierzyć, bo ludzie patrzyli na siebie wrogo. Zwłaszcza tu, gdzie to, co poniemieckie, zdawało się należeć do wszystkich i nikt nie mógł mieć gwarancji, że następnego dnia nadal będzie tu mieszkać. Coś jej podpowiadało, że jedynym miejscem, w którym poczuje się bezpiecznie, będą jej rodzinne strony i ramiona matki – lecz tam wrócić nie mogła. Tam czekało ją tylko wyrównanie rachunków.

I wtedy, tak jak teraz, zza chmur wyłoniło się czarne płótno nieba, na którym iskrzyły gwiazdy. Znała ich ułożenie na pamięć, bo wpatrywała się weń latami, siedząc na parapecie rodzinnego domu w Maliniczach. Teraz ten widok nie sprawił, że poczuła się bezpiecznie. Było w nim jednak coś, co przywodziło jej na myśl dzieciństwo i pozwoliło złapać oddech. Nerwowy, niespokojny oraz krótki, którym na moment nakarmiła obkurczone strachem płuca i skołatane serce.

* * *

Eleonora nie wiedziała, kiedy zasnęła. Zapewne musiało to się stać nad ranem, gdy pierwsze promienie słońca rozpychały czerń nocy

daleko na nieboskłonie.

Kiedy jednak zorientowała się, że jest w łóżku sama, a z parteru dobiegają dźwięki rozmowy, wpadła w popłoch. Z zewnątrz przez uchylone okno wdzierał się upał, musiało więc być już późno, a ona dawno powinna wstać. Szybko wsunęła stopy w kapcie i narzuciła na koszulę nocną gruby szlafrok, żałując w duchu, że nie ma żadnego letniego.

Na podjeździe rozległ się warkot silnika samochodu. Eleonora czym prędzej zeszła do salonu, poirytowana na siebie, że w taki dzień pozwoliła sobie na odespanie nocnych koszmarów.

W powietrzu unosił się zapach jajecznicy, smażonej na tłuszczu wytopionym z boczku. Był tak intensywny, że zdawał się przenikać przez ściany. Eleonora przełknęła ślinę, czując olbrzymią ochotę na ulubione śniadanie Staszka. Kiedy znalazła się na dole, zorientowała się, że w kuchni przy stole siedzi jedynie Małgosia. Synowa pochylała głowę nad gazetą, a w dłoni trzymała kubek z kawą. Dwa puste talerze, jeden wylizany do cna i drugi z resztkami po jajecznicy, leżały po przeciwległych stronach blatu. Tuż przy nich stały kubki. Jeden pusty, drugi z kilkoma łykami czarnej herbaty. Eleonora uśmiechnęła się pod nosem na ten widok i od razu wyobraziła sobie Staszka i Pawła. Zawsze, kiedy tylko mieli okazję wspólnie jeść posiłek, siadali naprzeciw siebie, jakby inne miejsca uniemożliwiały im swobodną rozmowę.

– Dzień dobry – zagaiła Eleonora. – Gdzie chłopcy? – zapytała, łając się w duchu, że nadal ich tak nazywa, choć przecież Marcin dawno już wydoroślał i złościł się, gdy mówiła tak o nim w obecności jego żony.

– Pojechali już do Koszalina. Marcin jak zawsze chciał załatwić wszystko od razu.

– I dobrze. Po co ludzie mają wiedzieć, co się dzieje.

– Właśnie. Marcin powiedział to samo.

Eleonora poczuła się nieswojo. Jej czujność wobec plotek miała swój początek w dawnych czasach i nie była nieuzasadniona. Nie przypuszczała, że syn to po niej odziedziczył.

„Cóż, widocznie nie znam go zbyt dobrze" – pomyślała. Nic dziwnego, skoro Marcin w dzieciństwie spędzał czas głównie z ojcem.

– Bo to prawda – powiedziała w końcu. – Ludzie powinni trzymać się swoich rodzin, zamiast wściubiać nos w sprawy innych.

Małgorzata przez chwilę przyglądała się teściowej, kiedy ta nakładała sobie na talerz przestudzoną jajecznicę. Trzymała patelnię nad talerzem tak długo, aż udało jej się zdjąć całe jedzenie.

– Podgrzeję. – Zerwała się z krzesła.

– Nie trzeba, dziecko. Najważniejsze, że jest co do ust włożyć.

Eleonora wyjęła z szuflady łyżkę i nabrała jeszcze z patelni resztki, których nie dała rady ściągnąć drewnianą szpatułką. Czuła na sobie spojrzenie synowej, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Gosia uśmiecha się do niej.

– To też robicie tak samo – powiedziała miękko i parsknęła śmiechem.

– Co takiego?

– No… to nakładanie sobie posiłku. Marcin zawsze tak opędzluje garnek, że nie ostoi się nawet łyżeczka. Wypomina mi często, że przy mnie się roztyje, bo nie mam wagi w oczach i zawsze gotuję za dużo, a on biedny musi to jeść. Ale przecież nie musi. Nic by się nie stało, jak by wyrzucił trochę ziemniaków czy mięsa do śmieci, ale nie… On zawsze musi wszystko zjeść. Jak gdyby za wyrzucanie resztek miał trafić do piekła.

Eleonora poczuła, że gardło ściska jej się boleśnie, a w brzuchu rośnie pełne niepokoju poczucie wstydu.

– Ale dlaczego on tak robi? – zapytała głucho, zastanawiając się, skąd takie zachowanie u jej syna, bo przecież powód swojego znała aż zbyt dobrze.

– Nie wiem właśnie. – Małgosia się zaśmiała. – Pewnie to u was dziedziczne.

– Przecież Marcin do ojca podobny i po nim wszystko… – Eleonora umilkła, jak gdyby silny wiatr nagle dmuchnął w jej ciało i zabrakło jej tchu w piersi.

„Czy to możliwe, żeby Marcin robił tak z tych samych pobudek co ja?" – zastanawiała się w duchu. Nie… Z trudem przełknęła ślinę. „Przecież jego jeszcze nie było na świecie, kiedy to wszystko się wydarzyło".

– Z wyglądu owszem. – Małgosia upiła łyk kawy, a Eleonora wolno usiadła przy stole z talerzem. – Ale charakter ma po mamie. Chociaż nie, to chyba nie charakter, a wrodzone zachowania. Czasem jak tak patrzę na niego, zdaje mi się, że jest twoją kopią. W jego ruchach, jak przez kalkę, odbijają się mamine.

– E tam. – Eleonora pokręciła głową i zaczęła grzebać widelcem w talerzu, choć całkiem straciła apetyt. Czy jej syn naprawdę mógłby przeżywać takie samo wewnętrzne rozdarcie jak ona? Tylko dlaczego? Przecież jego życie było pozbawione trosk… A przynajmniej ona starała się robić wszystko, żeby takie było.

– Zawsze mnie to bawiło i w sumie nadal bawi, kiedy tak patrzę na was i znajduję więcej podobnych zachowań – ciągnęła Małgorzata. – W wielu aspektach jesteście tacy podobni. Nawet zaczęłam się zastanawiać, czy te zachowania mogą przechodzić z pokolenia na pokolenie.

– Co ty mówisz, dziecko? – Eleonora poczuła, że jej ciało zaczyna ogarniać zdenerwowanie.

– No… Może to dziwnie brzmi, ale pewne przyzwyczajenia, zachowania czy lęki dziedziczymy po przodkach.

– Absurd.

– Niekoniecznie, mamo. Większość problemów natury psychologicznej to skutek pewnych zmian w genotypie. Co prawda nauka nie poszła jeszcze tak do przodu, żebym mogła wyjaśnić teraz

cały mechanizm i sposoby tworzenia się stanów lękowych czy apatii, ale i ja, i wielu moich kolegów po fachu głęboko wierzymy, że ich początek leży w przeszłości.

– Przeszłość Marcina była spokojna i bezpieczna – skwitowała szybko Eleonora. – Ale… – zająknęła się, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens słów synowej. – To znaczy, że Marcin ma jakieś lęki? Przecież on zawsze taki poważny, ułożony i zorganizowany.

Małgorzata spoważniała.

– On działa podobnie do ciebie – odparła smutno. – Zawsze wszystko musi mieć zapięte na ostatni guzik. Wszystko pod kontrolą. Tak jak ty. A jednak za każdym razem widzę w mamy oczach to samo rozedrganie i strach co u Marcina. Szybkie, nerwowe spojrzenia, jakbyście chcieli sprawdzić, czy nikt obcy nie czai się w krzakach. Albo to kompulsywne obracanie się przez ramię. Kiedyś go nawet zapytałam, o co chodzi. Powiedział, że musi upewnić się, czy nikt go nie śledzi. Choć przecież on nigdy nie zrobił nic złego! – westchnęła. – Ale im dłużej patrzę na was, tym wyraźniej widzę, że brak zaufania jest jedną z wielu cech, jakie mój mąż odziedziczył po mamie. – Przez chwilę bawiła się serwetką. – Myślę, że dorastał, słysząc echo waszych wspomnień. One nakazywały mu powielać wasze zachowania, bo ilekroć go pytam o sedno jego działań, on nie do końca rozumie, dlaczego tak się zachowuje. A mimo to nadal tak robi, jak gdyby miał te schematy wdrukowane.

Eleonora odłożyła widelec na talerz, całkiem tracąc ochotę na jedzenie. Starała się wyprzeć z myśli to, o czym mówiła synowa, a jednak kolejne słowa atakowały ją ze wzmożoną siłą. No i nie mogła zaprzeczyć, że Małgorzata była też dużo lepiej wykształcona, więc może…

– Może Marcin podświadomie pamięta coś, co ty wyparłaś ze swojego życia, mamo. Tę… rodzinę na Ukrainie i to, co się tam stało.

– Nie! – Eleonora poczuła narastającą złość. – To wszystko działo się wiele lat temu. Wiele lat przed tym, zanim zaszłam z nim w ciążę.

– A może tamte wydarzenia odcisnęły na tobie tak duże piętno, że podświadomie nauczyłaś Marcina walczyć z czymś, czego nie ma.

Eleonora odniosła wrażenie, że za moment straci przytomność. Wspomnienia z młodości torpedowały teraz jej ciało i duszę. Wszystko to, co przez lata starała się wyrzucić z pamięci, rozgorzało pełnią kolorów we wszystkich możliwych odcieniach brudu.

W głowie usłyszała ulubione powiedzenie Ursel, że „aby poznać wnętrze rodziny, wystarczy przyjrzeć się jej dzieciom".

Mogła więc uciekać i kryć się przed własnymi traumami, a jednak jej dziecko swoim zachowaniem zdradzało wszystkie tragedie jej życia.

– Myślałam, że wystarczy poczekać i to odejdzie – powiedziała głucho, a wspomnienia jak drobinki kurzu znów zaczęły unosić się przed jej oczami. – Że te myśli wiatr poniesie w nieznane, a wspomnienia z czasem stracą swą czepność jak wysuszone rzepy łopianu. Myślałam, że upływ lat przemieni ciężar tamtych dni, że staną się lekkie jak pył, który nie wadząc nikomu, przykryje moje ciało złożone do ziemi. – Odetchnęła ciężko kilka razy. – Wiesz, Gosiu… Bardzo ważna w moim życiu kobieta lubiła mawiać, że zachowanie dzieci jest lustrem całej rodziny. Zadziwiające, jak wiele musiało się wydarzyć, żebym w pełni pojęła jej słowa i zrozumiała, że mój syn stał się odbiciem mojego cierpienia.

Małgosia położyła dłoń na ręce teściowej, chcąc uspokoić jej drżenie.

– Możesz to jeszcze zmienić – odparła miękko.

– Nie da się zmienić przeszłości.

– Ale możesz przestać nią karmić siebie i swoją rodzinę.

– Są rzeczy, o których nie powinno się już rozmawiać.

– A jednak nie rozliczając się z nimi, pozwalasz, by nadal kształtowały twoją rzeczywistość i przynosiły lęk, niezidentyfikowany ból oraz przesłaniały piękno codzienności.

Eleonora spojrzała w pełne ciepła i nadziei oczy synowej i poczuła, jak jej fasada zaczyna się rozpadać. Pod powiekami zamajaczyły łzy, a na duszy legł ciężar odpowiedzialności za los rodziny. Nigdy nie chciała skrzywdzić swoich dzieci, a jednak nieświadomie przekazała im własne największe demony. Jakże więc mogłaby teraz, u schyłku życia, zrekompensować im te wszystkie lata?

– Są sprawy, których nie da się naprawić – odparła zrezygnowana.

– Nie wierzę. Zawsze myślałam, że na wszystko masz rozwiązanie. – Małgosia pokręciła przecząco głową. – Ale skoro tak, to powiem ci coś w sekrecie, mamo. Świat jest tak skonstruowany, że kiedy przychodzą chwile zwątpienia, w zasięgu ręki znajdują się odpowiednie narzędzia, aby ludzie mogli poradzić sobie z problemem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Rozejrzyj się, mamo. – Małgorzata skinęła w stronę otwartego okna. – Wszystko tu idealnie do siebie pasuje. Warunki glebowe, atmosferyczne, mikroorganizmy i te większe; robactwo, owady… Wszystko, co trwa na świecie, ma określoną rolę do odegrania, żeby akurat w danym momencie rośliny zakwitły i wydały plon. Wszystko to, co nas otacza, jest tu z konkretnego powodu i ja także pojawiłam się w waszej rodzinie po coś. Może właśnie po to, by zaczerpnąć nieco ze swojej wiedzy psychologicznej i pomóc wam wprowadzić do życia harmonię.

Eleonora patrzyła na bujną roślinność za oknem. Dawniej marzyła o takiej sielskości, obfitej w kwiaty i warzywa. W tym upatrywała swojego bezpieczeństwa. Dbanie o dobrobyt, pełne brzuchy bliskich zawsze było dla niej priorytetem. Wierzyła, że najedzeni poradzą sobie ze wszystkimi przeciwnościami losu, lecz nie przypuszczała, że powinna otoczyć opieką nie tylko ich ciała, ale i dusze.

– Co takiego się wydarzyło, mamo, że nie pozwalasz sobie na lekkość życia?

– Bieda – odparła w zadumie. – Niewyobrażalna bieda i nieludzki głód.

[1] (ros.) *Objedinionnoje Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenije* – Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny.

[2] (ros.) Kurwa! Kurwa jego mać!

[3] Polska Organizacja Wojskowa.

[4] (ros.) Towarzyszu Bucwald!

[5] (ros.) Chodźcie no tu, towarzyszu Bucwald! Porozmawiamy trochę.

CZĘŚĆ II

1932 rok, Podole

Fiodor był dla Emilii zagadką. Nie wiedziała o nim nic prócz tego, że wszędzie, gdzie się pojawiał, budził popłoch. Kroczył niczym pan i władca tej ziemi, choć mieszkał na niej raptem od kilku tygodni. Kobiety ze wsi mówiły, że zastraszył nawet hrabinę, której męża pewnej nocy zabrali funkcjonariusze NKWD, skatowawszy wpierw do nieprzytomności, co miały potwierdzać ślady krwi na ścianach, sofach i korytarzu prowadzącym do jego pokoju. Rozwadowska pozostała w dworku sama; ogarnięta panicznym lękiem, nie myślała już tak racjonalnie jak wcześniej. Strach o męża nie pozwalał jej jeść, spać ani wychodzić na zewnątrz. Silna, stateczna i wyjątkowa kobieta, która od lat stanowiła dla innych kobiet wzór do naśladowania, po tamtej nocy stała się cieniem dawnej siebie. A wraz z nią cieniem stały się również Malinicze.

Z początku służba i rolnicy pracowali normalnie, z czasem wszyscy jednako zaczęli obawiać się o swój byt. Plotki wznosiły się w powietrze jak pyłki targanych wiatrem mniszków lekarskich i docierały do Dreznalów niczym cichy, złowrogi szept. Emilia słyszała, jak babka ze stryjenką szepczą na temat zmian ze Wschodu. Na temat napływu rozkułaczonych ludzi, którym kilka lat wcześniej na dalekim wschodzie zabrano cały dobytek; kołchozów, sowchozów i gułagów. Szeptały rosyjskie słowa, których Emilia nie

znała i których znaczenia zupełnie się nie domyślała, a jednak za każdym razem, słysząc je, czuła śliski, pełzający po plecach dreszcz.

Babka nalegała, by Emilia nie interesowała się tym zbytnio, wręcz wcale. Katarzyna sama zresztą nie była pewna, co nowe rozporządzenia miałyby oznaczać. Jednak cokolwiek by to było, nie zamierzała iść na żadne ustępstwa. I kiedy Jonasz, który już nieco doszedł do siebie po wydarzeniach w lesie, drżącym głosem wspominał o oddaniu pola pod polrajon[6], stanowczo się sprzeciwiła. A gdy pewnego dnia wyznał, że dług u Bucwalda jest tak wielki, iż nie są w stanie uregulować następnej płatności bez oddania w zastaw kawałka ziemi, Katarzyna poprosiła, by następnym razem osobiście mogła rozmówić się z Fiodorem.

Jakże wielkie było zdziwienie Emilii, gdy babka po tym spotkaniu oznajmiła jej, że przyrzekła rękę ukochanej wnuczki Ukraińcowi.

– Poświęcenie jest czasem jedyną formą przysłużenia się rodzinie – skwitowała swoją decyzję i pozostawiła wnuczkę z jej myślami oraz lękami samą.

Emilia, choć bała się przyszłości, a babka decyzją o wydaniu dziewczyny za Bucwalda wbiła jej sztylet w serce, postanowiła zaufać. Starała się też ją rozumieć. Katarzyna kochała ziemię, a tę miłość podsycała wspomnieniem polskości i czegoś, co niegdyś nadawało sens jej życiu, a czego pomimo usilnych starań nie potrafiła wskrzesić. Emilia nie miała w sobie dość siły, by sprzeciwić się babce. Istniały bowiem w życiu wartości najwyższe z wyższych, które za wszelką cenę należało chronić. A dom, rola oraz rodzina były wśród nich najcenniejsze. Uznała więc, że potraktuje małżeństwo z Fiodorem Bucwaldem jako transakcję wykupu: lepszego życia dla rodziny. Być może ten krok pozwoli wyrwać się jej bliskim z rąk lichwiarzy i funkcjonariuszy NKWD.

Po spacerze podczas pikniku u Rozwadowskiej nie bała się Fiodora, nawet ją fascynował, choć myśl o ciągnącej się za nim złej sławie coraz częściej mąciła jej umysł. Mimo to Emilia była pewna swojej

siły, którą zaszczepiła w niej babka. Niezachwiana pozycja Katarzyny oraz jej mądrość życiowa stały się dla dziewczyny filarem jej własnych przekonań. Jedynym, o co miała żal do babki, było serce.

Zawsze pragnęła wyjść za mąż z miłości – tak jak zrobiła to jej starsza siostra, która wyjechała za mężem do Lwowa. Prowadzili tam sklep kolonialny i doczekali się ślicznej córeczki.

Emilia wmawiała sobie, że nie każdy jest stworzony do miłości. Niektórzy mają w życiu do spełnienia ważne zadanie. A to, co planowała zrobić ona, będzie najlepsze dla wszystkich. Rozsądne i racjonalne. Sprzeczne z tym, co dyktowało jej serce, ale ono musiało zaczekać. Teraz liczyło się tylko to, by nie zaprzepaścić tego skrawka ziemi, który jako jedyny pozostał im po rodzinnej schedzie.

– Nie musisz tego robić – szepnęła matka, przystając w progu jej pokoju.

Emilia spojrzała na nią ze współczuciem. Kornelia zdawała się nic nie pojmować. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, wymagała podjęcia szczególnych kroków i dziewczyna czuła się w obowiązku je wypełnić. Przez te wszystkie lata babka szlifowała ją na silną kobietę, która w razie potrzeby będzie umiała zrobić to, czego wymaga od niej życie. A teraz wymagało właśnie tego. Pewnej, śmiałej postawy, wbrew uczuciom.

Lada moment miała stanąć do walki o rodzinę. Potrzebowała wsparcia, lecz matka nie była w stanie jej go dać. Jej oczy przepełniało przerażenie, a dłonie drżały, choć próbowała to ukryć, mnąc w nich cerowany chwilę wcześniej fartuch.

– Muszę – odparła sucho Emilia, próbując zapiąć sukienkę, w której miała udać się do Fiodora na proszoną kolację, lecz matczyne zdenerwowanie udzieliło się i jej i drżące palce z trudem wciskały guziki w dziurki.

– Poradzimy sobie. Jakoś jeszcze pociągniemy w tym roku, a później, po żniwach, staniemy na nogi. Zobaczysz, jakoś to

wytrzymamy i w końcu będziesz mogła zdobyć należyte wykształcenie, a potem założyć rodzinę, na jaką zasługujesz.

Emilia zacisnęła zęby i przymknęła oczy, próbując w wyobraźni zamienić marzenia na cel, który – jak wierzyła – uświęci wszystkie podjęte przez nią środki.

– Do tego czasu możemy już nie mieć skąd zebrać tego zboża – odparła stanowczo, po czym odetchnęła głęboko i wróciła do nieszczęsnych guzików.

– Pieniądze nie są najważniejsze. Znajdziemy inne wyjście.

– Inne? Niby jakie? – Emilia spojrzała na matkę przeciągle.

Kornelia Dreznal miała pięćdziesiąt dwa lata. Skóra na jej twarzy straciła już dawną elastyczność i zdawała się spływać z wydatnych kości policzkowych, tworząc pod żuchwą nierównomierne, niewielkie poduszeczki. Jednak prócz zmarszczek mimicznych, które ukazywały się światu tylko wtedy, gdy matka zaśmiewała się do rozpuku, i wychylających spod chusty pojedynczych białych nitek, niknących wśród gęstwiny beżowoszarych włosów, próżno było szukać u niej objawów starości. Nadal była piękna, szczupła i delikatna, choć już nie tak zręczna jak jeszcze kilka lat wcześniej.

– Dobrze wiesz, mamo, że tak będzie najlepiej.

– Najlepiej dla kogo?

Emilia westchnęła ciężko. Udało jej się zapiąć ostatni guzik w sukience, ale przez chwilę jeszcze poprawiała materiał, by ładnie układał się na biuście.

– Dla wszystkich – skwitowała. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Obróciła się do lustra i przejrzała w starej, porysowanej tafli. Matka stanęła za nią i wychylając się zza ramienia córki, patrzyła smutno na ich odbicia.

– Ale nie dla ciebie – skwitowała, a Emilia poczuła skurcz w sercu.

– Wszystko będzie dobrze. Przecież Bucwald nie jest złym człowiekiem. Nie skrzywdzi mnie – odparła niezbyt przekonującym

tonem, po czym ostatni raz spojrzała w swoje odbicie w lustrze.

Wyglądała pięknie, choć poszarzała przez lata stara suknia po babce, która niegdyś mogła uchodzić za wytworną, zdawała się dokładać jej lat. Minęło jej już piętnaście wiosen, ale drobna twarz nosiła jeszcze nieco dziecięce rysy. Równe brwi unosiły się w lekkim, nieco ironicznym wyrazie. Barwione szmaragdem oczy, w oprawie gęstych, podkręconych rzęs, spoglądały przenikliwie. To właśnie one zdawały się czarować męskie serca. A każdy nieszczęśnik, który pochwycił powłóczyste spojrzenie dziewczyny, przepadał w odmętach zauroczenia, czy oboje tego chcieli, czy nie.

Teraz jednak, w nikłym świetle dnia, kolor jej oczu zdawał się niemal czarny. Bury, smutny. Jakby chciały podkreślić, że nie zgadzają się z decyzją ich właścicielki.

– Bucwald wcale nie musi cię krzywdzić. Sama się krzywdzisz tym wyborem. Zresztą nie tylko siebie. – Matka wyrwała Emilię z zamyślenia, po czym uciekła spojrzeniem, pozostawiając córkę z podłym i przyduszającym skurczem żołądka.

Dziewczyna nabrała powietrza w płuca i zacisnęła mocno zęby, złoszcząc się, że matka próbuje odżegnać ją od decyzji, która od wielu dni spędzała jej sen z powiek. To był najtrudniejszy wybór w życiu, o ile w ogóle mogła go nazwać wyborem. Po prostu musiała się jedynie podporządkować.

Obróciła się przez ramię i spojrzała Kornelii w oczy.

– Niepotrzebnie się martwisz, mamo. Tak jak inne małżeństwa zawarte z rozsądku, tak i my po czasie będziemy stanowić jedność. Potrzeba nam tylko ufności i wspólnego życia, a wszystko skończy się dobrze.

– Daj Boże, żeby tak było – skwitowała Kornelia, a w jej głosie słychać było wszystkie nuty smutku i trwogi.

* * *

Kilka tygodni później Emilia Dreznal stała w oknie swojego pokoju, patrząc, jak krwistoczerwona kula słońca powoli wznosi się na niebie. Ciepłe pomarańczowe smugi padały promieniami na nagie gałęzie drzew, które pierwszy raz tej zimy mróz oprószył szronem. Lodowe drobinki odbijały światło, jak gdyby były zwierciadłem, i raziły ją w oczy, dając przez moment złudne wrażenie, że znajduje się w raju. Wyciągnęła dłoń przed siebie i przesunęła opuszkami palców po wijącym się po drugiej stronie szyby nierównomiernym mroźnym wzorze.

Gdyby miała jeszcze farby, przeniosłaby ten zimowy spektakl na kawałek bawełnianej chusteczki, naciągniętej na prowizoryczną ramę. Jednak wszystkie tubki dawno wyczyściła do cna, malując jak opętana, by uspokoić wyrzuty sumienia, które dręczyły ją, odkąd zgodziła się na małżeństwo z Fiodorem. Z braku pieniędzy na nowe próbowała rozcierać płatki kwiatów i liście, lecz to zajęcie, tak bardzo pracochłonne i niewydajne, irytowało ją i złościło. Nigdy bowiem nie udało jej się uzyskać zamierzonej barwy, a to, co tworzyła z naturalnych składników, wyglądało jak cień oryginału. W końcu zaprzestała prób wytworzenia własnych farb. A teraz, widząc piękno za oknem, marzyła, by znów móc zatracić się w malowaniu i na kilka chwil zapomnieć o troskach.

Kiedy stała tak, myśląc o tym, czego od tygodni nie było jej dane doświadczyć, słońce wbiegło wyżej na niebo, gasząc magię ulotnej chwili i budząc w dziewczynie kolejne pokłady lęków. Właściwie sama nie wiedziała, czy do ślubu dojdzie, ponieważ jej narzeczonego zajmowały teraz sprawy urzędowe, a ona trwała w dziwnym zawieszeniu. Nie wiedziała, czy tym brakiem zainteresowania Bucwald nią pogardza albo czy nie działa w Płoskirowie na szkodę jej rodziny.

Malinicze powróciły do swoich codziennych obowiązków, choć nie wyczuwało się tu spokoju, jaki zwykł panować na wsiach. W ciągu

ostatnich kilku miesięcy w rejonie płoskirowskim nastąpiło tak wiele zmian, że okoliczni mieszkańcy trwali w nieustającym strachu.

Wszystkiemu winna była przymusowa kolektywizacja gospodarstw, których właścicielką według najnowszych informacji Gienricha Liuszkowa była zaginiona Rozwadowska, a wszyscy mieszkańcy Malinicz w oczach władzy jedynie dzierżawili ziemię. Bunt i oburzenie lokalnej społeczności zostały zduszone w zarodku, gdy zastrzelono Szymanowskiego, głównego aktywistę wśród rolników, a jego rodzinę wysłano w daleką podróż na Wschód. Ten barbarzyński akt wzbudził w mieszkańcach lęk oraz nakłonił do poddaństwa władzy. Nikt nie chciał ginąć za sprawę, której wynik zdawał się przesądzony.

Gospodarstwa, ziemie, zwierzęta i maszyny rolnicze jednym rozporządzeniem zostały scalone i zagrabione przez państwo sowieckie. Podobnie stało się z majątkiem Dreznalów. Jednak utrata sprawczości nad ojcowizną okazała się tylko jednym z etapów na drodze reform wprowadzanych przez Stalina. Ziemia uprawiana przez Jonasza stała się wspólnym dobrem państwa, a Podole kopalnią zboża, z której aparat państwowy wyczerpywał właśnie ostatnie ziarno. Zdawało się, że nikt nie ma w sobie dość siły, by zatrzymać pędzący ku przepaści wagon z Polakami.

Świat, jaki Emilia znała od urodzenia, zawalił się w ciągu jednej nocy, tuż po tym, jak zgodziła się za namową babki oddać swe ciało i duszę na wieczne posiadanie temu, kto przejął władzę nad ich majątkiem. To właśnie wtedy, gdy wróciła z matką i ojcem od Fiodora, dowiedziała się, że hrabina Rozwadowska zaginęła, a wraz z nią zniknęły kosztowności i ustalony przed laty porządek, dotąd ich jedyny constans.

Emilia ze ściśniętym sercem myślała o plotkach, jakoby całe zamieszanie było sprawką Bucwalda, który nagle rozpłynął się w powietrzu. Długo nie chciała dać im wiary. Jednak gdy został zastępcą Liuszkowa i na zorganizowanym przez siebie zebraniu dumnie oświadczył wszystkim mieszkańcom, że oto oficjalnie

wpisano dobra Rozwadowskiej do kołchozu, a wraz z nimi także żywy inwentarz, którym prócz zwierząt określił także mieszkającą w Maliniczach ludność, Emilia o mało nie zemdlała. Wszyscy obecni zresztą na tym dziwnym zebraniu doznali w owej chwili totalnego otępienia, jak gdyby właśnie pojęli, że ktoś na niejawnym posiedzeniu partyjniaków przekształcił ich z obywateli ziemskich w pozbawione praw oraz własnego zdania marionetki. Nikt wówczas nie śmiał o nic pytać, lecz wydawało się wielce nieprawdopodobne, że Bucwald tak szybko zasłużył sobie na awans u Liuszkowa. Coś na pewno musiało się stać. Wiadome przecież było, że Liuszkow od lat z wielką ostrożnością dobierał sobie współpracowników, a o tych, których wybrał na swoich następców, mówiono tak nieprawdopodobnie złe rzeczy, że zdawało się, jakoby ich reputacja sięgała samego dna piekła.

Mieszkańcy Malinicz, skupiając się w sąsiedzkie rady, dywagowali na temat przyszłości. Część z nich, nie zamierzając dostosowywać się do nowych reguł lub z obawy o niepewną przyszłość, chciała uciec do Polski. Znajdowali się przecież niespełna pięćdziesiąt kilometrów od granicy, więc droga zajęłaby kilka godzin; lecz tliła się w nich jeszcze iskierka nadziei, że te zmiany zaowocują w końcu pewnym ładem. Wszyscy jednak byli zgodni co do tego, że martwiła ich władza Bucwalda. Jego awans postrzegali jako nagrodę za pozbycie się Rozwadowskiej, na zebraniu nazwanej przez Liuszkowa największą płoskirowską kułaczką i przeciwniczką kołchozów.

Ludzie mówili, że Bucwald zrobił Rozwadowskiej krzywdę, ponieważ kilkumiesięczny szantaż, jaki wobec niej stosował, nie przyniósł upragnionego efektu. Niektórzy wskazywali, że to na jego polecenie enkawudziści wywieźli hrabinę do Kazachstanu, ponieważ wcześniej deportowali tam jej męża. Niektóre kobiety pracujące w dworku twierdziły, że została zamordowana, tak jak jej kuzynka z Winnicy i znaczna część rodziny, która zniknęła bez śladu. Żadna z nich nie miała przy tym wątpliwości, że zniknięcie hrabiny to

sprawka Fiodora. Niejednokrotnie widziały przecież, z jaką zapalczywością Bucwald patrzył na dwór i z jaką nienawiścią obrzucał spojrzeniem wszystkich Polaków.

Emilia nie potrafiła uwierzyć, że Bucwald byłby zdolny skrzywdzić kobietę. Rozmawiała z nim przecież sam na sam i wówczas czuła, że nawet jako zwykła, nieobyta jeszcze w towarzystwie dziewczyna ma nad nim kontrolę. A przecież Rozwadowska była kobietą, która nawet z daleka emanowała siłą i charyzmą. Z pewnością wiedziała, jak ugryźć tego aparatczyka. Musiało się więc wydarzyć coś, co hrabinę złamało. I ta niewiadoma spędzała Emilii sen z powiek, jeśli bowiem ktoś zdołał usunąć najbardziej wpływową kobietę w regionie, cóż uratuje od klęski jej rodzinę? Chyba tylko cud.

Dreznalowie, tak jak inni mieszkańcy, którzy gospodarowali ziemią w Maliniczach, zostali wessani w system kołchozów i początkowo wydawało im się, że niewiele to zmieni w ich życiu. Ot, zamiast podlegać usilnie walczącej o zachowanie cząstki polskości Rozwadowskiej, znajdą się pod pieczą władzy sowieckiej, która przecież już wcześniej wszystko nadzorowała. Emilia jednak czuła, że te zmiany staną się początkiem ich końca. Nikomu nie mówiła o swoich przeczuciach, pielęgnując w sobie strach. Intuicja okazała się zmyślną doradczynią.

Latem, tuż po zbiorach, gdy po miesiącach pracy ojciec sprzedał część pszenicy młynarzom, którzy dostarczali mąkę do płoskirowskich piekarni, wrócił do domu nie tylko z pieniędzmi, ale i tuszą wieprzową. Podzielili się nią z chłopami pomagającymi im w tym sezonie w polu. Szybko jednak się okazało, że ten miły wieczór tylko na chwilę odsunął od nich widmo przyszłości. Po odliczeniu długu, który Jonasz musiał spłacić Bucwaldowi, i ustalonych przez Fiodora horrendalnych odsetek niewiele im zostało. Nadal istniała szansa, że przetrwają trudną zimę, jednak wyjazd na stancję i kontynuowanie nauki przez Emilię musiano odłożyć w czasie. Dziewczyna nie przejęła się tym zbytnio. Już

wcześniej była świadoma, że w obliczu kiepskiej sytuacji finansowej rodziny opłacenie jej edukacji to zbyt duże obciążenie. Nie spodziewała się jednak, że sytuacja jest aż tak dramatyczna, dopóki ojciec, przeliczając niemal każde ziarenko pszenicy, oświadczył, że trzymając się ściśle określonego planu, poradzą sobie jako rodzina, lecz nie będą w stanie zapewnić wyżywienia nikomu więcej i muszą odesłać z domu wszystkich pomocników.

To był cios dla Katarzyny, która u schyłku życia musiała zmierzyć się z kolejną klęską w hierarchii społecznej. Nie potrafiła pogodzić się z nieuchronnością zmian i dokładała do napiętej sytuacji swoje rozżalenie.

Emilia żywo pamiętała wielką kłótnię babki i ojca; i nic dziwnego, bo tamta sytuacja była z gruntu precedensowa, ponieważ Katarzyna nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie na krzyk. Uważała, że podnosić głos może jedynie hołota, a ona została wychowana przez ludzi dobrze urodzonych. Jednak w końcu i jej puściły wszelkie hamulce. Wedle jej słów Jonasz „prowadził rodzinę po równi pochyłej" i to on był głównym winowajcą ich tragicznej sytuacji. Syn nie pozostał jej dłużny: wszak matka nie dbała ani o rozwój gospodarstwa, ani o jakość ich życia, skupiając się jedynie na budowaniu fasady pozorów. Jonasz jako mężczyzna zajmował w rodzinie wysoką pozycję i to on podejmował decyzje. A w tym przypadku ani myślał, żeby odpuścić.

– Chcesz powiedzieć, że teraz mamy być chłopami?! – krzyczała Katarzyna, nie bacząc na przysłuchujące im się Kornelię, Pelagię i Emilię.

– Jeżeli w ten sposób określasz brak służby w domu – odparł ze smutkiem Jonasz, patrząc na swoje spracowane dłonie – to tak, matko. Na stare lata zostaniesz chłopką.

– Brak służby zafundował mi już twój ojciec i pozbawił mnie tym samym komfortu życia! Ci, którzy pozostali, są nam niezbędni!

– A jak zamierzasz ich wykarmić? Nie rozumiesz, że nie mamy wystarczająco dużo jedzenia, nie mówiąc już o tym, że należy im się wypłata za pracę? Poza tym nie będziemy całą zimę siedzieć o suchym chlebie.

Katarzyna szybko pocierała skronie, co oznaczało, że od złości rozbolała ją głowa.

– Gdyby ojciec widział, jak zniszczyłeś ten majątek… – mówiła szorstko, wlepiając w syna wzburzone spojrzenie.

– Zawsze robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby go uratować i teraz… teraz też to robię! – Głos mu się łamał, a mimo to wstał z krzesła, by zrównać się wzrostem z matką i wyjść z roli ofiary. – Więc jeśli ratunkiem dla rodziny będzie pozbawienie jej służby, to tak uczynię. Będziesz musiała sobie jakoś poradzić z ubieraniem i poranną toaletą. Carat upadł czternaście lat temu i to staroświeckie podejście do życia też. Szlachty już nie ma! Najwyższa pora się z tym pogodzić.

– Nigdy się z tym nie pogodzę! Nigdy! To moja krew! A ty… – Katarzyna z niedowierzaniem pokręciła głową. – Niepotrzebnie się zgodziłam, żebyś wziął ślub z tą służącą! W niczym nas nie wspomogła, a jedynie poniżyła, zrównała do swego poziomu!

– A może to właśnie zachowanie twoje i Pelagii sprowadziło nas na dno?! Kornelia, nie patrząc na nic, zakasywała rękawy i pomagała w polu, a wy tylko potrafiłyście patrzeć i narzekać, jak dwa pasożyty!

Plaśnięcie wymierzonego policzka zamknęło kłótnię. Jonasz z czerwonym śladem na twarzy zacisnął mocno szczęki; żyła na jego szyi szybko pulsowała.

– Gdybyś nie była moją matką… – odparł zduszonym głosem, po czym sapnął głośno i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami, a w krok za nim wybiegła Kornelia.

Kolejne dni upłynęły im na żegnaniu się z pracownikami. Emilia z bólem serca patrzyła, jak z ich domu odchodzi kucharka i jej córki – kucharka, która była w ich rodzinie, jeszcze zanim przyjechali do

Malinicz i nim Emilia pojawiła się na świecie. Wiadomość o sytuacji materialnej Dreznalów kobieta przyjęła z powagą i zrozumieniem. Postanowiła, tak jak znaczna część mieszkańców Malinicz, przedostać się z córkami do Polski, zwłaszcza że coraz głośniej mówiło się o nadchodzącej wewnętrznej paszportyzacji, która miałaby zabronić mieszkańcom wsi przemieszczania się. Póki co jednak zwiększono patrole. Każdy, kto chciał wrócić do Polski, był brany za szpiega, kolaboranta mającego powiązania z POW. Ludzie mimo to uciekali na Zachód i tylko nielicznym los nie sprzyjał. Ci dawali się złapać funkcjonariuszom stacjonującym przy granicy. Emilia nie chciała myśleć, co mogłoby się stać, gdyby ich kucharka została pojmana przez funkcjonariuszy OGPU albo żołnierzy Armii Czerwonej, którzy coraz częściej gościli w dworku Rozwadowskiej, zajmowanym teraz przez Fiodora Bucwalda. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Płoskirowskie gazety rozpisywały się o tym, że Stalin rozpoczął wojnę przeciwko szpiclom, a Emilia wiedziała, że mógł nim zostać każdy, kto ośmielił się na nieodpowiedni krok – nieodpowiedni według władz.

– To będzie podróż w jedną stronę. – Kornelia stała w kuchni, płacząc nad losem kobiety, która nauczyła ją w życiu wszystkiego.

– Jeśli mam umrzeć, niech moje ciało spocznie na polskiej ziemi. Nie tu, w ukraińskiej SSR, nie pod stalinowskim butem! – Kucharka była nieugięta. – I nie płacz, moja dziecino. Wszystko, com w życiu sama pojęła, przekazałam tobie. Poradzicie sobie, a nam – spojrzała ze wzruszeniem na swoje córki – trzeba do domu. A tak, jak Bóg da, dojdziemy do Stanisławowa, do mojego brata. Tam będzie nam lepiej. W końcu wśród swoich będziemy.

– Nie mów tak. Tu też byliście ze swoimi.

Kucharka spojrzała na Kornelię zbolałym wzrokiem.

– Nigdy mnie tu, na ukraińskiej ziemi, nie było dobrze. Tu każdy Polakowi wilkiem.

– Ale to przecież dawna polska kraina. Nasze Podole!

– Raj utracony i zbesztany. Może lepiej, żebyście też tę ziemię zostawili. Zobaczże, Kornelio, odkąd żeśmy tu przybyli, dzieją się tylko nieszczęścia. Na cóż ta ziemia, skoro nieurodzajna i przeklęta?

– Los jeszcze się może odmienić. – Kornelia spojrzała na Emilię, jak gdyby w córce upatrywała zakończenia tej gehenny.

– Jak żyję, nie widziałam, żeby na wsi był głód. A teraz?

Łzy toczyły się po twarzy Kornelii, a Emilia, patrząc na tę tkliwą scenę, czuła w sercu mocne ukłucie.

Kucharka, choć stara i niewykształcona, posiadała podszytą doświadczeniem wiedzę o życiu, która trafiała do dziewczyny bardziej aniżeli babcine wykłady o stosownym zachowaniu się przy stole. Kolejny raz Emilię zalała wzburzona fala lęku o przyszłość. Nie wiedząc, jak sobie z nim poradzić, dołożyła jego ciężar do poprzednich, przez które jej serce osnuwała coraz gęstsza mgła.

Przytuliwszy matkę, Emilia podążała wzrokiem za odchodzącymi z jej domu ludźmi. Nieśli na plecach niewielkie tobołki, ich jedyny życiowy dobytek. Zdawali się jednak opuszczać Dreznalów bez żalu. Ich ostatnie słowa pożegnania brzmiały lekko, oczy lśniły nadzieją, a na twarzach malowało się podekscytowanie. Niespodziewane odwrócenie ról zdziwiło Emilię. To ona powinna czuć ulgę, w końcu jej rodzina zrzucała właśnie z barków ogromny balast; ale jedyne, co czuła, to pustkę, bo zrozumiała, że właśnie umarł świat, który znała.

* * *

Schyłek 1932 roku był jedyną jesienią w życiu Emilii, która nie napełniała jej melancholią i refleksją nad upływającym czasem, ale tłoczyła do jej żył nerwowość, a na język kładła wszelkie smaki obaw.

Ojciec co dzień zaprzęgał konia i jeździł z matką do Płoskirowa, gdzie zostali skierowani przez przewodniczącego kołchozu do pracy na budowie. Praca była ciężka i marnie płatna, a za opór Pelagii

i Katarzyny, które pracy odmówiły, na rodzinę zostały nałożone wyższe podatki za budynek mieszkalny. W domu panowała atmosfera ciszy i skłócenia. Rodzice pracowali praktycznie za darmo, ponieważ wszystkie ich dochody szły na pokrycie podatku i na życie nic już nie zostawało. W poszukiwaniu dodatkowego dochodu Jonasz wieczorami ponownie zaprzęgał konia i jechał na obchód po okolicznych wsiach. Wyrzekając się swojego pochodzenia i statusu społecznego, prosił o pracę, choć ze zmęczenia często ledwo stał na nogach. Jego starania zazwyczaj spełzały na niczym. Wszyscy mieszkańcy obwodu ledwo wiązali koniec z końcem. Mimo to ojciec z tych wędrówek nigdy nie wracał z pustymi rękoma. Emilia wolała nie pytać, skąd przynosi do domu głodowe porcje jedzenia, bo widząc ukradkiem, jak wyciąga schowane w kieszeniach buraki, domyśliła się, że ukradł z pola któregoś z sąsiadów.

Kornelia, czując na sobie ciężar odpowiedzialności, wieczory spędzała w kuchni. Próbowała przygotować rodzinę do zimy, wekując pozostałą wieprzowinę oraz nieliczne warzywa, które Jonasz przywoził ze wsi. Natomiast Katarzyna z Pelagią całe dnie biadoliły, usiłując znaleźć winnych swojej sytuacji. Emilia starała się puszczać mimo uszu wywody babki i stryjenki. Nieoczekiwanie zbliżyła się do mamy; chciała pomóc jej w kuchni i tym samym przydać się jakoś, lecz jej wiedza kulinarna była bardzo skąpa. Z racji wieku mogła wstąpić do Komsomołu[7], jednak temu oficjalnie sprzeciwiali się wszyscy członkowie rodziny, a i ona, wychowana w duchu polskości, nie wierzyła w doktrynę tej organizacji.

Tego ranka, okutana w ciepłe swetry i jedyny wełniany płaszcz, jaki miała, wyszła do miasta, upewniwszy się, że rodzice odjechali już daleko od domu. Chciała realnie przyczynić się do poprawy ich sytuacji finansowej i liczyła na to, że w Płoskirowie uda jej się sprzedać swoje obrazy. Gdy jednak zaproponowała to rodzicom, nie zgodzili się. Tłumaczyli, że w mieście jest niebezpiecznie, a ona nie powinna mieszać się w sprawy dorosłych. Lecz Emilia nie była już

dzieckiem, a głód coraz bardziej dawał im się we znaki. Postanowiła więc sprzedać malunki, a może nawet znaleźć jakąś pracę. Wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości. Czekała ją kilkugodzinna droga, lecz determinacja i złożona przed babką deklaracja, że wróci przed ojcem, nadawały jej krokom tempa.

Nie uszła jednak daleko, gdy nieopodal wsi Maćkowce zobaczyła niecodzienną scenę. Drogą wychodzącą z Szaróweczki, wsi leżącej u stóp Płoskirowa, pędziła kolumna wojskowych ciężarówek, której przewodził lśniący samochód osobowy.

Emilia przystanęła, zaskoczona widokiem, po czym skryła się za drzewem i wytężyła wzrok.

Samochód jadący na przedzie zatrzymał się pośrodku wsi, a za nim kolumna wojskowych ciężarówek, z których zaraz potem wysypali się żołnierze w brudnozielonych radzieckich mundurach z czerwonymi wstawkami na kołnierzykach i w rogatywkach. Na pasach zarzuconych przez ramię zwisały pistolety. Mężczyźni uformowali się w zwarte czteroosobowe grupy i podchodzili pod drzwi kolejnych domów, a następnie walili w nie pięściami i krzykiem dobijali się, by gospodarze wpuścili ich do środka. Ich ruchy były mechaniczne, jakby zaprogramowane. W obejściach szybko gęstniało od ludzi. Zdziwieni pojawieniem się żołnierzy mieszkańcy odchodzili od swoich obowiązków, by sprawdzić, co się dzieje. Emilia stała zbyt daleko, by rozumieć, co mówią, słyszała jedynie krzyki i odgłosy nerwowych przepychanek. Z niesionego przez wiatr hałasu wyłuskała błagalne jęki wznoszone przez mężczyzn, zawodzenie kobiet i płacz dzieci. Żołnierze nie mieli cierpliwości; zaczęli szarpać się z ludźmi, a następnie celować w niewinnych z pistoletów. W końcu chłopi z rękoma uniesionymi nad głową poddawali się sytuacji, pozwalając, aby żołnierze wybebeszali spichlerze z worków pełnych ziaren i warzyw. Czerwonoarmiści panoszyli się po podwórkach, zaglądając do chlewów, kurników i obór. Brali, co popadnie, a tych, którzy się opierali, częstowali pięściami lub kłuli lufami pistoletów.

Emilia stała zamroczona, obserwując te dantejskie sceny rozgrywające się przy głównej ulicy wsi. Zdawało jej się, jakby nagle trafiła do obcego, ogarniętego wojną kraju. Brutalność żołnierzy obezwładniała ją; zastygła w bezruchu, nie mogąc oderwać wzroku od tamtych obrazów. Rozum podpowiadał, by wracała do domu, lecz ciało nie chciało słuchać. Zupełnie jakby nagle ktoś nakrył ją szklanym kloszem, z którego nie było wyjścia.

W wiosce atmosfera gęstniała, a lamenty ulatywały ku niebu. Z powodu szybkich, gwałtownych ruchów żołnierze przypominali drapieżne zwierzęta. Chłopi rzucali się na nich, by za wszelką cenę wyrwać z ich rąk swój dobytek. W końcu ponad wszystkimi dźwiękami rozległ się huk i nastała cisza. Emilia z szeroko otwartymi ustami patrzyła, jak jeden z gospodarzy pada na bruk, tuż przy ciężarówce, a pod nim szybko czerwienieje ziemia.

I wówczas przy poszkodowanym pojawił się on – Fiodor Bucwald, ubrany w ciemny garnitur i błyszczące w słońcu lakierki. Obrzucił szybkim spojrzeniem ciało, a następnie kopnął je mocno. Postrzelony mężczyzna poruszył się i jęknął, lecz na Bucwaldzie nie zrobiło to wrażenia. Wydał żołnierzom rozkaz, po którym bez ceregieli zaczęli uwijać się z pakowaniem inwentarza.

Ryk odpalanych silników w ciężarówkach poniósł się po drodze, a po chwili wokół nich wzniosła się dziwna mleczna chmura. Żołnierze jak na komendę wskoczyli na paki i po chwili konwój ruszył ku Emilii, zmierzając w dół wsi.

Fiodor Bucwald, siedząc w swoim samochodzie, prowadził kolumnę ku kolejnym domostwom. Emilia na ten widok z trudem złapała oddech, jakby na jej szyi zaciskały się niewidzialne palce.

Wszystko to trwało raptem kilka chwil. Żołnierze pod przewodnictwem Fiodora przelewali się przez Maćkowce niczym gwałtowna burza nad polem w upalny dzień. Wiatr znów niósł do uszu Emilii lamenty kobiet, płacz dzieci, krzyki chłopów. I znów miała

przed oczami ten obraz: napaść na domostwo, wybebeszanie spichlerzy, szarpanina z gospodarzami…

Czuła, że nie może tego dłużej oglądać, a jednocześnie nie potrafiła zacisnąć powiek. Kiedy jednak Bucwald odznaczył na liście wszystkie worki z jedzeniem oraz sztuki zwierząt, z głośnym trzaskiem zamknął drzwi od swojego samochodu, dając sygnał do odjazdu, coś ją tknęło.

– Jadą na Malinicze!

Pędem rzuciła się przed siebie, słysząc jeszcze za sobą ostatnie nuty kanonady rozpaczy.

Biegła ile sił w nogach, byleby dotrzeć do domu przed Fiodorem. Wybrała drogę na skróty, przez zryte pola i niewielki zagajnik, a jednak, gdy wpadła zdyszana na granicę ojcowizny, Bucwald parkował już samochód na podjeździe, a za nim zatrzymały się wojskowe ciężarówki, z których w mgnieniu oka wysypali się młodzi mężczyźni w ciemnozielonych mundurach. Krwistoczerwona obwódka na ich czapkach, wskazująca na jakąś nową formację, budziła w niej lęk.

Emilia skryła się za grubym konarem orzechowca i z ukrycia patrzyła, jak babka, odziana w wypłowiałą, długą do ziemi ciemną suknię, otwiera drzwi wejściowe. Usłyszała donośny głos Fiodora, który oświadczył, że przyjechali po chlebozagotowek[8]. Po chwili tuż za babką pojawiła się stryjenka z niezadowoloną miną.

– Zawsze uważałam, że jesteś cyniczny i grubiański w swoim uniżeniu wobec władzy – rzekła Katarzyna, nie kryjąc pogardy. – Ale nigdy nie pomyślałam, że okażesz się również wszą.

Jeden z żołnierzy, słysząc tę zniewagę, podbiegł do staruszki, po czym szybkim ruchem chwycił ją za włosy i pociągnął w stronę samochodu. Na ten śmiały gest stryjenka zareagowała krzykiem – długim, spazmatycznym, pełnym trwogi.

– Zostaw ją – zgromił Fiodor młodzika, a ten zaskoczony zatrzymał się w pół kroku, patrząc na dowódcę skonsternowanym wzrokiem. –

Zapłaci w inny sposób – ciągnął Bucwald. – A wy – obrócił się przez ramię, by zerknąć na szeregowców – do roboty!

Babka hardo patrzyła mu w oczy, najwyraźniej nie dając wiary jego pogróżkom.

– Niczego nie jesteśmy ci winni – wysyczała.

– Władza ma inne zdanie.

– I ty jako wysłannik rządu będziesz te fałszywe wyroki egzekwował? Przecież nawet nie jesteś Rosjaninem – drwiła. – Poza tym Jonasz zapłacił wszystkie podatki – powiedziała i spojrzała na żołnierzy, którzy wynosili właśnie ze stodoły ostatnie worki ze zbożem przeznaczonym na przemiał i wypiek pieczywa.

* * *

Fiodor stał przed domem Dreznalów i czuł, jak rośnie w siłę. Nareszcie miał władzę i potrzebne atrybuty, żeby raz na zawsze rozprawić się z ludźmi, którzy sprowadzili na niego nędzę.

Wciągał w nozdrza cierpki zapach strachu, którego woń spowijała ciało stojącej przed nim Katarzyny Dreznal, a który jemu jawił się jako zapach zwycięstwa. Pochłaniał wzrokiem jej rozbiegane spojrzenie, które uciekało w kierunku żołnierzy opróżniających niewielką stodołę. Jej blednąca z każdą sekundą twarz i drżące usta napawały go nieznaną dotąd satysfakcją. Złamał ją. Tak jak wcześniej łamał psychikę Jonasza, który poniżony, zrównany ze zwykłym chłopem ścierał w tej chwili ręce podczas budowy płoskirowskiej cukrowni, czując na plecach smagnięcia bata, który dzierżył Vadim, kierownik kołchozu.

– Zabraniam! – zawołała Katarzyna błagalnym tonem. – Zabraniam wam to zabierać! – krzyknęła histerycznie, a Fiodor uśmiechnął się szeroko.

Pchało mu się na usta, żeby się przyzwyczaiła do widoku pustego spichlerza, bo opróżni go do ostatniego ziarenka. Chciał splunąć jej

prosto w twarz słowa, że niczego innego w życiu nie pragnął i czekał na tę chwilę tak długo, że gdyby tylko mógł, zostałby tu przez kolejne dni wyłącznie po to, by napawać się widokiem ich więdnących i usychających z głodu ciał; że chciałby zobaczyć, jak ich dumne polskie serca kruszeją, ręce łapczywie wyciągają się po jakiekolwiek jedzenie, a usta błagają o okruchy z jego stołu… Teraz marzył już tylko o tym, by delektować się tą chwilą i patrzeć, jak skaczą sobie do oczu, jak błagają go o możliwość przetrwania. Jak uniżają się tak samo, jak uniżała się jego matka, Oksana, gdy ojciec Jonasza wyrzucił ją na bruk, a przecież była w ciąży! Po tym wszystkim przez wiele lat sprzedawała swoje ciało, by przetrwać i dać Fiodorowi schronienie, aż jeden z tych, który ją brał, znudził się nią jak lalką i zabił, gdy uznał, że stała się bezużyteczna.

– Pan nas zagłodzi! – Dziewczęcy krzyk wzniósł się w powietrze, a Fiodor powiódł wzrokiem za jego źródłem.

Na podjeździe stała Emilia, wbijając w niego przeszklone i wystraszone spojrzenie. Emanowała z niego naiwność tak wielka, że wwiercała mu się w serce i wzbudzała wyrzuty sumienia.

– Pan nas zabije! – krzyknęła dziewczyna, po czym podbiegła do niego i zaczęła uderzać pięściami w jego tors.

Zachwiał się lekko, zaskoczony, a po chwili, odzyskawszy rezon, chwycił ją za ramiona. Stanęli tak blisko siebie, jak blisko mogą być jedynie kochankowie, i wpatrywali się w swoje oczy, szukając w nich prawdy, wyjaśnienia lub cząstki siebie postawionej na granicy tych spojrzeń w innych okolicznościach, innych czasach lub w innym wcieleniu. Zuchwałe spojrzenie Emilii zdało mu się nagle tak dostojne, urocze i bliźniacze, jakby to było jego spojrzenie. Dziewczyna miała w sobie tę samą elektryzującą siłę, która pulsowała i w jego w żyłach, skroniach oraz sercu. Z oczu tej dziewczyny wyzierało coś, co nakazywało mu się zatrzymać, a on podświadomie poddawał się temu, miękł i wracał z wygnania, na które posłała go nienawiść. Nie potrafił zrozumieć oddziaływania,

które władało jego ciałem za każdym razem, gdy stykał się z jej energią i ponadprzeciętnym magnetyzmem ciała.

Nagle, niespodziewanie, wstrząsnęło nim pragnienie posiadania jej. Jakby zagrabienie tego ciała stanowiło rekompensatę. Albo profit, którym nie będzie musiał się dzielić.

– To rozporządzenie władzy – rzekł powoli.

– Wiem, że wystarczy jedno pana słowo, by zatrzymać ten proces.

Uśmiechnął się butnie i przejechał językiem po górnej wardze.

– Owszem.

– Więc dlaczego pan tego nie zatrzyma?

– Bo… – Zbliżył się do jej ust. Czuł w swoich rozchylonych wargach wydychane przez nią powietrze. Chłonął je przez chwilę, mając wrażenie, że lada moment w jego ciele eksploduje mieszanina wszystkich namiętności. – Nie dałaś mi powodu – powiedział w jej usta.

Oczekiwał uległości, lecz w odpowiedzi poczuł mocne szarpnięcie w lewej dłoni i następujące po nim plaśnięcie w twarz.

Świat wokół zwolnił. Ucichł. Rozwarstwił się na atomy, a wszystko, co ziemskie, przestało mieć znaczenie. Fiodor czuł pełzające po jego policzku maleńkie mrówki bólu, które powinny wywołać w nim falę wściekłości, a zamiast tego wzbudziły podniecenie graniczące z niezdrową żądzą, by rzucić się na tę krnąbrną dziewczynę i wziąć ją tu i teraz.

Co się z nim działo? Powinien był przecież gardzić nią i ją nienawidzić, mimo że mu ją przyobiecano za żonę. Przełknął ślinę, czując, jak w spodniach pęcznieje mu męskość.

– Wolisz głodować, zamiast poprosić mnie o łaskę? – odparł zdumiony.

Piorunowała go wzrokiem, jak gdyby chciała nim zabić, lecz nie zdawała sobie sprawy, że wszelka moc sprawcza już z niej uleciała. Fiodor był teraz opanowany i chłodny.

– Prosić można człowieka, pan jest pozbawioną honoru i człowieczeństwa kreaturą!

Fiodor odrobinę tylko zdumiał się nad butną odpowiedzią, z której wyjątkowo ucieszyła się Katarzyna. I co dziwne, nie poczuł się nią urażony; odniósł wrażenie, jakby dziewczyna właśnie rzuciła mu rękawicę. Tak, zamierzał ją podnieść. Był pewien, że wygra tę potyczkę, a Emilia jeszcze będzie go błagać, by na nią spojrzał. By wziął ją tak, jak znienawidzeni przez niego mężczyźni brali jego matkę.

– Ma tu nie zostać nawet jedno ziarno! – krzyknął do swoich podwładnych. – A ty – chwycił Emilię za podbródek – możesz już zacząć żałować swoich słów.

* * *

Zima przykryła Malinicze białą poświatą. Cukrowa zamieć przesłaniała widok na ciągnące się daleko pola i nagie konary drzew, a dom Dreznalów znalazł się w jądrze tej otchłani, z dala od cywilizacji i ludzkiego ducha.

Panująca w domu cisza piszczała w uszach. Niebywałe zimno wnikało w struktury drewnianych mebli, a te zdawały się przemieniać w bryły lodu. Chłód wdzierał się pod wszystkie warstwy ubrań, które z wielkim trudem nosili na sobie członkowie rodziny, jak gdyby były to kolczugi plecione z ciężkich stalowych oczek, a nie swetry z szorstkiej wełny.

Siedzieli w piątkę w salonie, wspierając łokcie na blacie stołu, i wyglądali jak ludzie, którym jednocześnie przytrafiła się ta sama dziwna choroba, przez którą postradali zmysły. Milczeli, tępo patrząc w przestrzeń, gdzie rozedrgane zmysły wyświetlały wspomnienia z lepszych czasów lub wizje dobrobytu, którego pragnęli od tak dawna, że zdawało im się, jak gdyby był jedynie sennym marzeniem. Ich płytkie oddechy nawet nie docierały do płomienia świecy, którą

tego świątecznego wieczoru zapalili, a której blask podkreślał marność namalowaną na licach przez trud życia.

Emilia zmusiła się, by przegonić sprzed oczu wizję talerza z kawałkiem gęsiny położonej na gotowanych warzywach i polanej sosem z wytopionego z mięsa tłuszczu. Nie pamiętała już, kiedy jadła do syta, a wiedziała, że gdy tylko jej umysł przywoła wspomnienie smaku ulubionego dania, ona sama z pewnością postrada zmysły.

Spuściła wzrok i ze smutkiem spojrzała na bliskich siedzących przy pustym stole, który dawniej w święta uginał się od potraw. Niewielkim chlebem upieczonym z otrębów pszenicznych, które ojciec na jesieni przezornie zakopał pod dębem, podzielili się jak opłatkiem. Z powodu nienasyconego głodu zjedli go tak szybko, że Emilia zdążyła już zapomnieć, iż cokolwiek miała tego dnia w ustach. A przecież powinni delektować się nim, ponieważ Jonasz uprzedził, iż jest to ostatnia partia otrębów. Emilia nie miała siły się zastanawiać, jak przetrwają nadchodzące miesiące. Nie chciała wierzyć, że naprawdę nie mają nawet jednego okruszka tych odpadów, które zawsze przeznaczali na paszę, a które na stałe weszły do ich jadłospisu, odkąd enkawudziści za brak chlebozagotowka zabrali im konia.

Obserwowała matkę, ojca, babkę, stryjenkę. Jałowa i uboga dieta wyostrzyła rysy ich twarzy, napinając skórę na kościach tak mocno, że wydawali się teraz mrocznymi zjawami o nieprzeciętnie chudych i długich kończynach. Dostrzegała te zmiany, choć głodówka zamazywała jej obraz i Emilia przestała widzieć kontury przedmiotów. W zamian uwrażliwiła węch – tak bardzo, że dziewczyna z daleka wyczuwała zapach podchodzącej pod dom zwierzyny. Odkąd jednak spadł śnieg, ten zmysł również ją zawodził, ponieważ brał się z jej wnętrza, w którym panowały chaos i pragnienie, by zjeść cokolwiek. Natrętnie obserwowała otoczenie,

szukając po drzewach ptaków i wiewiórek, a widząc tylko konary, zaczynała myśleć o jedzeniu kory, jak jeleń.

„Zwierzęta są mądre. Wiedzą, gdzie jest ukryte pożywienie" – myślała, a po chwili wyrzucała już sobie, że daje się ponieść tak niskim instynktom.

Głód stał się jej przekleństwem. Przejął kontrolę nad ciałem, a uśmierzenie go stało się jedynym pragnieniem.

Jonasz nagle wstał od stołu. Emilia zmęczonym wzrokiem popatrzyła na jego zgarbioną sylwetkę. Wyglądał jak kościotrup. Pełne apatii oczy zdawały się należeć do kogoś, kto za moment wyda z siebie ostatnie tchnienie. Drżąc na całym ciele, z trudem się wyprostował, choć ciężkie ręce nadal ciągnęły go w dół. Zrobił kilka kroków w stronę wyjścia i nagle zatrzymał się, po czym obrócił się, by spojrzeć na kobiety swojego życia. Zawahał się, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz one wiedziały, że znów wychodzi w poszukiwaniu pożywienia. Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ ich dom spacyfikowano. Zasady wewnętrznej paszportyzacji zabraniały im poruszania się po rejonie. Z powodu braku sił do pracy rodziców wyrzucili z kołchozu, dlatego porozstawiane na drogach patrole nie wypuszczały ich ze wsi.

Mimo to, jak co dzień, ojciec wychodził z domu, łudząc się, że przyniesie coś, co zaspokoi głód rodziny. W końcu zawsze był jej głową i poprzysiągł sobie walczyć o jej dobro.

Emilia w ostatniej chwili skrzyżowała z ojcem spojrzenia. Chciała mu życzyć spokojnej drogi i poprosić, by uważał na siebie, lecz nie miała siły wypowiedzieć nawet jednego słowa. Wystarczyło jednak mocy, by spojrzeniem przekazać ojcu podziękowanie za działanie, którego sama z braku przytomności umysłu i determinacji nie potrafiła podjąć. W oczach ojca dojrzała szklaną poświatę, zupełnie jak gdyby chciał zapłakać, lecz z głodu i pragnienia wyschły w nim wszystkie łzy. Mogłaby przysiąc, że biły od niego wielki żal, poczucie winy oraz prośba o przebaczenie.

Emilia z trudem uniosła kącik ust, by choć w ten sposób wesprzeć ojca i pokazać mu, że nie musi dźwigać na barkach tego ciężaru. W końcu nie on był odpowiedzialny za to, co się stało z ich rodziną. Nie on, a system.

* * *

Fiodor rzucił na siedzenie pasażera listę mieszkańców Wińkowiec, czując, jak rozsadza go wściekłość. Szarpał się przez chwilę z odpaleniem auta, pamiętającego jeszcze czasy cara Mikołaja II. Samochód jak zwykle z powodu mroźnej aury miał problem z zapłonem. W końcu jednak zaskoczył i Fiodor ruszył w stronę Malinicz, a za nim dwie ciężarówki. Żałował, że tego dnia nie wziął kapelusza, ponieważ mróz wyjątkowo dawał się we znaki i mężczyzna miał wrażenie, że przemarznięte na wskroś uszy zaraz mu odpadną. W dodatku zaczął prószyć śnieg, a samochód, który otrzymał w prezencie za szczególne dokonania, nie miał dołączanego dachu. Klął w duchu na nakaz pracy w tych warunkach atmosferycznych. Nadal uwierała go też świadomość, że jest podnóżkiem Liuszkowa.

Nie mógł skupić się na drodze, uciekając wzrokiem na listę z mieszkańcami polrajonu. Była wypełniona ledwie do połowy; przy nazwiskach sporządzał notatki o obecności i mniejsze adnotacje dotyczące obowiązkowej dostawy płodów rolnych. Nie wiedział, jak miałby wytłumaczyć się Liuszkowowi z tego impasu. Każdy myślący człowiek świetnie zdawał sobie sprawę, że zimą rolnicy utrzymują się jedynie z zapasów, a te przecież zostały im zabrane jesienią. Nie mieli już nic, czym mogliby wesprzeć państwo sowieckie, ale Liuszkow zdawał się głuchy na tłumaczenia Bucwalda i ślepy na sytuację, z jaką borykali się mieszkańcy rejonu płoskirowskiego.

Kiedy koło natrafiło na koleinę, autem szarpnęło, a Fiodor poczuł falę gorąca, usiłując odzyskać władzę nad samochodem. Zagryzł

mocno szczęki, wiedząc, że jeśli zaklnie, z pewnością boleśnie przygryzie sobie język; z niesmakiem spojrzał na drogę pełną wybojów, garbów oraz nierówności, wijącą się przed nim aż do ostrego zakrętu. Wyrobiona od przetaczających się po niej ciężarówek szosa przyniosła wizję nieprzyjemnych turbulencji, które nie wywołają u niego rozstroju żołądka tylko dlatego, że był niemal pusty. Fiodor zwolnił, dozując stopą jak najmniejszy pobór gazu, i zapatrzył się w ciągnący się na godzinie jedenastej pas ziemi przykrytej cienką warstwą śniegu, za którym nie było już żywej duszy. Wieś opustoszała. Tak wolał myśleć, choć do umysłu sączyło mu się inne wyobrażenie: że wszyscy wymarli.

Widział przecież niejednokrotnie, jak w Płoskirowie ludzie padali na ulicach. Umierali z głodu w drodze do pracy, do sklepu, w podwórkach domów i kamienic; nagle, nieoczekiwanie dla siebie, coraz bardziej obojętnych na tragedię drugiego człowieka. Z początku wszystkie ślady klęski głodu były zacierane przez żołnierzy. Szybko i sprawnie zorganizowane akcje Armii Czerwonej sprawiały, że problem stawał się niemal niewidoczny. Umarłych grzebano w specjalnie wyznaczonych miejscach, do których nie mieli dostępu cywile. Z początku ten proceder budził w płoskirowianinach bunt i sprzeciw, jednak z czasem, kiedy wszyscy zaczęli się borykać z tym samym problemem, ich zainteresowanie skupiało się wokół zdobycia żywności. Pragnienie zjedzenia czegokolwiek dominowało ich myśli, wyzierało z oczu, przyspieszało ruchy kradnących rąk i uciekających przed zdemaskowaniem nóg. Fiodora prześladowały histeryczne, niemal obłąkańcze i pełne błagania spojrzenia, które stawały się dowodem na nietrzeźwość umysłu ich właścicieli. Wszystko inne przestało mieć znaczenie; każda myśl, idea oraz plan działania skupiały się wokół tego, by zjeść – cokolwiek.

Fiodor starał się odsuwać od siebie te wizje, by móc koncentrować się na swoim zadaniu. Nie wiedział, jakim sposobem spełni wymogi stawiane mu przez partyjny zarząd. Ta kolektywizacja, w którą

z początku wierzył i która zdawała mu się idealnym rozwiązaniem w socjalistycznym kraju, coraz bardziej jawiła mu się jako klęska nieurodzaju ludzkiego. W jego rejonie z miesiąca na miesiąc notowano coraz większe straty w stosunku do innych z obwodu Winnicy. A on nie wiedział, co jeszcze powinien zrobić, żeby podnieść wyniki, skoro z tygodnia na tydzień na jego liście było coraz mniej ludzi. Sytuacja na wsiach wydawała się dramatyczna, a bezmiar tragedii rósł w oczach.

I kiedy tak zbliżał się do Malinicz, miejsca, gdzie zaczęła się jego nieudana przygoda z władzą sowiecką, czuł, że nie jest już tym samym człowiekiem, który przyjechał tu przeszło rok wcześniej. Zdawało mu się, że zaprzedał duszę samemu diabłu, a ten zbierał teraz w jego polrajonie największe żniwo.

Samochodem kolejny raz mocno szarpnęło, choć teraz przyczyną mogła nie być koleina, lecz wysoki kamień. Fiodor gwałtownie wcisnął hamulec i zatrzymał auto.

Wysiadł na skutą lodem ziemię. Czuł jej chłód pod cienką podeszwą buta, a zimno promieniowało aż do łydki. Porywisty wiatr zmiatał z pola drobinki śniegu i próbował wtłoczyć je pod poły jego tylko pozornie ocieplonego śliską i zimną podszewką płaszcza. Nie zatrzaskując drzwi, przeszedł na tył samochodu, wściekły na siebie, że przez nadmierne analizowanie nie zachował ostrożności. Modlił się w duchu, by się nie okazało, że uszkodził zawieszenie. Zerknąwszy za zderzak, zdziwił się, że ten jest nienaruszony, a samochód stoi na wyjątkowo płaskim odcinku drogi. Schylił się więc i zajrzał pod belkę zawieszenia.

Na widok skutych lodem sinych zwłok wezbrały w nim torsje. Jeszcze chwilę temu myślał, że przywykł już do widoku trupów, upadłych gdzie bądź z powodu wycieńczenia i głodu. A jednak ten widok wzburzył w nim krew.

Tuż za nim zatrzymała się ciężarówka, z której wyskoczył szeregowy. Tupnął nogą i wyprostował się jak struna, czekając na

rozkaz, ale Bucwald nie był w stanie nic z siebie wydusić.

– Coś się stało, towarzyszu?

Fiodor raz jeszcze rzucił okiem pod samochód. Zwłoki leżały tuż przed tylnymi kołami, wyciągnięte na całą długość osi. Przez moment zastanawiał się, co powinien zrobić. Gdyby był z nim Liuszkow, pewnie kazałby mu wsiąść za kółko i jechać dalej. W końcu temu biedakowi i tak już wszystko jedno, czy się po nim przejedzie drugi raz, czy wrzuci zmarnowane ciało do zbiorowej mogiły. Fiodor jednak zachował w sobie jeszcze resztki człowieczeństwa, które nakazywały mu oddanie godności pozostałościom po tej ludzkiej istocie.

– Zabierzcie tego człowieka z mojej drogi – powiedział pewnie, nie patrząc na żołnierza.

Chłopak przez moment stał nieporuszony, jakby nie mógł zrozumieć rozkazu. Nie przyjechał tu, żeby nosić trupy. Tym zajmowały się inne jednostki.

– No, rusz się! – ponaglił go Bucwald i chłopak niechętnie przywołał ruchem ręki kolegę, by mu pomógł.

Po chwili udało im się wydostać ciało spod samochodu; przenieśli je na pobocze, a tam porzucili niczym worek ziemniaków. Z obrzydzeniem wytarli dłonie o lodowate spodnie i w oczekiwaniu popatrzyli na Fiodora.

On jednak, sam nie wiedząc czemu, zbliżył się do zwłok i próbował dojrzeć, czy przyczyną zgonu była śmierć głodowa, czy potrącenie. Człowiek leżał twarzą do ziemi, lecz włosy, równie białe, co śnieg na polu, wskazywały, że był starcem. Spod grubych warstw ubrań wystawała duża i przeraźliwie koścista dłoń w kolorze tak bladym, jakby była pozbawiona krwi. Nie dostrzegł na niej plam opadowych, które w postaci fioletowych wybroczyn zawsze pojawiały się po jakimś czasie na trupach.

„Czyżbym więc go zabił?” – uderzyła go nagła myśl, a ciało momentalnie zalała fala gorąca.

– Obróćcie go – nakazał, znów wprawiając żołnierzy w konsternację.

Tym razem nie zwlekali z wykonaniem polecenia i nie śmieli zadawać zbędnych pytań. Mimo to wyraźnie nie zamierzali się przemęczać. Spojrzeli na siebie, jak gdyby zmawiali się do czynu, po czym jednocześnie kopnęli ciało czubkami butów. Zastygłe ciało poruszyło się nieznacznie. Powtórzyli czynność, tym razem używając znacznie większej siły, i kiedy udało im się obrócić je na plecy, Fiodor spojrzał na twarz nieszczęśnika.

Znał te poprzecinane zmarszczkami rysy, na których głód naciągnął skórę tak bardzo, że kości policzkowe zdawały się nienaturalnie duże, podobnie jak zapadnięte głęboko oczodoły. Sinoczerwona plama na policzku pokrywała całe ucho i spływała w dół szyi, gdzie czerniała intensywnym fioletem. Wyschnięte, na wpół otwarte bordowe usta wskazywały, że śmierć nastąpiła kilka dni wcześniej i nie miała nic wspólnego z potrąceniem. A jednak Fiodor poczuł, że kręci mu się w głowie.

Mimo że nic nie jadł, znów wstrząsnęły nim torsje. Obrócił się na pięcie i skulił, jak gdyby chciał zwymiotować, lecz jego ciało zdobyło się jedynie na suchy charkot, który na krańcu języka pozostawił po sobie gorzki smak dawno przetrawionej pajdy chleba ze smalcem, przesiąkniętej zapachem mocnych papierosów.

Nie takich odczuć spodziewał się w chwili, gdy ujrzy Jonasza martwego. To miał być dzień jego chwały; zwycięstwa sprawiedliwości i rozkosznego końca udręki. A jedyne, co czuł w tej chwili, to zawód oraz marność losu człowieka, któremu odebrano możliwość zadbania o jedną z podstawowych życiowych funkcji.

To nie Fiodor uśmiercił Jonasza. Zrobił to system, któremu wszyscy bez wyjątku musieli się poddać.

Bucwald wzniósł oczy, sięgając wzrokiem aż po horyzont, gdzie leżała wieś, do której przybył przed rokiem. Z zagospodarowanych i aspirujących do miana małego miasteczka Malinicz pozostała osada

widmo, a dobrodziejstwa rodzone rokrocznie z otaczającego ją czarnoziemu były już tylko wspomnieniem.

Wówczas znów uderzyło go to, w jak tragicznych czasach przyszło mu żyć, a w myślach wyświetlił się jeden tylko obraz: twarz dziewczyny, której lico jako jedyne w tym chorym kraju wzbudzało w nim niespotykanie przyjemne emocje. Jej nieugiętość, zadziorność i magnetyzm… Zdarzało mu się o niej myśleć, śnić i fantazjować, gdy kochał się z kobietami, które liczyły na pozwolenie nakarmienia się resztkami z jego stołu.

– Emilia – wyszeptał, czując w piersi mocny ścisk serca, po czym szybko wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Silnik od razu zapalił, jak gdyby wszechświat nie próbował go już zatrzymywać, ale robił wszystko, by Fiodor zdążył na czas uratować tę, której siła oddziaływania gasiła w nim wszelkie pokłady nienawiści.

* * *

Emilia leżała w swoim łóżku, wydychając z ust delikatne obłoczki powietrza i czując na twarzy piekące zimno. Nie była w stanie unieść powiek. Widziała pod nimi obrazy wspomnień, w których siedziała za domem, na pikniku. Tym samym, który urządzili sobie minionego lata. Zdawało jej się, że znów czuje na języku smak mięsnych wyrobów; pieczonej kiełbasy, nabitego na kij zwitka karkówki i ziemniaków z ogniska, oprószonych drobinkami soli.

Ze zdziwieniem odkryła, że do jej sennych marzeń nie przebija się dźwięk, jaki wydawał głodny brzuch. Zamiast tego miała wrażenie, że stał się jedną wielką dziurą.

Zastanawiała się, czy to możliwe, żeby żołądek z braku pożywienia pochłaniał kolejne organy i sam zjadał ją od środka? Czy właśnie

dlatego nie opuszczało jej dziwne wrażenie ciężkości pojawiające się tuż pod żebrami?

W domu panowała kłująca w uszy cisza, a w głowie Emilii po raz pierwszy zrodziła się myśl, że wszyscy umarli. Nie była w stanie przypomnieć sobie, od jak dawna leży w łóżku, naprzemiennie z powodu głodu tracąc przytomność i wracając świadomością do sennych marzeń. Ten stan musiał trwać od kilku dni, wszak jasność dnia i mrok nocy kilkukrotnie przedzierały się przez przymknięte powieki, lecz ona była zbyt słaba, by skupiać na tym uwagę. W końcu jednak niepewność bytu rodziny i złowroga pustka opanowująca zarówno jej ciało, jak i duszę zmusiła Emilię, by się obudziła.

Obraz zafalował jej przed oczami, jak gdyby dom dryfował po otwartym morzu. Wszystko wokół zdawało się poszarzałe, pozbawione koloru oraz przykryte mgłą, zupełnie jakby z braku energii jej mózg nie był już w stanie panować nad ostrością widzenia i błędnikiem.

Z ogromnym trudem uniosła głowę i wsparła ciało na przedramionach, czując, że ten zwykły akt codziennej egzystencji jest ponad jej siły. Po kilku próbach w końcu usiadła na łóżku i czekała, aż zawroty głowy miną. Te jednak zdawały się rosnąć w siłę.

– Mamo? – wyszeptała, licząc, że usłyszy jakieś pomrukiwanie za ścianą, lecz odpowiedziała jej martwa cisza.

W końcu zebrała się w sobie i wstała z łóżka. Podpierając się o meble i powłócząc nogami, przemierzała znany na pamięć dom. Panujące wokół zimno przesiąkało ją na wskroś, a duszący odór drażnił nozdrza tak bardzo, że pragnęła zwymiotować. Jej ciało, targane torsjami, spinało się i kurczyło, lecz przez wysuszone na wiór usta i podeschnięty przełyk nie przechodziła nawet ślina.

Drzwi do pokoju mamy były otwarte, ale w środku nie znalazła nikogo. Powolnie stawiane kroki zaprowadziły ją do pokoju stryjenki.

Otworzyła drzwi i wówczas wylała się na nią przytłaczająca zgnilizną aura, atakująca nos i oczy.

Pelagia leżała na podłodze z twarzą skierowaną do dołu, ku spracowanym obcasami deskom. Emilia szybko postawiła trzy kroki i padła boleśnie na kolana przy stryjence, dotykając jej ramienia.

– Mój Boże… Mój Boże – szeptała pełna przerażenia.

Drżącą dłonią poruszała lodowatym ciałem Pelagii, lecz ta nie dawała znaku życia. Była skostniała i sztywna, a mimo to Emilia nie dopuszczała do siebie najgorszego. Panika przejęła nad nią kontrolę; zaczęła szarpać stryjenkę za ramię, chcąc za wszelką cenę ją wybudzić lub chociaż obrócić na plecy. Nie zdołała tego zrobić, lecz te chaotyczne, nerwowe ruchy wystarczyły, by ujrzała twarz Pelagii, zastygłą z na wpół otwartymi ustami, z których właśnie wychodził robak.

Emilia zawyła jak dziki zwierz i chwiejąc się na nogach, podniosła się i wytoczyła z pokoju, w kierunku sypialni babki.

Katarzyna siedziała tyłem do wejścia, w swoim ulubionym fotelu, zwracając twarz ku pokrytym bielą polom. Emilia na ten widok poczuła się trochę lepiej, choć przez głowę przebiegło jej pytanie: Dlaczego siedzi tak spokojnie? Musiała przecież słyszeć jej histeryczny krzyk.

Emilia ruszyła ku niej, z każdym krokiem czując coraz większe napięcie ciała i strach. Babka miała na sobie ulubioną sukienkę, a na kolanach trzymała książkę, z której wyrwano kilka kartek, a resztę porwano, jak gdyby ktoś odrywał je sukcesywnie, kawałek po kawałeczku. Emilia z każdym przemierzonym krokiem dostrzegała coraz więcej szczegółów. Sunęła wzrokiem po ciemnej sukience, na której odznaczały się maleńkie skrawki kartek z czarnymi drukowanymi literami. Były na spódnicy, torsie i biuście, a jeden z nich spoczywał na spierzchniętej dolnej wardze, która swoim kolorem przypominała najczarniejsze odcienie burgundu. Babka oczy miała otwarte, zmęczone, zastygłe w rozpaczy.

Szok, niezrozumienie i prawda bijące z tragicznego obrazu wstrząsnęły Emilią, sprawiając jej ból, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Szybko nabierała powietrza, jak gdyby chciała nakarmić nim swoje ciało i obezwładnioną niemożliwym do zniesienia odkryciem duszę.

Dlaczego to przeżyła? Dlaczego nie umarła tak jak one?

Szlochając, ukryła twarz w dłoniach. Prosiła Boga, by wyrwał ją z tego piekła i skrócił cierpienie.

Wtedy usłyszała na parterze jakiś hałas. Zamilkła, tłumiąc płacz, i wytężyła słuch. Nieludzkie zawodzenie, jakby zwierzyny zakleszczonej we wnyki, niosło się schodami. W pierwszej chwili Emilia pomyślała, że to wilki przyszły szukać pożywienia.

„Na nic to" – powiedziała sobie w duchu. „Nic tu nie znajdziecie. Od dawna nie ma tu nawet jednego okruszka chleba, ni jednej kropli zupy".

Po chwili jednak, wytężając jeszcze bardziej słuch, rozpoznała słowa modlitwy. Wstała z podłogi, a każdy ruch rozdzierał jej ciało. Pozbawione jedzenia i picia więdło, schło i kruszało. Najlżejszy nawet gest sprawiał jej ból. Kości ocierały się o siebie, gdy powłócząc nogami, próbowała zejść ze schodów. W końcu i one odmówiły posłuszeństwa; Emilia zakołysała się lekko, a kolana pod nią zgięły wpół jak dwie pęknięte zapałki i dziewczyna z głośnym łoskotem spadła ze schodów.

Ból potłuczonych kości był niemiłosierny, a zawroty głowy tak silne, że znów chciało jej się wymiotować. A jednak w tym całym zamieszaniu zdołała dojrzeć matkę, która chyba nie zarejestrowała pojawienia się córki, ponieważ całą swoją energię wkładała we wpatrywanie się w coś, co znajdowało się w podłodze. Klęcząc, wbijała wzrok w szczelinę między deskami i usiłowała wydrapać z niej coś, nie bacząc ani na krew sączącą się spod paznokci, ani na pojękiwania córki, która próbowała się podnieść. Emilia zmrużyła oczy, lecz nie mogła dojrzeć tego, co tak frapowało Kornelię.

Z trudem doczołgała się do matki, ale ta w obłąkańczym szale odepchnęła ją jak wroga, który próbuje zabrać jej skarb – schwytanego w pułapkę robaka.

Emilia, oparłszy się o ścianę, patrzyła z przerażeniem na matkę, nie wierząc, że głód tak dalece może przemienić człowieka.

W tej samej chwili powietrze przeciął odgłos silnika, jednak nim Emilia zdążyła podnieść się z podłogi, by sprawdzić, co się dzieje, drzwi domu otworzyły się z impetem. Lodowaty wiatr wpadł do korytarza wraz z płatkami śniegu, a na tle oślepiającej śnieżnobiałej aury stanął wielki i postawny Fiodor Bucwald.

Emilia poczuła, jak ze stresu kostnieje całe jej ciało. Pamiętała ich ostatnie spotkanie i groźbę, jaka wówczas padła z ust Fiodora, a której Emilia nie chciała dawać wiary. Od tamtej pory była jej przekleństwem. Teraz pomyślała, że Fiodor przyszedł dokończyć dzieło zniszczenia, jak kroczący po polu bitwy władca, który wie, że wygrał. Kiedy ruszył w jej kierunku, poczuła, że drży z przerażenia i że lęk obezwładnia jej ciało do tego stopnia, że nie jest w stanie się ruszyć, odezwać ani mrugnąć. Patrzyła mu w oczy, czekając na coś, co ostatecznie i tak powinno nastąpić: na zakończenie jej cierpień. Nie wiedziała, czego innego mogłaby się spodziewać, wystawiła się więc na uderzenie, strzał, a może wielkie dłonie ściskające szyję. Wiedziała, że to koniec, że wszystko już stracone.

Przystanął przy niej, a potem ukląkł na jedno kolano.

– A więc żyjesz – rzekł jakby z ulgą, po czym wyciągnął dłoń, jak człowiek, który spotyka na drodze obce zwierzę i chce, by mu zaufało.

Emilia nie wykonała żadnego ruchu, choć drżenie ciała przybrało na sile. A on czekał, w skupieniu lustrując jej twarz. Pachniał świeżym powietrzem, kiełbasą i papierosami i Emilia walczyła z pragnieniem pochwycenia go za rękę.

– Nawet w takiej chwili w twoich żyłach sączy się duma – dodał głucho, jakby w głąb siebie.

Jego oczy wyrażały skruchę, lecz Emilia nie była pewna, czy mężczyzna naprawdę to czuje, czy może jej mózg, oszołomiony nowymi zapachami, chce ją oszukać.

Spłoszył ich nagły histeryczny płacz Kornelii. Siedziała na kolanach, kryjąc twarz w dłoniach. Była oszołomiona, pogrążona w rozpaczy i utrapieniu. Bezradna. Krucha. Otępiała.

Patrząc na matkę, Emilia zrozumiała, że życie, które znała, właśnie się skończyło i nie istniało już nic, czego mogłaby się uczepić, nic, co by wyrwało ją z tej otchłani piekła. Przeniosła wzrok na Fiodora, który z lekko otwartymi ustami patrzył na ten bezmiar tragedii Kornelii, nie rozumiejąc jednak jej zachowania. Emilia była niemal pewna, że w jego oczach dojrzała wyrzuty sumienia, współczucie oraz chęć pomocy. Cechy, których dotąd u niego nie widziała, a które w tym momencie zdawały się wszystkim, czego potrzebowała.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ręki. Była ciepła i miękka.

– Pomóż nam – wyszeptała ledwie słyszalnie, a on uścisnął jej palce, po czym chwycił ją w ramiona i poniósł do wyjścia.

1980 rok, Zachodniopomorskie

– Z podróży do Płoskirowa niewiele zapamiętałam. Widocznie byłam zbyt słaba, by przywołać w pamięci jakiekolwiek wrażenia z tego przejazdu. Pamiętam jednak, że droga była dość długa, że żołnierze krzyczeli i że okropnie marzły mi uszy… Fiodor kłócił się z czerwonoarmistami, którzy patrolowali granice wsi. Wiesz, chodziło o to, żeby nikt nie opuszczał swojego domostwa… Te głośne rozmowy wybudzały mnie z dziwnej apatii, w którą popadłam z chwilą poddania się Fiodorowi. Czułam się dziwnie, gdy słyszałam, jak Fiodor upierał się, że jestem jego narzeczoną i mimo braku paszportu musi wydostać mnie z oblężonego terenu. Moją otępiałą mamę przedstawiał jako swoją ciotkę. – Eleonora podniosła

zmęczone spojrzenie na Małgorzatę. – I był w tych zapewnieniach tak wiarygodny, że kolejne patrole puszczały nas wolno. A może chodziło o jego pozycję? Może czerwonoarmiści trochę się go bali? Nie wiem… I pewnie nigdy już się tego nie dowiem – westchnęła przeciągle. – W każdym razie udało mu się zabrać nas z tego piekła. A kiedy już przywiózł nas do swojego mieszkania, które otrzymał za kolejne zasługi dla partii, uraczył nas zupą. Jadłyśmy łapczywie, a on najpierw na nas patrzył, a potem przywołał swoją gosposię, nakazał jej się nami zajmować i wyszedł z mieszkania. Wrócił dopiero po kilku tygodniach.

Małgorzata wypuściła z siebie ciężki oddech i przymknęła rozchylone z niedowierzania usta. Eleonora spojrzała w zaszklone oczy synowej, gdy ta patrzyła na wylizany do czysta talerz swojego męża.

– Nikt po takich doświadczeniach nie odważyłby się wyrzucić ziemniaka – rzekła głucho.

– Nawet tego na wpół zielonego. – Eleonora uśmiechnęła się smutno. – Wiesz, Małgosiu, teraz myślę, że całe życie upłynęło mi na usilnych próbach zabezpieczenia rodziny. Przez wiele lat gromadziłam, ba, nadal gromadzę, ogromne porcje jedzenia. Tuczyłam swoje córki, wierząc, że w razie kolejnej klęski głodu, nawet takiej, jak w latach trzydziestych, wywołanej sztucznie przez władzę, one przetrwają. Obwiniają mnie teraz o to, że mają problem z nadwagą, a ja czuję, że zrobiłam dobrą robotę i dobrze spełniłam swój obowiązek. Uchroniłam je przed głodem, a to często wymagało ode mnie dużego zaangażowania.

– Może gdybyś im to wszystko wytłumaczyła… Gdybyś powiedziała Marcinowi…

– Zrozumiałby? Prędzej zlinczowałby mnie za to, że nie powiedziałam mu o tym, kim byłam, o mojej rodzinie i o pierwszym mężu.

Małgorzata milczała. Jej twarz zdradzała skupienie; kobieta układała sobie w głowie wszystko, co chwilę wcześniej wyznała jej teściowa.

Słońce powędrowało na drugą stronę nieba, a one nadal siedziały w kuchni, przed zimnym śniadaniem. Eleonora nie miała ochoty go kończyć i patrzyła beznamiętnie na talerz. Przez jej głowę przetoczyła się myśl, że to tylko jajecznica, a nie decydujące o jej życiu lub śmierci pożywienie. Oczywiście szkoda, żeby się zmarnowało, ale od tak wielu lat nie czuła głodu, że może w końcu powinna przestać się zmuszać, by zjadać wszystko?

– Pierwszym mężu, który był zwyrodnialcem? – wypaliła nagle Małgorzata.

Eleonorę coś zakłuło w sercu.

– To wszystko przez… – zamilkła, ważąc słowa. – Poczucie obowiązku. Tak jak przez lata czułam, że powinnam nie dopuścić do tego, by moi bliscy głodowali, tak wtedy wiedziałam, że muszę zostać jego żoną. Nie dlatego, że go pokochałam, ale jako spłata długu.

– Mówisz o tych podatkach, które Fiodor nałożył na twojego ojca?

– Też. Choć bardziej mam na myśli dług moralny. Chciałam mu się odwdzięczyć za to, że uratował mnie i mamę, a prócz ciała, które Fiodor chciał posiąść, nie miałam nic więcej.

– Po tym wszystkim, co się wydarzyło, mama nie odwodziła cię od tego pomysłu?

Starsza kobieta milczała, powracając wspomnieniem do obrazu matki. Kornelię pamiętała jako cichą, spokojną i wycofaną z życia, a po 1933 roku te cechy jeszcze bardziej się wyostrzyły.

– Ona po tym wszystkim nie była już tą samą kobietą. Głód ją złamał, a wiadomość o śmierci mojego ojca, którą przekazał nam Fiodor, stała się dla niej niewyobrażalnym ciężarem. Właściwie to kiedy sięgam pamięcią do tamtych dni, mam wrażenie, że była nawet przychylna mojemu małżeństwu.

Małgorzata uniosła wysoko brwi.

– Dlaczego? Odniosłam wrażenie, że ona jako jedyna przejrzała go na wylot.

– Z Fiodorem było jak z niesfornym nastolatkiem, który wagaruje i jest na bakier z nauką. Wszyscy nauczyciele wieszają na nim psy, ale dzieciak poprzez takie zachowanie uczy się pewnej niezależności i odpowiedzialności za swoje czyny. Wychodząc poza ramy ogólnie przyjętych norm i zasad, jest nieprzewidywalny, trudno go ujarzmić, lecz w razie wypadku to on jako pierwszy odważy się działać. Nie dlatego, że jest dzielniejszy od innych, ale dlatego, że działa impulsywnie. Nieszablonowo. Kryzysową sytuację przyjmuje jako wyzwanie, podczas gdy inni, o ciasnych umysłach, podchodzą do niej z lękiem. Zwykle jest tak, że ten obywatelski zryw budzi podziw i to jedno wydarzenie przedkłada się później ponad wszystkie inne nieprawidłowości. Ono wybiela charakter. Dla mojej mamy takim wydarzeniem było niewątpliwie zabranie nas z Malinicz, otoczenie opieką oraz zorganizowanie pochówku dla taty, babci i Pelagii. Bo w gruncie rzeczy Fiodor w Płoskirowie, choć nie swoimi rękoma, opiekował się nami, chronił nas i karmił. Być może ruszyło go sumienie po tym, co zrobił w imię kolektywizacji.

– Albo cię kochał.

Eleonora spojrzała na swoje dłonie, na których niegdyś błyszczały piękne pierścionki, prezenty od Fiodora z czasów, kiedy już stała mu się całkiem podległa.

– Tak. Niewątpliwie mnie kochał.

– Nie rozumiem. Więc co się stało, że nie zostałaś przy nim?

Eleonora nabrała powietrza w płuca. Znów zobaczyła przed sobą zmienne jak pogoda oczy tamtego mężczyzny, które patrzyły na nią w namiętnym uniesieniu, by za moment gardzić jej ciałem. Podziwiały jej smukłe kształty, podczas gdy z jego ust padały te wszystkie poniżające uwagi. Zawsze rozbiegane, desperackie,

ogarnięte furią. W ślad za wzrokiem szły jego ręce, spragnione, by równocześnie dawać rozkosz jej ciału i robić mu krzywdę.

– Nie potrafiłam odwzajemnić tego uczucia, chociaż przez jakiś czas łudziłam się jeszcze, że miłość pojawi się po ślubie.

– Kiedy się pobraliście?

– Och, to było kilka miesięcy po tym, jak Fiodor zabrał nas z Malinicz. Ślub odbył się w piękny letni dzień, prócz mojej mamy i sługusa Fiodora nie było nikogo. Wysłałam zaproszenie do siostry, ale do Lwowa doszło z dużym opóźnieniem. Poza tym, wiedząc dziś, jakie były wtedy realia, obawiam się, że przekroczenie przez nią granicy byłoby jednoznaczne z podejrzeniem o inwigilację, może nawet zatrzymałoby ją NKWD. Wszystkich Polaków odwiedzających Związek Radziecki Stalin uważał za zdrajców.

Zamilkła, myśląc o siostrze. Od wielu lat nie miała z nią kontaktu. Właściwie nie wiedziała nawet, czy Klara nadal żyje.

– Ślub jawił mi się jako koniec moich problemów, teraz jednak wiem, że jego termin zbiegł się z nowymi dyrektywami i to dało mi złudzenie poprawy losu. Władza sowiecka, zdając sobie sprawę z kryzysu, nie tylko przestała ograbiać rolników z pożywienia, ale też zwiększyła wypłaty pracującym w kołchozie. Chociaż to nie były wypłaty, a racje żywnościowe… – Westchnęła. – Żeby wszystko znów wróciło na dawne tory, potrzeba było rąk do pracy, a tymczasem głód zdziesiątkował ludność, a brak zboża na zasiew był jednoznaczny z brakiem plonu. Pola długo stały ugorem, aż rolnicy, jeden za drugim, zamiast zboża zaczęli sadzić warzywa. Dzięki temu każdy mógł najeść się do syta, a tamtego lata ziemia była wyjątkowo płodna. Zupełnie jak gdyby natura postanowiła uchronić gatunek ludzki przed całkowitym wyginięciem. Ludzie odzyskali wiarę w życie. Z nadzieją patrzyli w kolejne dni. A ja, jako żona partyjniaka, mogłam liczyć na przywileje, na których niegdyś tak bardzo zależało mojej babce.

Małgosia wzięła teściową za rękę.

– Mówisz to z taką melancholią i zawodem w głosie. Zupełnie jakby w tej całkiem dobrej sytuacji czegoś ci wtedy brakowało…

Eleonora pokiwała głową.

– Teraz, patrząc na tamte wydarzenia z perspektywy czasu, wiem, że brakowało mi miłości. Choć wtedy byłam pewna, że wszystko jest na swoim miejscu. A właściwie tak starałam się to pokazywać na zewnątrz, bo w środku dusiłam się okropnie, jak gdyby zamknięto mnie w płonącym domu. Fiodor przez kilka miesięcy po ślubie był dla mnie dobry, jakby chciał mi wynagrodzić to, co wydarzyło się przy jego udziale. Ale ja nie umiałam zapomnieć. Patrzyłam na niego i widziałam dawnego Fiodora, butnego, łasego na pieniądze, nieugiętego choleryka. I chociaż nie chciałam się do tego przyznać, czułam do niego obrzydzenie. A z czasem poczułam je również do samej siebie za to, że zgodziłam się zostać jego żoną.

– Zorientował się w twoich uczuciach?

– Z pewnością w tym, że go nie kocham… Choć nie przeszkadzało mu to, by mnie zmuszać do małżeńskich obowiązków. Później uciekł w pracę. Coraz częściej nie wracał do domu. Delegacje stawały się dłuższe, niż to było konieczne. A ja, ponieważ jak twierdził, nie potrafiłam dać mu potomka, stałam się bezużyteczna. Trwaliśmy w takim układzie przez cztery lata, podczas których zadomowiłam się w Płoskirowie. Miałam tam coraz więcej znajomych, a Fiodor dzięki swoim układom załatwił mi pracę w biurze cukrowni, jednej z największych fabryk w tamtym rejonie. Mojej mamie też, choć ona ze względu na swój stan pracowała na najniższym szczeblu produkcji. Pamiętam, jak prosiłam Fiodora, by przeniósł ją na wyższe stanowisko, ale mama się sprzeciwiła. Mówiła, że tak jest lepiej, że tam łatwiej jej nie myśleć o mężu. I teraz doskonale ją rozumiem. Nie ma bowiem na świecie większego ciężaru niż ten, który nakładają nam na barki traumatyczne wspomnienia.

Eleonora znów poczuła w ciele przypływ gorącej fali. W żołądku rosła twarda gula. Wspomnienia przelatywały jej przed oczami jak

obrazki w kalejdoskopie.

– Z czasem coraz lepiej nam się wiodło – dodała. – A potem…

Małgorzata, widząc jej zmieszanie, mocniej uścisnęła jej dłoń i uśmiechnęła się lekko, jak gdyby chciała przekazać, że teściowa nie musi nic mówić, jeśli nie chce. Jednak ostatnie dni uświadomiły Eleonorze, że wyrzucenie z siebie tych wszystkich wspomnień przynosi jej ulgę. Owszem, moment, w którym znów przeglądała się w nich jak w tafli, był bolesny i trudny, ale następująca później lekkość działała na nią tak kojąco, że to uczucie nie mogło z niczym konkurować. Było w tej chwili coś ulotnego i odciążającego. Coś w rodzaju nagrody, jakie ciało ofiarowywało samo sobie za trud wyznania. I to się teraz liczyło najbardziej. Tego Eleonora musiała się trzymać.

– A potem… Wszyscy, jeden po drugim, zaczęli znikać.

– Co? – zdziwiła się Małgorzata. – Nie rozumiem. Jak to znikać?

Eleonora przyłożyła dłonie do czoła i pomasowała sobie skronie. Pomimo upału opuszki palców były lodowate, a ucisk w gardle przeszkadzał jej przełykać ślinę. Przesunęła po szyi dłonią, jak gdyby chciała zdjąć z niej ciężar, lecz wyczuła tylko pomarszczoną biegiem lat skórę. Nie zaciskały się już na niej dłonie Fiodora, którymi wtedy, w 1937 roku, tak wiele razy próbował ją zgnieść, skruszyć kręgosłup. A jednak nigdy nie wykonał tego ostatecznego kroku. Może nie miał odwagi z nią skończyć, a może…

Potrząsnęła głową.

– Polacy. Znikali bez śladu. Nagle przestali pojawiać się w pracy, a kiedy pytałam, okazywało się, że rozpłynęli się w powietrzu. Systematycznie, niemal dzień po dniu, znikali mężczyźni, kobiety, czasem też dzieci. Myślę, że wywożono je do domów dziecka. Jak udało mi się później dowiedzieć, ludzie nocami byli nachodzeni przez NKWD. Zabierano ich do więzienia, stawiano absurdalne zarzuty działania przeciwko Rosji. A później ślad po nich ginął.

– Ale dlaczego?

– Uważano ich za wrogów narodu, szpiegów, kolaborantów… Niemalże wszystkich oskarżano o przynależności do Polskiej Organizacji Wojskowej. Z czasem jednak okazało się, że to była zorganizowana akcja Stalina przeciwko Polakom, którą w Płoskirowie kierował mój mąż… A ja postanowiłam się temu przeciwstawić.

[6] (pot.) Polski rejon narodowościowy – jednostka administracyjna w ZSRS, mająca na celu zrzeszenie polskiej mniejszości narodowej.

[7] Komunistyczna organizacja młodzieżowa, propagująca idee komunizmu, mająca na celu zaangażowanie młodzieży chłopskiej i robotniczej w aktywne budowanie Rosji Radzieckiej. Przynależność do Komsomołu była często argumentem mówiącym o poparciu dogmatu władzy sowieckiej i pozwalała uniknąć represji.

[8] Rosyjski odpowiednik kontyngentów.

CZĘŚĆ III

1938 rok, Podole

Emilia stała w sekretariacie cukrowni w Płoskirowie i patrzyła przez okno. Deszcz zmieniał się w ulewę. Chmury osiadły nisko na dachach budynków, pożerając ich kontury. Zapadał zmrok i kolejna noc szykowała się do biegu.

Przejeżdżający samochód oślepił ją światłami. Zamrugała szybko i otworzyła szeroko oczy, próbując za wszelką cenę wypatrzyć w ciemnościach zarys upragnionej postaci. Co jakiś czas tylko uciekała wzrokiem, by zerknąć na swoje odbicie w lustrze. Musiała zachować kamienną twarz, choć wewnątrz płonęła ze stresu. By rozładować napięcie, poruszała palcami stóp i dziękowała sobie w duchu, że poszła za radą szewca i zostawiła w pantoflu trochę miejsca. Mężczyzna twierdził, że wykona buty z dbałością i przy zastosowaniu kilku sztuczek, tak że nikt nie zorientuje się w rozmiarze, a ona zyska komfort chodzenia. W istocie, ten skrawek przestrzeni stał się miejscem, gdzie uwalniała z ciała strach.

Miała zaledwie dwadzieścia lat, ale starannie nałożony na twarz mocny makijaż ją postarzał i dodawał powagi. Wiedziała jednak, że taki wizerunek lepiej odzwierciedla jej wnętrze. W końcu nie wiek, a doświadczenia definiują dojrzałość człowieka, a tych drugich Emilia miała pod dostatkiem.

Zegar niemiłosiernie szybko odmierzał czas, a Cecylia nadal nie pojawiła się w gabinecie. Emilię coraz bardziej paraliżował strach. Musiała jednak wytrzymać. Musiała zdusić w sobie te emocje, nie dopuścić, by wypłynęły na twarz.

Odgłos kroków niosących się po korytarzu za drzwiami gabinetu uspokoił ją nieco. Odeszła od okna i wzięła do rąk plik dokumentów, w których co dnia zapisywała wyniki produkcji oraz wyliczenia odpowiadające zapotrzebowaniu zakładów przetwórczych na cukier. Na szczęście dziś wszystko było, jak należy, i nie musiała kolejny raz sprawdzać wyliczeń. Otworzyła szafę i wyjęła z niej teczkę na codzienne raporty. Przy okazji upewniła się, że ukryta między stosem dokumentów koperta z blankietami jest na swoim miejscu. To na podstawie tych kartek wyrabiały z Cecylią nowe dowody tożsamości ludziom, którzy byli brani na celownik enkawudzistów.

„Dlaczego tak wolno idzie?" – zastanawiała się Emilia w duchu, zerkając na drzwi, w których już dawno powinna się pojawić Cecylia.

Zostało im raptem kilka minut, nim pod fabrykę podjedzie Fiodor. Wówczas nie będzie już czasu na działanie, a kolejna osoba, która zdecydowała się upozorować własną śmierć, z duszą na ramieniu będzie oczekiwała najgorszego.

Emilia wytężyła słuch. Kroki za drzwiami były coraz cichsze, miękkie i ostrożne. Wstrzymała oddech, mechanicznie, acz z wyuczoną precyzją porządkując biurko. Wiedziała, że przez narastający mrok światło w gabinecie zdradza każdy jej ruch. A było niemal pewne, że ją obserwowano. Nie tylko dlatego, że była żoną przewodniczącego sielsowietu[9], ale przede wszystkim dlatego, że była Polką. Narodowość narzucała na nią wielkie brzemię.

Kilka tygodni temu na wszystkich Polaków padł blady strach. Emilia, choć usiłowała nosić się dumnie, bała się zbyt długo patrzeć ludziom w oczy. W pracy starała się być pomocna i uczynna, zwłaszcza dla tych, którzy bacznie jej się przyglądali. Po chodnikach czmychała jednak niczym polna mysz, za wszelką cenę próbując nie

zwracać na siebie uwagi. Nigdy nie było wiadomo, kto z mijanych ludzi okaże się donosicielem, który za kilkadziesiąt karbowańców[10] skaże ją na więzienie, zesłanie lub śmierć.

Zegar wybił pełną godzinę, co oznaczało, że tego dnia czas miłosierdzia się skończył. Mocno ścisnęła trzymaną w dłoni teczkę, po czym schowała ją z powrotem do szafy i jak gdyby nigdy nic zamknęła na klucz. Starając się oddychać powoli oraz kontrolować krążące we krwi obawy o koleżankę, podeszła do drzwi, a następnie zdjęła z wieszaka chustkę i płaszcz. Gdy zapinała guziki, na wysokości serca wykonała kciukiem znak krzyża. Pokładała ufność w Bogu. Wierzyła, że opatrzność uchroni ją przed niebezpieczeństwem.

Drzwi otworzyła pewnie i śmiało. Na korytarzu paliło się światło, lecz nikogo nie dostrzegła. Kolejny raz ktoś ostentacyjnie dawał jej do zrozumienia, że ma na nią oko.

Fiodor jak zwykle czekał na nią w samochodzie przed fabryką. Miał w zwyczaju zawozić ją po pracy do domu. Z początku myślała, że to przejaw czułości i troski; że jako mąż martwi się, by nie wracała sama po zmroku. Z czasem jednak zrozumiała, że w ten sposób Fiodor ma nad nią kontrolę. Wieczorami czuwał, by nie zrobiła żadnego głupstwa; rankiem, gdy przemierzała drogę do pracy na piechotę, czuła na sobie czyjeś baczne spojrzenie, zapewne należące do jednego z jego popleczników.

– Spóźniłaś się – powiedział na przywitanie.

Emilia poprawiła się na siedzeniu pasażera i pocałowała go w policzek. Pachniał potem, papierosami i kawą. Znów był zdenerwowany, lecz nie śmiała pytać go o powód w obawie, że znów wyładuje na niej swoją agresję.

– Wybacz, mężu, przed wyjściem musiałam jeszcze skorzystać z toalety.

– Łżesz! – warknął. – Widziałem, jak się guzdrzesz z papierami.

– Właśnie dlatego nie chciałam ci mówić prawdy – odparła spokojnie i udała ziewnięcie, by zamaskować niepokój. – Wiem, jak bardzo irytuje cię moja niezaradność. Ale proszę, nie szukaj igły w stogu siana. Jestem wykończona. Dziś znów było nas mniej, a roboty tyle samo. Jak tak dalej pójdzie, tylko ja zostanę na zmianie.

– Pora przyzwyczaić się do tej myśli – burknął.

Czuła na sobie intensywny i pełen podejrzliwości wzrok męża, lecz nim zdążyła pochwycić to spojrzenie, odwrócił twarz, odpalił silnik i gwałtownie ruszył. Z jego gestów biły nerwowość i gniew.

– Co to znaczy? – zapytała naiwnie, udając, że o niczym nie wie. – Czyżbyś słyszał o jakichś zmianach w mojej pracy? Albo dlaczego nie było dziś dziewczyn?

W odpowiedzi zerknął na nią gniewnie.

Zastanawiała się, czy się domyśla, że to gra, że w rzeczywistości Emilia działa wbrew niemu. Czyżby to on wysłał kogoś do cukrowni, by ją szpiegował? Nieraz przecież słyszała te miękkie i powolne kroki, które nie mogły należeć do dziewczyn z sekretariatu, ponieważ one wszystkie chodziły w pantoflach, a ostatnio celowo zdarły z butów fleki, żeby rozpoznawać się po chodzie.

– Fiodorze, czy mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego mam się przyzwyczaić? Czy coś się stało z dziewczynami? – ponowiła pytania, dbając o to, by jej głos brzmiał delikatnie. – Zachorowały? Czy dlatego nie było ich w pracy? W mieście panuje epidemia, tak? To dlatego tylu pracowników nie zjawia się na poranną zmianę? Och, dlaczego nic mi nie mówisz? – Podniosła teatralnie głos.

Zatrzymał samochód i chwycił ją za podbródek.

– Im dłużej ciebie słucham, tym bardziej wierzę w słuszność swojej sprawy. – Przesunął dłoń i mocno ścisnął policzek żony, po czym przywarł do niej ustami. Siła jego nacisku była tak duża, że zdawało jej się, iż zaraz złamie żuchwę, a jednak wytrzymała ten gest patologicznej czułości. – Jakie to szczęście, że jesteś głupia.

Przynajmniej mam pewność, że nigdy nie byłabyś zdolna do wzniosłych celów.

Posłała mu ciepły uśmiech, a on tylko pokręcił głową, po czym wysiadł z samochodu, głośno trzaskając drzwiami. Nie poczekał na nią. Nie otworzył jej drzwi w dżentelmeńskim geście. Jednak Emilia nie czuła frustracji ani zawodu. Wysiadła. Owiał ją delikatny wiatr, niczym dotyk ulgi dając jej namiastkę bezpieczeństwa.

* * *

Fiodor obudził się nad ranem z silnym bólem głowy. Poprzedniego dnia znów przesadził z alkoholem.

Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy przekroczył tę cienką granicę delikatnego upojenia i wypłynął na rozległe morze pijaństwa. Już kilka miesięcy temu zauważył, że wódka coraz szybciej uderza mu do głowy. Mimo to nie potrafił zakończyć kolejnego dnia bez jej posmaku w ustach; zdawało mu się, że tylko ta cierpkość pozwalała zapomnieć o tym, w czym brał udział.

Prawa strona łóżka była zimna – znak, że Emilia wyszła już z domu. Jej matka pewnie też, bo Kornelia zwykle wychodziła jeszcze wcześniej. Całe szczęście, że załatwił im tę pracę, dzięki temu prawie w ogóle nie musiał ich oglądać. Nie miał jednak serca wyrzucać kobiet na bruk, choć nadal nie rozumiał tego dziwnego współczucia, które targało nim za każdym razem, gdy o nich myślał. Najwyraźniej Ten, który steruje całym światem, odebrał Fiodorowi stanowczość wobec słabej płci i podświadomie nakazywał mu trwać w takim układzie.

Właściwie ich obecność była praktycznie niewyczuwalna, a nieprzyjemne myśli o konieczności obcowania z nimi w jednej przestrzeni pojawiały się u Fiodora tylko w chwilach zawieszenia, kiedy jeszcze nie zajmowały go sprawy służbowe, kiedy nie czuł nad sobą przymusu do działania.

Nocą, gdy wracał upojony mocną wódką i nie zapalał światła, wydawało mu się, że w jego łóżku leży zupełnie inna kobieta. Taka, która go kocha, patrzy na niego z uznaniem i czułością. Uległa, rozkoszna, czuła. Kobieta, dzięki której chciałoby mu się od razu po pracy wracać do domu. Kobieta, która swoim usposobieniem przyniosłaby mu ukojenie.

Przekręcił się na drugi bok i zdał sobie sprawę, że nadal jest w ubraniu. A więc wieczorem znów nie chciało mu się nawet rozebrać.

Przygniotła go świadomość, jak bardzo jego życie odbiegło od wyobrażeń. Pragnął przecież tej dziewczyny. A może pragnął jedynie zabrać ją Jonaszowi? Pamiętał, że chciał ją dla siebie. Chciał mieć z niej użytek. Ale… to tak szybko przestało sprawiać mu przyjemność. Podniósł oczy i spojrzał w sufit, na którym przebijające się przez wzorzystą firankę promienie słońca malowały kwietny miraż. Wyglądały jak cienie prawdziwych kwiatów. Człowiek chciałby uwierzyć, że gdzieś na wyciągnięcie ręki jest eden, upajający zapachem, przynoszący wytchnienie. A jednak były to tylko pozory. Kłamstwo. Takie samo parszywe złudzenie jak to, że jego życie jest dobre.

Zwlókł się z łóżka i poczłapał do łazienki. Nikłe światło żarówki ledwo oświetlało mikroskopijną norę bez okna, w której z trudem zmieściły się umywalka, sedes i mała cynkowana balia, służąca za wannę. W powietrzu unosił się delikatny waniliowy zapach tanich perfum jego żony. Fiodor odkręcił kurek i nabrał wody do uformowanej z dłoni miseczki, po czym plusnął nią sobie w twarz. Zimna kranówka orzeźwiła go nieco. Odetchnął ciężko, czując w ustach gorycz niestrawionego alkoholu, po czym wsparł się o ceramiczny zlew i spojrzał na swoje odbicie w lustrze.

Dotąd czarne jak sadza włosy zaczynały odbarwiać się na skroniach, ukazując dojrzałość. Zbliżał się do czterdziestki, co uwidaczniało się w utracie sprężystości skóry i bruzdach wokół ust.

Bladość jego ciała potęgowała wrażenie śmiertelnego zmęczenia. Tylko oczy, osadzone w ciemnych oczodołach, nadal błyszczały zawziętością.

A może ona była tylko wydmuszką? Rozdmuchaną butą i odwagą, którą usilnie próbował epatować. Stał się cyniczny i bezwzględny, choć nigdy nie chciał taki się stać. Odkąd pamiętał, właśnie jako takiego człowieka postrzegał Jonasza, ponieważ ten wyrzucił jego ciężarną matkę na bruk, a Fiodora skazał na dorastanie w ubóstwie. A teraz sam co robił? Czyż nie stał się gorszym potworem niż ten, któremu przez całe życie ową potworność wyrzucał?

Przez głowę przebiegła mu myśl, że przecież uratował Emilię i Kornelię z Malinicz. Dał im dom, pracę i opiekę. To powinno zapewnić mu rozgrzeszenie. Zagranie godne świętego. W końcu nikt o zdrowych zmysłach nie daje schronienia swoim wrogom.

Głośne walenie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

– Towarzyszu, czekam na dole – usłyszał głos swojego kierowcy.

– Zaraz zejdę – odparł głucho.

Jego głos, nadal zniekształcony wypitym alkoholem, odbił się od ścian.

Fiodor poprawił na sobie zmiętą koszulę i wkasał ją do spodni. Znów w swoim pijaństwie nie zadbał o to, by ją uprać. Przypomniało mu się, że gdzieś powinien mieć jeszcze jedną koszulę na zmianę. Teraz jednak nie miał już czasu błądzić po szafach w poszukiwaniu wykrochmalonych rzeczy. Postanowił więc wytrwać w pełnym umundurowaniu, mając nadzieję, że dzień nie będzie upalny. Wytężył wzrok, by upewnić się, czy na spodniach nie ma żadnych plam. Nie chciałby, żeby do Liuszkowa dotarły jakiekolwiek złe informacje na jego temat, nawet tak błahe jak ta, że Fiodor nie szanuje munduru.

Nie chciał tego zwłaszcza teraz, kiedy Liuszkow z szefa okręgowego wydziału OGPU awansował na komisarza bezpieczeństwa państwowego, a ostatnio zaczął pełnić funkcję naczelnika NKWD Kraju Azowsko-Czarnomorskiego, wchodząc

w skład Krajowej „Trójki” NKWD. W hierarchii administracyjnej UNKWD[11] nad Liuszkowem byli już tylko ludowy komisarz spraw wewnętrznych ZSRS Nikołaj Jeżow i Józef Stalin. Należało więc robić wszystko, by mu nie podpaść, tym bardziej że w międzyczasie zajmował się śledztwem i aresztowaniem kolejnych członków Rosyjskiej Partii Narodowej oraz polityków oskarżonych o szpiegostwo. Liuszkow nie miał też oporów, by skazywać na śmierć swoich ludzi, dlatego Fiodor musiał mieć się na baczności.

Znał dwóch mężczyzn skazanych przez oskarżenia Liuszkowa na śmierć. I sam nigdy nie powiedziałby, że to ludzie niegodni swoich stanowisk. Tymczasem według jego przełożonego byli bez wątpliwości winni zarzucanych im czynów szpiegowskich i działań przeciwko Stalinowi. Wszyscy, z którymi Fiodor o tym rozmawiał, byli zaskoczeni i zgodnie twierdzili, że Gienrich Liuszkow stał się ogarniętym manią prześladowczą podnóżkiem Stalina i że sprzedał mu swoją duszę, a każdego, nawet najwierniejszego psa, potrafił uczynić zdrajcą.

Fiodor z niesmakiem przełknął ślinę, kiedy w jego głowie rozbrzmiały wspomnienia sprzed czterech lat, gdy w prasie po raz pierwszy przeczytał niepokojący artykuł o zabójstwie Siergieja Kirowa, członka Biura Politycznego KC WKP(b). Liuszkow badał wówczas okoliczności śmierci kolegi; jedyne, co wyszło z jego dochodzenia, to stwierdzenie, że Kirow był zdrajcą i przeciwnikiem Stalina. Po nim przyszła pora na następnych polityków. W trzech głośnych procesach moskiewskich kolejni mężczyźni piastujący wysokie stanowiska partyjne lub wojskowe byli skazywani na karę śmierci. Fiodor coraz bardziej obawiał się rozwoju wydarzeń. Sam przecież w ciągu ostatnich lat znacznie awansował, przez co stał się widoczny w partyjnej hierarchii.

Pełnił teraz funkcję przewodniczącego płoskirowskiej trójki zaufanych i głównie od niego zależało powodzenie rozkazów Liuszkowa. Musiał dbać nie tylko o odpowiednio sztywny, surowy

wygląd, ale także o dyktatorskie oblicze, na wzór swojego przywódcy. Czy tego chciał, czy nie, musiał więc wzbudzać respekt i strach, dzięki którym łatwiej było mu egzekwować wykonanie rozkazu. Zbyt długą drogę przemierzył, zbyt wiele szczebli na drabinie partyjnej kariery pokonał, by teraz pozwolić sobie na pomyłkę. Widział, co działo się z tymi, którzy przestawali podobać się władzy. On nie chciał skończyć jako zdrajca.

Wyuczonymi, szybkimi ruchami doprowadził się do porządku i ostatni raz przed wyjściem spojrzał w odbicie w lustrze.

Powinien czuć dumę. W końcu był na szczycie. Siedział na stołku przeznaczonym dla najbardziej wpływowej osoby w sielsowiecie, a jednak zdawało mu się, że jest tylko marnym robakiem. Trybikiem w wielkiej operacyjnej machinie zaprojektowanej przez politbiuro i szefa NKWD przeciwko polskim grupom dywersyjno-szpiegowskim oraz organizacji POW.

Na zegarze wybiła godzina ósma. Fiodor otrząsnął się, by pozbyć się z ciała rozedrgania i natrętnych myśli. Nie miał już na nie czasu. Zgasił światło w łazience, energicznie narzucił na siebie płaszcz, założył buty i wyszedł, trzaskając drzwiami. Nadszedł kolejny dzień dokonywania rozrachunków. Kolejne godziny zemsty na Polakach.

* * *

W płoskirowskiej cukrowni wrzało jak w ulu. Setki ludzi uwijały się przy pracy, całą energię wkładając w produkowanie najważniejszego miejskiego surowca. Napięcie unoszące się w pomieszczeniach niczym drażniące nozdrza chemiczne opary nie było jednak powiązane z trudem umęczonych ciał, ale tym, że wszyscy zamiast powietrzem oddychali strachem.

Nocna obława funkcjonariuszy NKWD na miasto zdziesiątkowała polską ludność. Więzienie pękało w szwach, a w celach siedzieli sami wrogowie narodu i bandyci, którzy rzekomo mieli w fabryce

spiskować przeciwko władzy. Wszystkich bardzo to przytłoczyło i pogrążyło w wielkim smutku i bojaźni. Nikt nie wiedział, czy sam nie jest na celowniku komsomolców[12], którzy donosy na Polaków zaczęli traktować jak stałe źródło dochodu. Albo czy nie podpadli kiedyś tym, którzy w imię wolności własnej i nadziei na wyrwanie się z aresztu, sypali losowymi nazwiskami, skazując na aresztowanie następne Bogu ducha winne osoby.

Emilia przechadzała się między ostatnimi stanowiskami na produkcji, zapisując liczby wyrobionych kostek cukru, kiedy usłyszała charakterystyczne stukanie obcasów. Głuchy dźwięk zdradzał, że to musiała być jedna z pracownic sekretariatu. Emilia wiedziała jednak, że o tej porze ten dźwięk nie może oznaczać dobrych wieści. Wszyscy bowiem od dawna byli już na swoich stanowiskach pracy, a według dyrekcji prócz śmierci nie istniało na tym świecie nic, co usprawiedliwiałoby nieobecność, a spóźnienia były surowo karane. Emilia, nie zdradzając się nawet spojrzeniem, szybko dokończyła zapiski, a następnie ruszyła do swojego gabinetu możliwie jak najnaturalniejszym krokiem, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń.

W sekretariacie siedziały trzy dziewczyny, blade tak bardzo, jakby przed momentem zeszły z pracy w młynie. Duże, zaczerwienione oczy jednej z nich szkliły się od łez. Mrugała szybko, wyraźnie usiłując powstrzymać dalszy płacz.

– Kto tym razem? – zapytała Emilia cicho, upewniwszy się, że za zamkniętymi drzwiami nie ma już nikogo.

– Mój brat, Edek – odezwała się Nadia, ta, która płakała. Zapewne to ona przyszła do pracy spóźniona. – Tato i… mama!

– Jak to? – Emilia uniosła brwi. – Przecież twoja mama pracuje w kołchozie. Jako jedna z pierwszych zgodziła się tam wstąpić i zawsze była taka usłużna woli Stalina. Czym sobie zasłużyła na areszt? Czym wszyscy troje sobie zasłużyli?

Dziewczyny milczały. Emilia patrzyła, jak Nadia kuli się pod naporem ich spojrzeń, nerwowo miętoląc w palcach rąbek spódnicy

i na zmianę wygładzając mikroskopijne zagniecenia. Po krótkiej chwili, kiedy jej oddech stał się rytmiczny, znów zabrała głos.

– To nie miało znaczenia. Przyszli po ojca, ale brat go bronił. Widząc zagrożenie, wyjął z szafy jakiś pistolet i… wycelował w funkcjonariuszy. – Dziewczyny, słysząc to, zakryły usta dłońmi w niemym przerażeniu. – Ale rękę miał niepewną, a i odwagi brakło, to wytrącili mu ten pistolet i władowali Marka do *czornego worona*[13]. Potem wyprowadzili z domu tatę, a mamie powiedzieli, że teraz mają już pewność co do winy, i zapewnili, że może już czuć się wdową.

– Jakiej winy? – zapytała Basia.

– Boże, nie wiem. Tata przecież nic złego nie zrobił. A może po prostu ja nic nie wiedziałam? Albo wszystko przez ten pistolet? Boże, skąd Edek miałby broń?

– Broń w tych czasach to niegłupi pomysł. Sama chciałabym mieć czym się zabezpieczyć – skwitowała Mirosława.

Emilia spojrzała na nią z przyganą. Mirka jako najstarsza z nich na wszystko patrzyła z rezerwą i chłodem, a dziewczyny zawsze liczyły się z jej zdaniem, jednak posiadanie pistoletu na własny użytek było jednoznaczne z dowodem w sprawie szpiegostwa.

– A twoja mama? – zwróciła się do Nadii. – Dlaczego ją aresztowali?

– Na początku zabrali tylko Edka i tatę. Dopiero później wrócili się po mamę. Tak powiedziały mi siostry.

– Co? Dlaczego? – zawołały chórem Emilia, Mirosława i Basia.

Takie zachowanie enkawudzistów nie było normalne.

– Widocznie za mało im było tragedii. A może uznali, że mama, tak jak Edek, też trzyma w szafie broń? Nie wiem… Przez trzy godziny wybebeszali wszystko, aż się upewnili, że przeszukali każdy skrawek. Ukradli, co im się podobało, bezbożnicy. Mama nie miała odwagi im się sprzeciwić, zasłaniała tylko moje siostry. Zresztą cóż ona biedna miała poradzić przeciw czterem rosłym chłopom?

Nadia skuliła się w sobie.

– I co? Znaleźli coś na twoją mamę? – zapytała cicho Basia.

Dziewczyna spojrzała na nią rozkojarzonym wzrokiem.

– Polskie książki.

– Książki? Przecież za książki szło się do więzienia w czasach caratu, a nie teraz, kiedy mamy tu polskie szkoły.

– Najwidoczniej znów wróciło dawne prawo. – Nadia westchnęła z bólem. – Rankiem, gdy wychodziłam do pracy, przybiegły do mnie siostry, ich nie zabrali, bo są za małe, żeby je oskarżać. Ale zastrzegli, że wrócą po nie i zabiorą do dietdomów[14], że tam się nimi zaopiekują lepiej niż w tej bandyckiej polskiej rodzinie. I one biedne, takie wystraszone, biegły skoro świt osiem kilometrów, żeby ukryć się u mnie i Włodka – chlipała. – Już sobie wyobrażam, jak ta opieka mogłaby wyglądać! Nigdy nie pozwolę, żeby je zabrali. Nigdy!

– Niepotrzebnie przychodziłaś do pracy. – Mirka wstała i wyjrzała przez okno na ulicę. – Dobrze wiesz, jak się sprawy mają. Nie zostawiaj dzieci na pastwę losu. Bo oni będą węszyć i szukać. Poza tym pewnie i tak już wiedzą, że istniejesz. Słyszałam, że te przesłuchania w więzieniu są straszne. Ci bandyci wszystko z człowieka wyciągną, a w usta takie kłamstwa wsadzą, że sam diabeł lepszych by nie umyślił. Byleby tylko człowieka do domu nie puścić.

Emilia poczuła się nieswojo. Dziewczyny wiedziały, że jej mąż pracuje w NKWD, ale tylko ona zdawała sobie sprawę, w jakiej roli Fiodor występuje w tej nowej, dyktatorskiej i bezwzględnej organizacji. Nie chciała, żeby koleżanki z pracy straciły do niej zaufanie z powodu osoby, z którą dzieliła łoże. Przez ostatnie lata w Płoskirowie okazały jej tyle serca i dobroci, że chciała im się odwdzięczyć. Za wszelką cenę.

– Upozorujemy waszą śmierć – wypaliła.

– Jak? – Mirosława nie wyglądała na zaskoczoną, zupełnie jak gdyby po głowie chodził jej ten sam pomysł.

Emilia przez moment wpatrywała się w Nadię, w jej bladą, wystraszoną twarz i zmącone troską oczy.

– Zrobimy to tak jak do tej pory, tylko z większą pompą. – Przeniosła wzrok na koleżanki, czując ekscytację. – Wystawimy wam nowe dokumenty. Twoje siostry i tak ich nie potrzebują, a książeczki dowodowe *in blanco* mamy jeszcze w szafie. Uciekniecie dziś w nocy, ale wcześnie podłożycie ogień pod dom.

– W zgliszczach nikt nie będzie was szukał. – Mirosława podchwyciła myśl. – Zostawisz najwyżej obrączkę, kolczyki albo buty z metalową sprzączką. Bez różnicy. Niech to tylko będzie coś, co należy do ciebie i wszyscy o tym wiedzą. A my… My będziemy cię opłakiwać.

Nadia przez chwilę siedziała zaskoczona, a później wstała gwałtownie z krzesła.

– Nie chcę uciekać. – Jej głos drżał, bo znów znalazła się na skraju płaczu. – Nie mogę. Nie potrafię. Boję się podróżować nocą, a tutaj jeszcze dziewczynki… To się nie uda. Ja nie dam rady.

Emilia podeszła do koleżanki i wzięła ją za ręce. Zatrzymała wzrok na ich splecionych palcach i przyjrzała się im uważnie, jakby to był ostatni raz, kiedy dotyka Nadii, z którą od pierwszych chwil w nowej pracy znalazła nić porozumienia. Jej oczy momentalnie wypełniły się łzami. Nie chciała się żegnać, lecz ten krok wydawał się nieunikniony. Tak musiały postąpić. Tylko drastyczne rozwiązanie mogło uratować Nadię i jej rodzinę.

– To jedyna droga, żebyś ocaliła siebie i swoją rodzinę. Wiem, że sobie poradzisz. A ja… – odparła, czując, jak na ramionach osiada jej cały ciężar świata. – Ja postaram się uchronić twoich bliskich od śmierci.

* * *

Fiodor wolnym, zmęczonym krokiem przemierzał korytarz płoskirowskiego więzienia, próbując wyłączyć słuch i chociaż przez jedną chwilę nie słyszeć nakładających się na siebie głosów. Plątanina polskiego, rosyjskiego, ukraińskiego i jidysz przyprawiała go o mdłości. Jego umysł musiał przejść w stan awaryjny, bo naprzemiennie powracały doń migreny i zawroty głowy. Nie miał tylko pewności co do źródła tych boleści, czy chodziło o więzienny harmider, czy może o poczucie przegranej, z którym nie potrafił walczyć.

Był dopiero ranek, a on czuł się już tak zmęczony, jakby nie przespał ostatnich kilku godzin, ale nieprzerwanie ciężko pracował. Zastanawiał się nad tym fenomenem, próbując zebrać myśli. Może powinien pójść do doktora? W końcu jego praca od kilku miesięcy polegała głównie na siedzeniu. Nie powinien odczuwać aż takiego zmęczenia. A może zwyczajnie jego ciało buntowało się nie z powodu wielogodzinnej pracy, ale wobec idei, która coraz dalej zaczynała odbiegać od początkowego zamysłu?

Cokolwiek by to było, kolejny raz musiał zwalczyć wewnętrzne obiekcje i skupić się na wykonaniu zadania. Wiedział, że nie ma innego wyboru. Jego sprzeciw mógłby zostać uznany za zdradę stanu i skazano by go zapewne na ten sam los, który on sam gotował tym nieszczęśnikom.

Otworzył drzwi i skrzywił się, gdy zawiasy skrzypnęły. Mógłby przysiąc, że ostatnio zlecił ich naoliwienie. A może tak mu się tylko wydawało? Może ta niecierpiąca zwłoki myśl za każdym razem, gdy przechodził przez próg tego przeklętego pokoju, ulatywała, robiąc miejsce sekwencji pytań, które wywoływały w nim jedynie odruch wymiotny? A może zaczynał wariować od tych sprzecznych sygnałów i co rusz zmieniających się postanowień politbiura i szefa UNKWD?

– Co tak późno, towarzyszu Bucwald?! – warknął Nikita Kowalenko.

Fiodor spojrzał na chłopaka, który ostatnimi czasy chciał się wykazać jako funkcjonariusz śledczy w Płoskirowie. Miał orli nos,

wąskie jak kurzy dziób usta i wyłupiaste spojrzenie, rzucane Fiodorowi zawsze spode łba.

– A co ci do tego?

„Gnoju” – dodał w myślach, mrużąc oczy.

– Nie możemy pracować.

– I co w związku z tym, hę? Doniesiesz na mnie? Zapominasz chyba, że w każdej chwili to ja mogę cię zwolnić z pełnienia funkcji i wybrać do pomocy kogoś innego. Dlatego siadaj za stołem i zamknij ryj, zanim któryś z chłopaków na moje skinienie nie zrobi ci z niego wycieraczki.

Kowalenko przez chwilę jeszcze patrzył na Fiodora zaczepnie, w końcu jednak siadł przy stole, na jednym z trzech krzeseł naszykowanych dla trójki zaufanych.

– Dam znać, żeby zaczynać – odezwał się szeregowy enkawudzista, kładąc na stole stos kartek z gotowymi zeznaniami, a następnie przeszedł przez szary pokój z jednym marnym oknem, z którego usunięto klamkę, by żadnemu aresztantowi nie wpadła do głowy myśl o ucieczce, i uchylił drzwi.

Zgrzyt zawiasów zabrzmiał niczym niedostrojona trąbka i Fiodor zacisnął mocno szczęki, próbując zapanować nad rozlewającym się po głowie bólem.

– Naoliwcie te drzwi, do kurwy nędzy – powiedział groźnie, zajmując miejsce za stołem, a szeregowy skinął głową, po czym otworzył drzwi szerzej, by inny funkcjonariusz wprowadził więźnia.

Naprzeciw Fiodora usiadł mężczyzna w wieku, który wskazywał na to, że bliżej mu raczej do pogodzenia się z rychłym odejściem z tego świata niżli aktywnego spiskowania przeciwko władzy. Nie był też ubrany jak ktoś, kto pociąga sznurki w jakiejkolwiek zbrodniczej organizacji. Wszystko w tym człowieku przemawiało za tym, że znalazł się tu albo z powodu donosu któregoś z sąsiadów czy nieżyczliwego współpracownika, albo polskiej narodowości.

– *Familija?*[15] – zapytał Fiodor.

Zawsze zaczynał w ten sposób, dzięki czemu niemal od razu wychwytywał fałszywe nuty w języku i mógł odpowiednio skategoryzować więźnia.

– Szymanowski.

– *Imja?*[16]

– Franciszek.

– *Otcziestwo?*[17]

– Józef.

– *U tebya jest' zhena?*[18]

– W niebie.

– *U was jest' deti?*[19]

– Pomarły krótko po urodzeniu.

Mężczyzna mówił znudzonym, zrezygnowanym tonem starca, któremu jest wszystko jedno, co się z nim stanie, bo śmierć postrzega nie jako koniec, a wyzwolenie. Nie silił się nawet, by odpowiadać po rosyjsku lub ukraińsku, Fiodor zaniechał więc kolejnych pytań o obywatelstwo i narodowość. Były przecież jasne. Przez moment zastanawiał się tylko, czy zachowanie oskarżonego wynika z jego nieznajomości rosyjskiego, czy hardej postawy i charakteru. Kolejne pytania były bardziej rozbudowane, jeśli więc Szymanowski nie zna rosyjskiego, nic im nie powie. I tym samym trafi na listę wrogów narodu.

Fiodor mógłby przejść na polski. Znał ten język nie mniej niż ojczysty, jednak w obecności Kowalenki wolał zachować pozory. Ten pies został tu skierowany chyba tylko po to, by patrzeć Fiodorowi na ręce.

– *S tekh por kak vy stali chlenom Pol'skoj Wojennoj Organizacji?*[20]

– Nie należę do POW.

– *S kakikh eto por ya sprashivayu, yavlyayetes' li vy chlenom etoy organizatsii? My uzhe dokumental'no podtverdili, chto vy prinadlezhite k POW*[21].

– Nie jestem członkiem POW – odparł Szymanowski spokojnie, zupełnie jak gdyby był świadomy swojego położenia i nie zamierzał walczyć z systemem, a jedynie wykazać się honorem.

Fiodor znał takich. Wiedział, że będzie powtarzać tę śpiewkę o braku przynależności do organizacji niczym zacięta gramofonowa płyta.

– *Kto vas zaverbowal?*

– Nikt mnie do niczego nie zwerbował.

Kowalenko walnął pięścią w stół.

– *Ty lzhesh' kak sobaka!*[22]

– Nie należę do POW.

– *Vy prinadlezhite!*[23]

Fiodor kątem oka zaobserwował, że targany złością Kowalenko niesamowicie wytrzeszcza ślepia. Jak to możliwe, że jeszcze trzymają się na swoich miejscach?

– Nie należę do POW.

Słysząc kolejny raz tę samą frazę, Kowalenko wyskoczył zza stołu i kopnął starca w twarz. Krew trysnęła daleko na ścianę, zostawiając na szarej, brudnej i nierównej tafli finezyjny ślad, który powoli zaczął spływać na podłogę.

– *Nu govori, sobaka, s kem ty rabotayesh'*[24] – wycharczał żołdak, po czym złapał mężczyznę za przydługie ciemnoszare włosy i zadarł mu głowę.

– *Govori!*

– Z nikim nie pracuję, bo nie należę do POW – odparł stanowczo oskarżony, na co Kowalenko gwałtownie uniósł nogę i kopnął go w tors.

Szymanowski upadł do tyłu z głośnym trzaskiem. Jednak nawet w takiej chwili jego twarz była spokojna i opanowana.

Funkcjonariusz, który przyprowadził mężczyznę, zreflektował się i podniósł go, po czym usadowił na krześle.

Fiodor wziął kartkę ze stosu i podetknął ją Polakowi pod nos.

– *Ne slishkom li ty star, chtoby terpet' poboi ot takogo molodogo cheloveka?*[25] – powiedział spokojnie, na co Kowalenko obrzucił go złym spojrzeniem. – *Podpishite nam deklaratsiyu o tom, chto ty prinadlezhish' k POW i ty vernesh'sya domoy*[26].

– Nie należę do POW – odparł równie spokojnie starzec, lecz nie zdążył nawet spojrzeć Fiodorowi w oczy, ponieważ w tej samej chwili Kowalenko zamachnął się i kopnął go w twarz, pozbawiając przytomności.

Funkcjonariusz ruszył ku Szymanowskiemu, lecz bezwładnego ciała nie dał rady podnieść. Spojrzał na Bucwalda, a ten skinieniem głowy dał mu znać, żeby zawołał posiłki z korytarza. Po chwili w gabinecie przesłuchań płoskirowskiego więzienia stawiło się dwóch rosłych enkawudzistów, którzy w mig wynieśli przesłuchiwanego na zewnątrz.

– Co z nim, towarzyszu Bucwald? – zapytał jeden na odchodne.

– Zabierzcie go do celi. I dawajcie tu następnego.

Czekając na aresztanta, Fiodor sięgnął po kolejny papier z zeznaniami, na których widniała adnotacja: skazany na pięć lat kolonii o zaostrzonym rygorze.

Kowalenko rzucił okiem na dopisek.

– Czemu nie na rozstrzelanie?

– Za co?

– Za przynależność do POW. Obaj wiemy, że to zdrajca i musi umrzeć.

– Szkoda marnować kulę na kogoś, kto nie wytrzyma kilku miesięcy w łagrze – skwitował Fiodor, licząc, że tym stwierdzeniem zamknie usta Kowalence.

W gabinecie pojawił się młody enkawudzista o pociągłej twarzy i głębokiej sznycie na policzku, która rzekomo była pamiątką po Wielkiej Wojnie, choć Fiodor nie wierzył, że chłopiec, który miał wtedy kilka lat, mógłby zostać tak okaleczony.

– Towarzyszu, jak prosiliście wczoraj, skompletowałem kwestionariusze pojmanych dzisiejszej nocy i listę donosów.

Fiodor otworzył podaną mu teczkę i zobaczył gruby plik kartek, na których miejscowi wytypowali polskich kontrrewolucjonistów, polskich kułaków, polskich działaczy katolickich, piłsudczyków, polskich szpiegów, polskich działaczy organizacji wojskowej, polskich szkodników, wrogów Związku Sowieckiego, polskich szpiegów… Mógłby te wszystkie zarzuty usunąć. Przecież żeby zasłużyć na rozstrzelanie lub osadzenie w więzieniu czy łagrze na wiele lat, wystarczyło jedno. Być Polakiem.

– Zacznijcie przyprowadzać według listy. Porównamy zeznania z oskarżeniami.

Enkawudzista ze szramą na policzku skinął głową, lecz nadal stał bez ruchu.

– Coś jeszcze?

– Właściwie to nic pilnego, towarzyszu, ale… powinniście spojrzeć na dzisiejszą prasę.

– Nie miałem na to czasu. Zrobię to później.

– Myślę, że lepiej byłoby teraz.

Chłopak wyjął zza pleców zmięty rulon gazety codziennej i położył na blacie. Zmieszany Fiodor poczuł, jak w jego żyłach zaczyna krążyć stres. Nie wiedział, czego się spodziewać, lecz to niecodzienne zachowanie młokosa nie mogło brać się znikąd. Nikt nie śmiał wskazywać Fiodorowi, co powinien zrobić.

Rozłożył gazetę i przebiegł wzrokiem po wielkim nagłówku na pierwszej stronie.

„Gienrich Liuszkow zaginął”.

Kołnierz przy koszuli Fiodora nagle stał się nieznośnie ciasny.

A więc rozpoczęła się czystka w ich pionie.

– E tam, pewno zapił i leży gdzieś pod drzewem – skwitował Kowalenko.

„Albo w masowym grobie” – dodał w duchu Fiodor.

Wiedział, jak wiele z jego rozkazu wykopano ich w okolicy dla ludzi, którzy z obawy przed śmiercią podpisywali oświadczenie o przynależności do Polskiej Organizacji Wojskowej.

* * *

Pierwszy raz od lat pomyślała o nim w nocy, kiedy stała za firanką w oknie sypialni i patrzyła, jak nad Płoskirowem wraz z szarością świtu unosi się atmosfera strachu.

Wokół panowała cisza, choć ludzie już dawno zbudzili się ze snu. Leżeli w swoich łóżkach w drętwym otępieniu, wtuleni w ukochane ramiona. Połykali łzy, zapach włosów, skóry oraz oddechów, których później w chwili umęczenia będą szukali w pamięci. Niektórzy kochali się na zapas, czując, że to ostatni raz, który na zawsze zapisze się w ich sercach. Dzieliły ich status społeczny, wiek, doświadczenia, liczba dzieci, łączyło zaś jedno – wszyscy mieli nadzieję, że zostanie im darowany jeszcze jeden dzień. Jeszcze jedna noc.

Jutrzenka odbarwiała na niebie ultramarynę, a *czornyj woron* wyjechał na ulice, oświetlając światłami reflektorów drzwi domów, za którymi ściśnięci grozą ludzie oczekiwali swojego końca; jak chorzy, którzy wiedząc, że nie ma już dla nich ratunku, wyglądają tylko śmierci.

Woron zatrzymał się u szczytu uliczki. Zrobił to po cichu. Niemal niezauważalnie. A jednak dźwięk gaszonego silnika przyspieszył krew w jej żyłach. Był jak cisza następująca po grzmocie, który latem tnie skłębione burzowe chmury. Wiadomo już, że armagedon się rozpoczął. Burza spiętrza się nad miastem. Wiatr targa liśćmi drzew; ich szelest zdaje się dobiegać zewsząd, niczym sygnał, że nie ma już ucieczki. Łopoczą płaszcze enkawudzistów. Szerokie spodnie ich nogawek ocierają się o siebie, gdy odgłos kroku stawianego na trzeszczących drewnianych schodach niesie się po klatce kamienicy.

Następuje oczekiwanie na kolejny huk. Na błysk przystawionej do skroni lufy pistoletu. Na grzmot.

Nagłe walenie w drzwi. Chwila konsternacji, bo jednak w tym stresie nie ma pewności, czy to do ich drzwi, czy do drzwi sąsiada. Uścisk leżącej obok żony i spojrzenie, które nakazuje zaczekać, by się nie narażać. Bo nie ma co prosić się o nieszczęście, kiedy ono…

Kilka kroków obok, za ścianą, daje się słyszeć dźwięk ostrożnie przekręcanego klucza. Rygle w drzwiach puszczają.

„A więc to nie po mnie" – dudni w głowie mężczyzny i z głośnym łomotem spada mu kamień z serca. Całuje dłoń żony, wdzięczny za kolejny darowany dzień.

– *Vy arestovany, grazhdanin*[27] – rzecze szorstki głos za ścianą.

– Dlaczego? Nic nie zrobiłem.

– *Eto yeshche predstoit vyyasnit'*[28].

– To jakieś nieporozumienie – padają słowa wypowiedziane tak łzawie, że sąsiadów ściska coś w sercu, bo przecież Konstantynowicz chłop jak dąb.

Nikt jednak nie ma odwagi wyjść na korytarz i wstawić się za sąsiadem. Nawet gdy poczucie obowiązku oraz narodowej solidarności jest silne, wszyscy siedzą cicho. Takie występki były karane śmiercią – bez uprzedzenia, bez sądu, bez odnotowania w statystykach.

– *Tak chto davayte proyasnim eto nedorazumeniye, grazhdanin*[29].

Odgłosy szarpaniny. Rumor.

Szybkie, nerwowe pożegnanie Konstantynowiczów. Donośny płacz ich dziecka niczym alarm. Na pewno zbudził nawet tych, którzy jakimś cudem jeszcze spali.

Znów kroki.

Dużo kroków.

Jedne rozbrzmiewają na schodach, inne w mieszkaniu, kolejne – na korytarzu.

I znów pukanie do drzwi, choć u poprzednich jeszcze nie skończyli. Tam trwa huragan. Fruwają książki i bibeloty.

Tym razem nie ma wątpliwości, że pukają do nich. Splecione palce małżonków zaciskają się niewyobrażalnie mocno. Jeszcze jeden pocałunek, szybki, treściwy, wyrażający pragnienie tak wielkie, jak nigdy wcześniej.

Pukanie do drzwi przechodzi w walenie.

Mężczyzna wstaje. Ma na sobie tylko bieliznę. Kątem oka patrzy na naszykowane na krześle ubrania. Zostawił je tam kilka dni temu, na ewentualność… Wszyscy się bowiem tego spodziewali. Wszyscy czekali. A jednak świadomość, że to właśnie nastąpiło, przytłacza. Paraliżuje zmysły. Ogarnia ciało niewyobrażalnym dygotem.

Ciężka dłoń mężczyzny z trudem przekręca zamek w drzwiach. Nie zdąży jednak złapać za klamkę, ponieważ otwierają się z impetem i uderzają w ścianę. Funkcjonariusz wścieka się, że mężczyzna tak długo otwierał. Słyszał przecież, że biorą sąsiada. Powinien był czekać w gotowości.

Mocne szarpnięcie wyciąga go na korytarz i ciągnie w stronę wyjścia, nie dając czasu na ubranie, na pożegnanie, na jeszcze jedno ostatnie zbliżenie warg, splecenie palców…

Osiadająca na dachach budynków mgła tłumiła krzyki rozpaczy, płacz dzieci, stukot szybkich kroków, nerwowe tłumaczenia, że jest się niewinnym i za nic w świecie… W końcu metaliczny dźwięk zatrzaskujących się drzwi furgonetki, zaraz po tym, jak wrzucili do niej kolejną osobę.

Emilia nie chciała na to patrzeć, a jednocześnie nie mogła odwrócić wzroku. I właśnie teraz, w tej chwili po raz pierwszy od dawna, myśli zagnały ją do chłopaka, którego imienia nie poznała, a któremu wraz z matką pomogła przed laty uciec. A przynajmniej tak jej się zdawało i taką żywiła nadzieję.

Przypomniała sobie, jak wysadziły ich na skraju lasu, za którym szumiały wody rzeki Zbrucz, wyznaczające granicę pomiędzy

Rzeczypospolitą a Ukraińską SRR.

Jej matka pożegnała się z nimi, obejmując ich tak, jakby byli jej rodzonymi dziećmi, i podziękowała za udzieloną jej mężowi pomoc. Emilia, widząc to, również zeskoczyła z wozu. W ciemności jednak nie dostrzegła nierówności na poboczu i zachwiała się, tracąc równowagę. Chłopak o roziskrzonym spojrzeniu podtrzymał ją wówczas, chroniąc przed upadkiem. Dotyk jego pewnych i silnych rąk wzbudził w niej elektryzujący dreszcz i niczym piorun poraził jej ciało. Nawet teraz, wiele lat po tamtym wydarzeniu, na samo wspomnienie owej chwili zdawało jej się, że czuje na karku delikatne mrowienie.

– Dziękuję – wymamrotała wtedy.

– Po tym, co dla nas zrobiłyście, to ja powinienem dziękować, dozgonnie po stopach całować i katować się myślą o tym, jak wynagrodzić panience ten trud.

– Uratowałeś mojego ojca. To wystarczająca rekompensata – odrzekła, patrząc mu w oczy, które w mroku letniej nocy błyszczały równie mocno, co zawieszone nad nimi gwiazdy.

– To nie to samo, maleńka. Ja tylko wykazałem siłę swoich mięśni. Ty siłę charakteru. Ja zaryzykowałem kontuzję. Ty ryzykowałaś życie.

Trwali w objęciach raptem kilka chwil, nim jego kolega nie przywołał ich do porządku, nakazując pośpiech.

– Bezpiecznej przeprawy – powiedziała jeszcze, czując, że płoną jej policzki.

– Spokojnego życia na Podolu – odparł z uśmiechem i puścił do niej oczko, po czym uszedł kilka kroków, obrócił się na pięcie i doskoczywszy do niej, szepnął: – Cokolwiek się wydarzy podczas tej przeprawy, nie wrócę tu już… Ale może kiedyś, w innym życiu, łaskawy los mi zezwoli odwdzięczyć się panience. Może z jakiej opresji nawet uratuję.

– Jeśli będziesz tyle zwlekał, to nie tylko panienka znajdzie się w opresji – zgromił ich drugi chłopak.

– On ma rację. Powinniście już iść. – Kornelia siedziała już na koźle i czekała na córkę.

– Wierzę, że jeszcze się spotkamy. – Chłopak uśmiechnął się do Emilii zawadiacko. – Wtedy odwdzięczę się po stokroć.

Kolega pociągnął go za rękaw koszuli, a Emilia chichotała cicho.

– Tylko wytrwaj do tego czasu.

– Wytrwam – odparła na odchodne, nie wiedząc, jak wiele trudu przyniesie jej wypełnienie tej obietnicy.

Huk niosący się ponad dachami kamienic rozwiał wspomnienia. Emilia powiodła wzrokiem za źródłem dźwięku i ujrzała słup strzelających w górę, nierównych płomieni.

W mieszkaniu Nadii wzniecono pożar. Żywy ogień rozświetlał okolicę bardziej niż wschodzące słońce. Nadia, jej mąż Włodek i dziewczynki, zaopatrzeni przez Emilię w fałszywe dokumenty, uciekali właśnie pod osłoną nocy, tak jak niegdyś dwóch chłopaków uciekało do Polski i jak uciekały dziesiątki ludzi, którzy zgłaszali się do Emilii oraz jej koleżanek po spreparowane dowody osobiste, upozorowawszy własną śmierć przed poplecznikami Stalina siejącymi terror na dawnym Podolu.

* * *

Wyrzuty sumienia pozbawiały Fiodora snu. Czuł się jak kat, który w białych rękawiczkach zabija niewinnych ludzi. Polskie okrzyki sprzeciwu niosły się po korytarzu, gdy funkcjonariusze zabierali kolejnych osadzonych po przesłuchaniu do celi, zaraz po tym, jak Bucwald wydał na nich wyrok, i cichły wraz z zamknięciem się ciężkich drzwi. Ale nie w jego głowie – tu dudniły nieprzerwanie od wielu miesięcy, jak echo nieodwracalnego zła.

Domyślał się, w czym tkwi problem z jego pokurczoną psychiką. Nigdy nie miał dość obszernej dokumentacji ani zbyt wielu dowodów obciążających aresztanta, a co za tym idzie, nie miał też pewności co

do słuszności swoich decyzji. Mimo to przedpola Płoskirowa użyźniały ciała zabitych od strzału w tył głowy, ludzi, którzy po otrzymaniu śmiertelnego ciosu osuwali się do naprędce wykopanego dołu. Zasypywano go równie szybko, tak by nikt nie zdołał odkryć śladów zbrodni. Kolejnej nocy krwawy rytuał się powtarzał, aż zaczynało brakować odosobnionych miejsc, gdzie można by tworzyć kolejne zbiorowe mogiły. Machina operacji antypolskiej przez wiele miesięcy działała wedle stałego rytmu, zmierzając ku niehumanitarnej zagładzie narodu polskiego, pozbawiając życia ojców, skazując na wygnanie matki, grabiąc z dzieciństwa dzieci oraz pozostawiając na ohydną śmierć z żalu i tęsknoty ich dziadków.

Dlatego po którymś, niezliczonym już razie, kiedy w jego głowie zabrakło miejsca na kolejne krzyki, obiecał sobie, że już nigdy nie wyda nikogo na rozstrzelanie. W ciągu ostatnich tygodni częściej skazywał ludzi na przymusową wieloletnią pracę w koloniach karnych niźli na stracenie, choć w jego mniemaniu większość z nich i tak nie zasługiwała nawet na tę srogą karę. Musiał jednak wykonywać rozkazy. Liczył się z tym, że za niesubordynację względem przełożonego, który żądał coraz wyższych statystyk zgonów, może spotkać go kara. I domyślał się już, jaką przybierze formę.

Bacznie obserwował sytuację w kraju, która od kilku miesięcy gwałtownie się zmieniała. Jego koledzy rozpływali się w powietrzu. Plotki o tym, że zostali straceni za szpiegostwo na rzecz Polski, niosły się w eter. Gazety co jakiś czas drukowały ostrzegawczą wzmiankę o którymś z nich, jako przetrzymywanym w szczelnym uścisku enkawudzistów lub osadzonym w jednym z więzień, do których sam wcześniej kierował innych.

Fiodor przekalkulował swoją sytuację i ostatnie poczynania. Wiedział, że przełożeni nie są zadowoleni z jego wyników. Na jego twarzy coraz częściej objawiał się blady strach; wyzierał z oczu i przebiegał dreszczem po jego plecach. Fiodor rozważał nawet ucieczkę, lecz codzienna kilkunastogodzinna praca pochłaniała jego

umysł i czas, jaki powinien poświęcić na przygotowania. A ten zdawał się go gonić i popychać w kierunku niechcianego przeznaczenia.

Po zniknięciu Gienricha Liuszkowa nastąpiła kulminacja w realizacji rozkazu 000485, wydanego rok wcześniej przez Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych, Nikołaja Jeżowa. Aresztowaniu nie podlegali już tylko wykryci podczas śledztwa działacze POW, żołnierze Wojska Polskiego, zbiegowie, emigranci, byli członkowie PPS-u, Japończycy, Niemcy, Francuzi, a wreszcie wszyscy Polacy, na których złożono donos. Teraz ten rozkaz zdawał się dotyczyć również Ukraińców i Rosjan zasiadających na wysokich partyjnych stołkach.

Działania czystkowe zarządzone przez Ławrientija Berię, następcę Nikity Jeżowa, wobec wysoko postawionych wykonawców operacji antypolskiej zataczały coraz większe kręgi. Były jak wąż, który zaczyna pożerać własny ogon. Jednak zamiast się nim dławić, miał coraz większy apetyt.

Rozkaz o odwołaniu Fiodora Bucwalda ze stanowiska przyszedł do więzienia w Płoskirowie niemal jednocześnie z wezwaniem do stawienia się w Moskwie pod pozorem spraw służbowych. Fiodor patrzył na dokumenty, nie dowierzając, że w tych kilku linijkach napisanych na maszynie zawarto jego całe życie i… wyrok niechybnej śmierci.

„A więc to już koniec” – stwierdził w duchu. Domyślał się, jaka droga go czeka po przybyciu do Moskwy.

Najpewniej enkawudziści będą już tam się na niego zasadzać. Skują go, doprowadzą do więzienia Lefortowskiego, gdzie po godzinach nieludzkich tortur postawią zarzut działania wbrew rozkazom operacji masowych, może nawet szpiegostwa na rzecz Polski. W końcu co innego, jeżeli nie zbytnia łaskawość wyroków wydawanych przez Fiodora na Polaków, miałoby świadczyć o jego winie? Później, kiedy już jego ciało będzie tak skatowane, że Fiodor potwierdzi wszystko, byleby tylko przestano go bić, stanie przed

Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRS. Tam usłyszy wyrok śmierci, który wykona sam Wasilij Błochin, główny kat Stalina, w przeznaczonym do tego obiekcie NKWD przy ulicy Warsofiewskiej, niedaleko Łubianki, by nikt nie miał wątpliwości, że wroga władzy rzeczywiście zlikwidowano.

Świadomość, że jego największy życiowy koszmar właśnie się zaczyna, sprawiła, że Fiodor poczuł w ustach mdlący smak porażki. Jego ciało ogarnął strach, a w głowie rozgorzało wspomnienie Liuszkowa.

W strukturach UNKWD[30] od kilku tygodni mówiło się, że Liuszkow wcale nie został zabity, ale uciekł na Daleki Wschód i nadal żyje, sprzedając zdobyte w ZSRS informacje Japończykom. Może i Fiodorowi udałoby się zbiec? Nie miał co prawda kontaktów na Wschodzie, ale przecież znał Liuszkowa, odkąd ten był jeszcze nic nieznaczącym pionkiem w stalinowskiej grze. Może więc… Wystarczyłoby tylko przedostać się na wschodni brzeg tej zlanej krwią i terrorem krainy i go znaleźć.

Wyszedł z gabinetu, mnąc w dłoniach druki z rozkazami i półsłówkami zbywając zaciekawionych enkawudzistów, gdy pytali, dokąd idzie, skoro zaraz ma się rozpocząć kolejne przesłuchanie. Wiedział, że musi jak najszybciej dostać się do mieszkania, wybrać całą zawartość sejfu ukrytego w podłodze, wziąć fałszywe dokumenty, których wykonanie zlecił zaraz po usłyszeniu wieści o ucieczce Liuszkowa, oraz cywilne ubrania. Musiał to zrobić jak najszybciej. Tylko to się teraz liczyło.

Nie przypuszczał jednak, że ci, którzy byli odpowiedzialni za aresztowanie Polaków, już na niego czekają. Kiedy przed wejściem do więzienia zobaczył mężczyzn w długich płaszczach, którzy na jego widok zgasili pod butami pety i szybkim krokiem ruszyli w jego stronę, rzucił się do biegu. Mijani na ulicy ludzie patrzyli na niego z drwiną i jednoczesną radością w oczach. Ale Fiodor nie dbał o to. Był oprawcą, który w ogólnym rozrachunku okazał się tchórzem, i nic

nigdy tego nie zmaże. Nikt nigdy mu nie uwierzy, że on również padł ofiarą systemu, któremu zaufał. Przecież przed laty, kiedy tu przyjechał, kierowała nim jedynie chęć zemsty na jednym Polaku, Jonaszu Dreznalu. Na nikim więcej.

* * *

Emilia po skończonej pracy wyszła z płoskirowskiej cukrowni, lecz na podjeździe przed zakładem nie było, jak co dzień, samochodu jej męża. Zdziwiła się; Fiodor od czterech lat nieprzerwanie pilnował każdego jej kroku. Zwłaszcza teraz, gdy jesień okrywała miasto ciemnym płaszczem.

Stała przez chwilę, rozglądając się na boki, bo może Fiodor a nuż się spóźni. Nie chciała wracać na własną rękę, jeszcze by się zezłościł na nią za niecierpliwość i gotów był wytłumaczyć za pomocą pięści, jak powinna zachowywać się żona przewodniczącego sielsowietu. A przecież dopiero co ostatnie siniaki przestały szpecić jej ciało. Wolała więc poczekać, ile trzeba. W końcu nigdy nie pozwalał jej samej wracać, więc musiało zatrzymać go coś ważnego.

Niespokojny wiatr strącał z drzew kolorowe liście, które z finezją opadały na mokre ulice. Nieliczni przechodnie przyglądali się z ciekawością Emilii, jak gdyby wiedzieli coś, o czym ona nie ma pojęcia. Poczuła się skrępowana ich spojrzeniami. Nagle niebo, na którym piętrzyły się ciężkie chmury, przeciął grzmot. Spojrzała w górę. „Że też pod koniec października może się jeszcze rozpętać burza" – pomyślała. Kilka ciężkich kropli deszczu spadło jej na twarz. Narzuciła płaszcz na ramiona i w tej samej chwili miasto zalała ściana deszczu.

Ponieważ fabryka była już zamknięta, Emilia postanowiła schronić się pod balkonem pobliskiej kamienicy. Nie mogła sobie pozwolić, by przeczekać burzę gdzieś, skąd nie widziałaby podjeżdżającego pod cukrownię męża. Wszystkie kawiarnie w pobliżu były już zamknięte,

w tej dzielnicy nie mieszkał nikt z jej znajomych. Noc coraz szybciej zapadała pomiędzy kamienicami, a gdy ulewa stała się tak silna, że ulice przemieniły się w strumienie, Emilia postanowiła biec do mieszkania, nie bacząc już na przemoczone ubranie ani na konsekwencje, jakie czekały ją ze strony rozzłoszczonego męża. Chciała tylko jak najszybciej znaleźć się w domu.

Kiedy jednak wybiegła naprzeciw kamienicy, w której od kilku lat mieszkała z Fiodorem i mamą, zobaczyła *czornego worona* z uchylonymi drzwiami, do którego enkawudziści pakowali dobytek jej męża.

Na ten widok stanęła jak rażona piorunem. Po chwili jednak, gdy z kamienicy wyszli kolejni funkcjonariusze niosący jakieś pakunki, przylgnęła plecami do ściany najbliższego budynku, tak by jej nie zauważyli. Serce podeszło jej do gardła, a w myślach galopowały słowa nakazujące spieszne działanie. Lecz Emilia nie potrafiła się na to zdobyć. Trwała nieruchomo, trzymając dłoń na piersi, jak gdyby obawiała się, że lada moment wyskoczy jej serce.

U podnóża klatki schodowej panował niebywały ruch. Funkcjonariusze przenosili kolejne rzeczy i ładowali je do wypełnionej po brzegi ciężarówki.

„Książki, obrazy, zastawa… Zabierają nawet pierzyny!" – wyliczała w duchu Emilia, obserwując sytuację zza winkla.

Po upływie kilku chwil wszystko stało się jasne. Fiodora musieli aresztować i teraz, zgodnie z procedurą, konfiskowali jego majątek. Emilia wiedziała, że jako żona wroga ludu, a jednocześnie Polka musi uciekać. Gdyby zatrzymał ją aparat państwowy, a tak zazwyczaj się działo w kolejnej dobie po aresztowaniu męża, w najlepszym wypadku otrzymałaby rozkaz opuszczenia Płoskirowa na odległość większą niż sto kilometrów i zakaz pojawiania się w mieście przez kolejne lata. Mogłaby też zostać zesłana na roboty bez możliwości napisania listu do kogokolwiek lub, co wydawało się najbardziej prawdopodobnym scenariuszem, skazaliby ją na rozstrzelanie. Znała

już takie historie – niesłusznie oskarżonych żon Polaków, a przecież Fiodor miał wiele za uszami.

Przerażona przyłożyła dłoń do ust na myśl o tym, co mogłoby się z nią stać, kiedy nagle poczuła na ramieniu delikatny uścisk. Pisnęła z przestrachem, myśląc, że ktoś nakrył ją i zaraz wyda władzy. Wszyscy wiedzieli, że jest żoną Bucwalda – i ten fakt, aż do teraz, chronił ją niczym zbroja.

W mgnieniu oka obróciła się przez ramię i zobaczyła przed sobą koleżankę z pracy.

– Co ty tu jeszcze robisz?!

Emilia patrzyła na Mirosławę jak na zjawę. Skąd ona się tu wzięła? Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Mirka mieszkała przy sąsiedniej ulicy, więc pewnie musiała ją dojrzeć z okna.

„Prawdopodobnie jak większość mieszkańców, którzy szukają sensacji, podgląda sąsiadów zza firanki" – pomyślała Emilia i nogi się pod nią ugięły.

Tymczasem Mirka złapała ją za rękę i pociągnęła w stronę swojej kamienicy.

– C-co? J-ja… – jąkała się Emilia, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Po coś tu przychodziła? Nie wiesz, że Fiodora zabrali? – Koleżanka uniosła ręce z niedowierzaniem. – Mogłabym się tego spodziewać po jakiejś młodej, głupiej kozie, ale żebyś ty robiła takie numery?!

– Skąd wiesz? – wydukała Emilia.

– Co?

– Skąd wiesz, że Fiodora zabrali?

– Całe miasto o tym trąbi. Sąsiedzi o niczym innym nie gadają, odkąd przyszłam do domu, a ty jeszcze tutaj… Musisz uciekać! – Złapała Emilię za ramiona i potrząsnęła nią jak szmacianą lalką. – Musisz uciekać!

Emilia przyłożyła dłonie do twarzy.

– Mój Boże… A co z moją mamą? Przecież ona musiała być w mieszkaniu.

Mirka zmusiła ją, by na nią spojrzała.

– Dobrze wiesz, że jedyne, co możesz teraz zrobić, to uratować siebie. Mamie postaramy się pomóc, jeżeli jej nie aresztowali.

– Ja… nawet nie mam fałszywych dokumentów – stwierdziła Emilia z przerażeniem.

Mirosława pokręciła głową.

– Tak to już jest z tymi, dla których niesienie pomocy drugiemu człowiekowi jest najważniejsze. Ratują wszystkich, tylko nie siebie. Chodź. – Szarpnęła ją za ramię. – Tu już nic nie poradzisz.

1980 rok, Zachodniopomorskie

Noc była ciemna i ponura. Obrzydliwie podobna do tych spędzonych w ciemnej komórce wykopanej pod piwnicą Mirosławy, w której w swoim pierwszym życiu Eleonora ukrywała się przez wiele dni przed enkawudzistami, nim zdołała uciec do Malinicz.

Nadal pamiętała, jak trzęsła się ze strachu, że ktoś ją tam znajdzie; jak słysząc kroki, przygryzała język do krwi, by nie zdradzić swojej kryjówki – tak głośno szczękały jej zęby. Zdawało jej się, że teraz wspomnienia się urzeczywistniają, że znów czuje przedzierające się do kości zimno i narastający w jej trzewiach atak paniki przed szczurami, które pojawiały się nie wiadomo skąd i gryzły ją w ścierpnięte nogi.

Znów drżała na całym ciele.

Te obrazy krępowały ją, choć przecież nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Leżała w miękkim i ciepłym łóżku, wsłuchana w ciężki oddech Stanisława. Wtulała się w jego olbrzymie ramiona, rzeźbione latami pracą przy wyrębie drzew w lasach Puszczy Goleniowskiej; nawet w tej chwili chroniły ją przed całym złem

świata. Wciąż były twarde jak kamień, którego żadna siła nie zdoła skruszyć. Nie pozwalał im zwiotczeć, codziennie rąbiąc drewno i wykonując obowiązki, których ona nie była w stanie się podjąć. Jego siła dawała jej poczucie bezpieczeństwa; dbając o siebie, dbał przede wszystkim o nią.

Jakie to szczęście, że go wtedy odnalazła! W tym strasznym świecie pogrążonym w wojnie, która zabrała jej wszystko, a jednocześnie wszystko ofiarowała.

Myślała o tym, co minionego poranka do niej wróciło. Nie mimowolnie, lecz przywołane przez nią samą. O tych wszystkich historiach, które opowiedziała Małgosi. O rodzinie, której obraz jawił się w jej myślach i sercu. Tej samej, której nie mogła należycie opłakać, ponieważ musiała dzielnie stawić czoła rzeczywistości. O mamie, z którą nie zdążyła się pożegnać i której już nigdy więcej po ucieczce do Malinicz nie widziała. Niepewność co do jej losów przez wiele lat spędzała Eleonorze sen z powiek. Nie znała też dalszych dziejów Fiodora, choć za każdym razem, gdy o nim myślała, czuła pod skórą palący żar. Przez tak wiele lat bała się, że znów go spotka, a on odwdzięczy się jej za to, że poprzez Mirosławę rozpuściła plotkę, jakoby zamordował swoją żonę.

Mirka, schodząc do niej ukradkiem z jedzeniem i raz w tygodniu zabierając ją na krótki nocny spacer, opowiadała, co dzieje się w mieście. Czytała artykuły o tym, że Fiodorowi postawiono zarzuty o działanie wbrew rozkazom władzy, o wieloletnie związki szpiegowskie z Polską, o naruszenie praw przy pełnieniu obowiązków w NKWD, o zamordowanie żony, członkini POW, która to miała go zwerbować do polskiej organizacji, i w końcu o szmuglowanie Polaków na drugą stronę rzeki Zbrucz, ponieważ dopatrzono się wielokrotnych zaniedbań w aresztowaniach członków polskich rodzin, skazanych przez Fiodora na śmierć lub łagry. Dobrze wiedziała, że Fiodor z połową z tych działań nie miał nic wspólnego, że to były jej inicjatywy, o których on nie miał pojęcia. Jednocześnie wiedziała też,

że w obliczu zbrodniczych działań sowieckich nie jest w stanie mu pomóc. Gdyby ujawniła się i opowiedziała prawdę, nikt by jej nie uwierzył, a jedyne, co by zyskała w zamian, to wyrok i kulkę w potylicę. Zakopaliby ją potem w jednym z setek masowych grobów na przedpolach miasta i nikomu nie powiedziano by o tym słowa. I tylko czasem ktoś wspomniałby jej imię jako tej, która oddała życie, pomagając innym.

Jej grzech, który skazał Fiodora na pewną śmierć, zacieniał wszystkie jej dobre uczynki. Wszystkich uratowanych Polaków. Wszystkie sfingowane śmierci… Wyrzuty sumienia przez lata nie dawały jej spokoju. Strach o to, że prawda mogłaby ujrzeć światło dziennie, ściskał ją za gardło każdego wieczoru, gdy kładła się spać. W końcu Polska nadal była wtedy pod wpływami Rosji. A w obliczu nowego prawa cóż mogłoby się stać z kobietą, która dokonała takich czynów? Cóż by się z nią stało, gdyby Fiodor dowiedział się o tej zbrodni, której konsekwencje wymierzone były przeciw niemu? Jak wielka siła kierowałaby jego ciałem i jak wpłynęłaby na rodzinę, którą Eleonora założyła ze Stanisławem?

Cóż za dobry los kierował jej życiem, że pozwolił jej przez tyle lat sklejać poranione serce plastrami miłości Staszka? Jak cudownie pomógł jej poskładać się na nowo… Choć jej ciało nosiło widoczne uszczerbki, a duszę zdobiły wielkie dziury, to jednak zdołała przetrwać tyle lat.

Staszek mruknął coś pod nosem do kogoś, z kim rozmawiał we śnie, a po chwili, jak zwykle, gdy czuł jej ciało obok, objął ją czule i zsunął dłoń pod jej pierś, po czym przytknął nos do jej włosów. Zaciągnął się ich zapachem, pocałował żonę w kark i odpłynął w przerwany sen.

Eleonora, choć bardzo chciała, nie potrafiła zasnąć. Czy to możliwe, żeby przebyte traumy miały aż tak silny wpływ na jej ciało? Nadal? Po tylu latach?

Małgosia twierdziła, że tak. Że między tym, co dotyka człowieka, a jego fizycznością, istnieje ogromna zależność.

– Stres, który latami trzymał cię w ryzach, teraz daje o sobie znać w postaci niewytłumaczalnych dolegliwości fizycznych – mówiła synowa po południu. – To naturalne i całkiem często spotykane. Kiedy nie musisz walczyć o przetrwanie, twoje ciało podświadomie szuka tych wrażeń, które wprowadzą je w stan napięcia. A kiedy nie dostaje bodźców, zaczyna chorować. Doświadczyłaś czegoś, co wywołało olbrzymią traumę, a ona z kolei wywołała zaburzenia, może nawet choroby. Dopiero co zaczęto takie symptomy klasyfikować jako zaburzenie stresowo-pourazowe. Mimowolnie odtwarzasz w głowie traumatyczne sceny, których nie umiesz za nic w świecie odrzucić i które jak trucizna zatruwają twój organizm. Zaburzenia lękowe i depresyjne, problemy ze snem, apetytem oraz zaufaniem i w końcu te wszystkie somatyczne dolegliwości w postaci bólów głowy, brzucha, mięśni i stawów… To wszystko to skutek przebytych traum, które wpłynęły na twój rozwój i ciało.

– W jaki sposób mogłabym się uleczyć? – zapytała Eleonora, trochę nie dowierzając jej słowom, choć tak wiernie opisywały to, z czym od lat się zmagała.

– Musisz wybaczyć sobie wszystko, co zrobiłaś, czego doświadczyłaś, czego się bałaś i czemu nie potrafiłaś stawić czoła. Zobacz, te wspomnienia, choć bolesne i trudne, pokazują twoje prawdziwe oblicze. To, kim byłaś, i to, kim się stałaś. Wskazują na twoją siłę i wielkość. Odwagę, jaką niewielu mogłoby się poszczycić. Hart ducha, którego brakuje niejednemu mężczyźnie. Niesamowite opanowanie, które zaprowadziło cię tu, do bezpiecznej przystani w Łoźnicy. Zrozum, mamo, że wszystko, czego doświadczyłaś, musiało się wydarzyć. Właśnie to miałaś otrzymać, żeby stać się kobietą, na którą patrzysz dziś w lustrze i która powinna być dumna ze swojego poświęcenia. Miałaś dotrzeć do celu. Dotarłaś. Pora więc zostawić za sobą ten trud i przestać obracać się za siebie.

Eleonora słuchała tego ze łzami w oczach, a teraz, gdy te słowa kolejny raz rozbrzmiały w jej głowie, poczuła ogromne wzruszenie. Było jej tak trudno ujarzmić wspomnienia, choć już nie tak wyraźne i barwne, jak jeszcze kilka dni wcześniej. I właśnie teraz, pierwszy raz w życiu, pomyślała, że dokonała niemożliwego. Wyrwała się z piekła i ruszyła w stronę słońca. W stronę raju, który stworzyła ze Staszkiem.

I tego miejsca należało się trzymać, puszczając wszystko to, co miała już za sobą.

* * *

Ranek przywitał Eleonorę ciepłym, jaskrawym promieniem słońca, który padał prosto na jej twarz i łaskotał w nos. Powoli uniosła powieki i spojrzała za okno. Na tle żółtych strąków kwitnącej akacji fruwały dwa motyle w radosnym, niewinnym tańcu.

Wysunęła się z objęć męża i wstała, by otworzyć okno. Złotoognista kula wznosiła się już ponad polami, lecz w powietrzu nadal było czuć wilgoć poranka, a lekki obłok mgły leniwie unosił się tuż nad ziemią.

„To będzie dobry dzień” – pomyślała, po czym narzuciła na siebie szlafrok i zeszła do kuchni.

Aura słonecznego dnia dobrze na nią działała. Czuła, że przybyła do niej dawno utracona energia i że ma w sobie moc sprawczą. Nastawiła czajnik z myślą o zaparzeniu herbaty i zabrała się za przygotowywanie naleśników. Poprzedniego dnia domownicy pozwolili jej pospać, obsługując się sami. Dziś, jako przykładna pani domu, żona, mama i teściowa, chciała zadbać o najbliższych.

Musiała chyba hałasować, ponieważ już po kilku chwilach Staszek, Marcin i Małgosia byli w kuchni. Młodzi mieli na sobie dzienne ciuchy, co z uznaniem skwitowała skinieniem głowy, a następnie zaprosiła ich do stołu. Z rozbawieniem patrzyła na ich zaskoczone miny, kiedy

lawirowała z talerzami, sztućcami i słodkimi dodatkami do naleśników. Sama nie do końca rozumiała, skąd u niej tak dobry nastrój, nie zamierzała jednak się nad tym rozwodzić. W jej myślach pierwszy raz od niepamiętnych czasów zalegała cisza. Wiedziała, że to stan wyjątkowy, ulotny i nietrwały, trzeba go więc celebrować. Doświadczała go już w przeszłości, kiedy szczególnie cieszyła się z jakiegoś powodu. Toteż zdziwiona, że teraz przydarzył jej się bez powodu, postanowiła czerpać z tego stanu pełnymi garściami. Był nagrodą wytchnienia po trudnych powrotach do przeszłości.

– Chciałabym wybrać się dziś nad morze, co wy na to? – zaproponowała spontanicznie, przerzuciwszy naleśnika na patelni.

W kuchni zapanowała cisza, więc przebiegła wzrokiem po zebranych.

– Jesteś pewna? – Staszek posłał żonie czułe spojrzenie.

– Tak, skarbie, dziś czuję się całkiem nieźle i mam ochotę na spacer po plaży. Może nawet pobyczyć się na kocu i zamoczyć stopy w Bałtyku. Choć pewnie zimna woda wykręca kostki. – Uśmiechnęła się pod nosem.

– Dobry pomysł, mamo – stwierdził Marcin. – W sumie mieliśmy na dziś takie same plany, prawda?

Małgosia potwierdziła skinieniem głowy i z radością spojrzała na teściową.

– A przy okazji zerkniemy do ZUS-u i zapytamy, czy wiadomo coś w sprawie twojej emerytury.

Eleonora poczuła, jak jej ciało pokrywa cień, serce nieznośnie szybko bije w piersi, a zimny dreszcz przebiega po plecach. Zacisnęła zęby. Nie, nie podda się znów przeszłości i wyrwie się z tego cienia, który spłynął na nią w jednej sekundzie. Oblekła twarz w uśmiech, wyprostowała plecy i spojrzała na męża.

– Stasiu, zrobimy to w przyszłym tygodniu – rzekła łagodnie. – Szkoda marnować czasu, kiedy dzieci są przy nas. – Posłała Marcinowi i Małgosi uśmiech. – A więc postanowione! – Klasnęła

w dłonie, czując, że jej serce zwalnia rytm i się uspokaja. – Naszykuję nam prowiant, a ty, jak już zjesz – spojrzała na męża – poszukaj parawanu. Na plaży na pewno będzie wiało.

* * *

Po godzinie drogi samochodem byli już nad Bałtykiem. Słońce prażyło, wiatr powoli przesuwał po niebie białe, kłębiaste chmury, a morze delikatnymi falami spieniało się przy brzegu. Wolnym spacerem minęli zaludnioną część Sarbinowa i skierowali się na zachód, w stronę Gąsek, gdzie na złotym piasku mogli odpocząć od ludzi, zgiełku turystycznego miasteczka i radosnych krzyków dzieci, które przyjechały na kolonie.

Eleonora zwolniła kroku, czując opór piasku pod stopami. Dawno nie odbywała tak długich pieszych wędrówek i mięśnie, nieprzyzwyczajone do chodzenia, dawały już o sobie znać. Staszek z Małgosią, zajęci rozmową, szli daleko przed nią, Marcin w pewnej odległości za nimi. Pogrążony w myślach, wędrował sam, jak dawniej, gdy nadąsany, z rękoma w kieszeniach, nie chcąc nikomu się zwierzać ze swoich problemów, maszerował w pojedynkę. Eleonora postanowiła go zawołać, choć nie łudziła się, że syn powie jej o swoich rozterkach.

Na dźwięk swojego imienia zareagował dopiero, gdy zawołała drugi raz. Obrócił się i widząc zostawioną w tyle matkę, zreflektował się, zawrócił, po czym zrównawszy się z nią, ujął Eleonorę pod ramię.

– Wybacz, mamo, nie zauważyłem, że zostałaś w tyle. – Wyciągnął szyję i gwizdnął przeciągle, a Staszek i Gosia obrócili się przez ramię. – Ej, zwolnijcie trochę.

Eleonora machnęła ręką na znak, by się nią nie przejmowali. Staszek wskazał palcem na wystający klif, przy którym planowali odpoczynek. Eleonora posłała mu uśmiech i skinęła głową. Cieszyła

się w duchu, że nadal obchodziły go jej potrzeby i że wybrał jej ulubione miejsce na plaży.

– Pamiętasz, Marcinku, to miejsce? Zawsze tam plażowaliśmy, jak byłeś mały.

– Pamiętam – skwitował bez entuzjazmu.

– To był wspaniały czas. Taki beztroski i radosny… Chociaż siostry dawały ci wtedy popalić. Ciągle tylko biegałeś do morza napełniać kolejne wiaderka wodą, żeby mogły budować te swoje zamki. Zawsze się dziwiłam, że byłeś wtedy taki pomocny. W innych sytuacjach darliście koty.

Marcin posłał matce zdawkowe spojrzenie, po czym zapatrzył się na klif.

Eleonora przypatrywała się synowi, chcąc rozszyfrować, co kryje się za tą pochmurną miną. Wspomnienia dziecięcej beztroski, żal za tym, co utracone, czy może coś, czego wiele lat temu jako matka nie dostrzegła, a co zakorzeniło się w sercu syna? Kiedy był dzieckiem, jakoś udawało jej się odgadywać strapienia dziecięcej duszy. Po czasie odnosiła jednak wrażenie, że Marcin, nie chcąc sprawiać przykrości, potwierdzał jej przypuszczenia, by nie zdradzać prawdziwej natury swoich zmartwień.

Teraz jego oczy, z odziedziczonymi po Staszku świetlistymi promieniami wokół źrenic, znów zdawały się zgaszone. Jakby to, co tkwiło w jego sercu, matowiło to niesłychanie interesujące spojrzenie.

– Tylko wtedy pozwalaliście być mi samemu w wodzie – odparł z nutą melancholii.

– No cóż… Plaża niestrzeżona, a my tak daleko od brzegu. Dziś pewnie postąpiłabym tak samo.

– Wiem. Widzę, dokąd zmierzamy. I… staram się to zrozumieć, ale nie potrafię.

Eleonora zwolniła kroku, udając, że ból wszedł jej w biodro. W rzeczywistości chciała zyskać na czasie i porozmawiać chwilę

dłużej sam na sam z Marcinem.

– Czego nie rozumiesz, synu?

– No… twojego zachowania. Zobacz. – Wykonał nieokreślony gest ręką. – Od dawna nie ma na plaży żywej duszy. Ledwo człapiesz, targana bólem, ale mimo to nie rozłożysz się z rzeczami wśród ludzi. Dlaczego?

– Przecież dziś tata wybiera miejsce.

Marcin spojrzał na nią z przyganą.

– Proszę cię… Ojciec zawsze robił to, co chciałaś. A my musieliśmy znosić te twoje fanaberie.

– O czym ty mówisz, dziecko? – Eleonora się zdenerwowała. – Jakie fanaberie?

– Na przykład taką. – Wskazał dłonią miejsce, gdzie Staszek kolejny raz przekładał parawan, uzmysłowiwszy sobie, że wiatr wieje jednak z zachodu, a nie od północy. – Miejsce na plaży tylko za klifem, żeby nie daj Boże nikt nie zobaczył, że tu jesteśmy. Na zewnątrz możemy rozmawiać tylko po cichu, żeby nikt nie zwracał na nas uwagi. I absolutnie nigdy o tym, co się dzieje w domu. Mamy zakaz obnoszenia się z religią, a jedyny krzyż w naszym domu ojciec trzymał schowany na dnie komody. Zakaz zawierania przygodnych znajomości, prowadzenia luźnych pogawędek z nieznajomymi, bo przecież nie wiadomo, kto z jakiej rodziny się wywodzi. W naszym domu nigdy nie było gości…

Marcin umilkł i zawiesił wzrok nad linią horyzontu, a Eleonora czuła, jak jej serce trawi gorejący ogień. To wszystko, o czym syn mówił z takim wyrzutem, robiła dla bezpieczeństwa rodziny. A gdyby znów wybuchła wojna? A jeśli przez jej dom niczym tornado przewali się fala terroru, jeśli przyjdą po nich – inni niż kiedyś okupanci? Wyrzeknięcie się przyjemności życia było bezpieczne. Brak ludzi oznaczał spokój o to, że nikt nie usłyszy, nikt nie doniesie, nikt nie sprawi, że do drzwi zapukają żołnierze i zabiorą kogoś na zawsze, na wieczną tułaczkę, na rozstrzelanie.

Powodów do trwogi było tak wiele. Najpierw jej i Staszkowi zarzucano, że są Niemcami, bo przecież przyjechali zza zachodniej granicy dużo później niż inni. Potem, kiedy podczas meldunku przyznała się, że pochodzi z ukraińskiej SSR, insynuowano oszustwo w kwestii narodowości. A przecież ona zawsze czuła się Polką, nawet jeśli mieszkała poza granicami ojczystego kraju.

– Tak było bezpieczniej – odparła głucho.

– Dla kogo? – Marcin spojrzał na nią ze złością. – Całe życie bałaś się czegoś i ten strach zasiałaś też w nas. Wiesz, dlaczego tak lubiłem nosić dziewczynom tę cholerną wodę? – Ich spojrzenia na moment się spotkały, a Eleonora dojrzała w oczach syna gorycz i frustrację. – Żeby patrzeć na dzieci. Normalne dzieci! Takie, które mogły biegać i się bawić, i nie musiały się zastanawiać, czy ktoś je wtedy obserwuje. Dzieci, które jadły, kiedy miały na to ochotę, bez obsesji oszczędzania jedzenia, bo nigdy nie wiadomo, kiedy go zabraknie. Mogły się bawić, z kim chcą i kiedy chcą, bez podejrzliwości i bez tych wszystkich wyimaginowanych dociekań, które sączyłaś nam do głów.

– Nie mów tak… Mieliście spokojne dzieciństwo.

– I dlatego robiłaś wszystko, żeby nam ten spokój zburzyć?

– Nic nie wiesz o zburzonym spokoju. Nie żyłeś podczas okupacji i wojny. Nie żyłeś w ciągłym strachu. – Głos jej się załamał.

Marcin przystanął i spojrzał na nią uważnie.

– Ale ty żyłaś, mamo – powiedział twardo. – I takiego życia mnie nauczyłaś… W strachu i lęku o to, co może się wydarzyć, a co nigdy się nie wydarzyło. Z pełną spiżarką jedzenia, które jem, nawet gdy się psuje lub gnije, bo za każdym razem, kiedy chcę je wyrzucić, wzbiera we mnie lęk, że kiedyś mi go zabraknie. Nawet do was przyjeżdżam z duszą na ramieniu, bo się boję, że odejdziecie akurat wtedy, gdy mnie nie będzie. Boję się, że powtórzę twój los. Że tak jak ty nie zdążyłaś pożegnać się z rodzicami, tak i ja nie zdążę.

Po policzkach Eleonory potoczyły się łzy.

– Nigdy nie chciałam ci tego przekazać – odparła cicho.

– Ale to zrobiłaś.

– Przepraszam. – Pociągnęła nosem. – Przepraszam, synku, ale nie potrafiłam inaczej żyć. To wszystko… To wina tych doświadczeń, tego, co przeżyłam i co na mnie spadło nieoczekiwanie. Ja… chciałam, żebyś umiał sobie poradzić, kiedy znów nastaną straszne czasy. Byłam przekonana, że one w końcu nadejdą. Kiedy byłam młoda, to, iż przyjdą znów, było dla mnie oczywiste.

– A co, jeśli nigdy nie nadejdą? Pomyślałaś kiedyś, że mogłabyś cieszyć się życiem? Tak zwyczajnie czerpać radość z tego, że jesteś wolna, masz co jeść i gdzie spać, zamiast martwić się o coś, co może nigdy się nie wydarzyć?

Eleonora czuła się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Stała naprzeciw swojego dorosłego, mądrego syna i nie wiedziała, co powinna mu powiedzieć.

Oczywiście, że myślała o tym, jak cudownie byłoby być w końcu wolną i spokojną. Pragnęła tego jak niczego innego na świecie. Marcin miał rację. Mogłaby w każdej chwili zacząć tak żyć. A jednak nigdy dotąd się na to nie odważyła.

– Już czas, mamo. – Mężczyzna ścisnął jej dłoń i spojrzał głęboko w oczy. – Najwyższa pora zostawić za sobą to wszystko, co było złe, i zacząć żyć. Po prostu żyć.

Kiwnęła głową, połykając łzy.

– Masz rację, mój synu.

* * *

Noc wolno zapadała nad Łoźnicą, gwiazdy skrzyły się na niebie, a w tle słychać było pohukiwania sowy. Rozpalone w ogrodzie ognisko, nad którym po powrocie z Sarbinowa upiekli kiełbaski i ziemniaki, żarzyło się jeszcze, dając przyjemne, otulające ciepło.

Iskierki drwa tryskały ponad paleniskiem, tworząc spektakl światła i cieni.

Marcin ze Staszkiem przysnęli na tarasie. Jeden na wysłużonej wersalce, drugi na leżaku. Kobiety postanowiły ich nie budzić, póki same nie zdecydują się zebrać do swoich sypialni. Zresztą dobrze wiedziały, że ich mężowie, wykończeni wielogodzinnym pływaniem w Bałtyku i wieczorną degustacją Staszkowych nalewek, przebudzą się, kiedy wysokoprocentowy trunek zacznie parować z ich ciał.

Eleonora i Małgosia siedziały na leżakach przy ognisku, sącząc owocowe wino, zerkając czasem w stronę swoich mężczyzn i uśmiechając się do siebie, gdy któryś z nich chrapnął głośno. Obie czekały cały dzień na tę chwilę, kiedy będą mogły porozmawiać tylko we dwie, a teraz, kiedy wreszcie nastała, milczały, jak gdyby bały się poruszyć drażliwy temat.

– To był dobry dzień – powiedziała w końcu Małgosia, przerywając ciszę.

– Nie wydaje mi się – odparła Eleonora bez entuzjazmu. – Myślałam, że wypadem nad Bałtyk sprawimy wam trochę przyjemności, ale Marcin… – Upiła łyk wina. – To chyba nie był dobry pomysł. Mam wrażenie, że tylko wskrzesiłam jego bolesne wspomnienia.

– Niepotrzebnie się tym przejmujesz, mamo.

– Czuję się odpowiedzialna za jego emocje. To przeze mnie nie mógł cieszyć się dzieciństwem. – Eleonora znów usłyszała w głowie echo krzywdzących słów syna. Wychyliła wino do dna i napełniła kieliszki, rozlewając resztę po równo sobie oraz synowej. – Skrzywdziłam go… Nieświadomie, a jednak skrzywdziłam… Ty pewnie jako żona masz dużo większy wgląd do jego dzieciństwa. Mnie nigdy się nie zwierzał.

Małgorzata milczała, obserwując teściową badawczo.

– W gruncie rzeczy każdy z nas czuje się skrzywdzony przez swoich rodziców – odezwała się wreszcie. – Podobno już podczas ciąży

kobieta podświadomie decyduje, czy wychowując własne dziecko, będzie powielać schematy zachowań swoich rodziców, czy tworzyć ich przeciwieństwo. Jednak nie pojmuje, że wyda na świat nie swoją kopię, a kogoś, kto będzie niepowtarzalny, wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju. Nawet jeśli wizualnie okaże się do niej podobny, to z całą pewnością będą się różnić temperamentem, wrażliwością, poczuciem humoru i wieloma cechami charakteru. Ten młody człowiek, tak jak każde dziecko, będzie musiał się mierzyć z innymi problemami, ponieważ świat zmienia się każdego dnia, a my, jako rodzice, żeby się do niego dostroić, powinniśmy na bieżąco aktualizować własne zachowania, żeby wyłapać nowe, nieznane dotąd zagrożenia i móc na nie odpowiednio zareagować. Jednak aby to uczynić, sami musimy być wolni od ciężarów przeszłości. Tylko że nasz umysł nie jest z gumy i by zrobić miejsce na nowy plan działań, najpierw trzeba usunąć stare i bezużyteczne schematy. Bo to, co było dobre dla nas, z czasem traci na aktualności. Nie każdy potrafi w porę to wykryć i się zmienić. Moja mama powiedziała kiedyś, że winiła moją babcię za wszystkie swoje niepowodzenia do czasu, aż musiała przekazać mi system wartości. Wtedy właśnie pojęła genezę zachowań własnej mamy, których jako dziecko nie rozumiała. Kiedy sama została matką, uświadomiła sobie, że powiela jej zachowania i że one na mnie nie działają. Bo ja potrzebowałam zupełnie innej oprawy. Moje pokolenie nie musi zmagać się z głodem, terrorem, torturami czy prześladowaniami. Potrzebujemy recepty na wolność, niezależność i demokrację, której nikt nam nie da, więc musimy ją stworzyć sami. Tak jak wy musieliście znaleźć rozwiązania na problemy waszych czasów.

– Być może masz rację.

– Cóż, nie jestem matką, ale dobrą obserwatorką. – Małgosia posłała teściowej uśmiech. – Brak zrozumienia w relacji rodzic-dziecko jest niemalże wpisany w nasze jestestwo. Poza tym te

wszystkie mamine zachowania biorą początek w traumatycznych przeżyciach. A przecież po drodze była jeszcze wojna.

Eleonora pokiwała głową ze zrozumieniem, choć ogromne poczucie winy względem syna nadal bardzo jej ciążyło.

– Wbrew pozorom wojna okazała się dla mnie wybawieniem.

Małgosia uniosła brwi.

– Jak to możliwe?

Jej teściowa uśmiechnęła się pod nosem. Czas, który dla milionów ludzi stał się początkiem koszmaru, dla niej był startem w dobrą przyszłość. Choć na początku nic na to nie wskazywało.

– W całym tym globalnym zamieszaniu, jakie wybuchło na Zachodzie, straciła na ważności polska jednostka w ukraińskiej SSR. Histeria Hitlera zdeterminowała rosyjskich polityków do zaprzestania prześladowań Polaków. A może miała na to wpływ charyzma następcy Jeżowa, Ławrientija Berii? – Eleonora zamyśliła się na moment. – Sama nie wiem. Jednak faktem jest, że wraz z końcem tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w Płoskirowie nastał spokój. Skończyły się aresztowania, skończyły się dochodzenia i donosy, choć ofiary terroru nigdy nie wróciły do domów. Nikt z nas, ocalałych, nie wiedział, co stało się z tymi, o których słuch zaginął. Tym, którzy próbowali się czegoś dowiedzieć, grożono śmiercią. Albo wpierano, że władze więzienia nie mają z tymi zaginięciami nic wspólnego. A ci, co pamiętali, jak to jest, kiedy duszę ściska strach, nie mieli odwagi stanąć naprzeciw urzędnika i pytać o bliskich.

– Wiedzieliście, że zbliża się wojna?

Eleonora pokręciła głową.

– Nie. A przynajmniej ja nie wiedziałam. Wróciłam do rodzinnego domu, do Malinicz, który jakimś cudem pozostał pusty. Bo musisz wiedzieć, Małgosiu, że kiedy wywożono polskie rodziny na Wschód, w ich miejsce pojawiali się inni. Zazwyczaj Ukraińcy lub Rosjanie. Zajmowali polski dobytek jak swój i gospodarowali nim, często bez należytego szacunku, uznawszy, że skoro coś jest ichnie, może być

niszczone. A nasz dom w Maliniczach przetrwał. Być może dlatego, że mojej rodziny w rzeczywistości nie wywieziono, a ja nie pomyślałam w ogóle o tym, żeby zgłosić gdzieś śmierć ojca, babki czy stryjenki. Fiodor też tego nie zrobił, pewnie dlatego, by nie rzucać na siebie podejrzeń o szpiegostwo i pomoc Polakom. Podejrzewam, że nikt nie wiedział, iż dom stoi pusty. A może… – Urwała, niepewna, czy chce uzewnętrzniać kolejną myśl.

– Mów, mamo… – zachęciła ją synowa.

– Nie, to niemożliwe. – Eleonora zaśmiała się cicho. – Bo wiesz… Za domem, na skraju lasu, ludzie Fiodora pochowali mojego tatę, babcię i stryjenkę, więc… Więc może ich duchy zostały w tym miejscu, by strzec tego, co nasze?

Przymknęła oczy, cofając się pamięcią do momentu, gdy wróciła do Malinicz. Do spokoju, jaki towarzyszył jej w przededniu drugiej wojny światowej. Wszystkie dni i noce spędzała sama, dbając o dom, niewielki warzywnik, kilka drzew owocowych oraz zboże, którego mały worek nasion przywiozła jej Mirka z Płoskirowa. Przez wiele tygodni nikt jej nie odwiedzał, lecz nie czuła się samotna. Paradoksalnie odnosiła wrażenie, że stale ktoś obok niej jest i pomaga we wszystkim, czego tylko się dotknęła. I że dzięki tej nadprzyrodzonej mocy działy się cuda. Tamtego lata 1939 roku zebrała bowiem plon z każdego wsadzonego w ziemię ziarenka, każdej samosiejki i każdego pąku owocowego, który zakwitł na rosnących za domem drzewach. Wszystko jej się udało, choć nigdy przecież nie pozwalano jej pracować w polu. A może zwyczajnie miała do tego smykałkę? Może rękę do uprawy ziemi odziedziczyła w genach?

– Kto wie, może właśnie tak było. Zmarli opiekują się nami i dają ukojenie, kiedy najbardziej ich potrzebujemy – skwitowała Małgosia.

– To prawda. Bo my ich potrzebowałyśmy.

– My?

– Ja i moja siostra.

– Ale przecież ona nie mieszkała w Maliniczach.

– Gdy wybuchła wojna, mąż Klary wstąpił do wojska, a ona została sama z trójką dzieci. Nie mogła poradzić sobie z nimi… A może bardziej z samotnością? W każdym razie po tym, jak Rosjanie zaatakowali Polskę i splądrowali we Lwowie sklep kolonialny mojego szwagra, postanowiła uciec do Malinicz, do rodzinnego domu.

– To chyba dobrze? Byłyście w końcu razem.

– Tak, ale… – Eleonora westchnęła przeciągle. – Wieloletnia rozłąka sprawiła, że byłyśmy sobie obce jak dwie planety jednego Układu Słonecznego. Wiedziałyśmy, że w Maliniczach jest nasze jądro wszechświata, ale żyłyśmy bardziej obok siebie niż wspólnie. Oprócz różnicy wieku dzieliły nas przekonania i podejście do rodzinnej tragedii. Moja siostra nie mogła zrozumieć, co się wydarzyło w naszym domu, a ja nie potrafiłam jej tego dobrze wytłumaczyć. Nawet teraz, po latach, trudno mi wracać do tamtych dni i nie rozumiem metod działania władzy sowieckiej. Ba, nie rozumiem nawet zachowań własnego męża. A wtedy, kiedy wszystko było świeże i bolesne, z jeszcze większym trudem przychodziło mi ujarzmienie tego, co się wydarzyło. Opowiadałam jej o naszym życiu etapami, na raty, bez zachowania chronologii zdarzeń i bez wyjaśnień, a ona chyba potrzebowała pewnego uporządkowania, twardych faktów i definicji. Nie umiałam jej tego dać i to nas poróżniło.

Eleonora zapatrzyła się na dogasający ogień, próbując przywołać w pamięci twarz siostry. Czas jednak zatarł jej rysy. Pamiętała tylko, że Klara była bardzo zgrabna. Nie chuda i zabiedzona jak ona, ale kobieco krągła i zmysłowa. Mimo trzech ciąż jej ciało nadal było jędrne i sprężyste. Emilia zazdrościła siostrze pełnych piersi, bioder oraz obycia i nienagannych manier zaszczepionych przez babkę, ciotkę i siostry Komorowskie, do których Klara jeździła pobierać nauki, a które prowadziły tajną szkołę średnią dla dziewcząt we wsi Kopaczówka pod Płoskirowem. Tej dumnej arystokratycznej postawy

nie wykorzeniły z niej ani wojna, ani lata spędzone z dala od domu. Prócz walorów fizycznych i ogłady Klara miała też niezwykle bystry i chłonny umysł i sprawiała wrażenie, jakby znała odpowiedź na każde pytanie. Wszystko, co powiedziała jej młodsza siostra, kwitowała denerwująco długimi wywodami, wytykając przy tym Emilii naleciałości ukraińskie w mowie, które ta nabyła, obcując z Fiodorem i z konieczności wpasowania się w płoskirowskie środowisko. Dla Klary było to równoznaczne ze zdradą Polski. Te przytyki często stawały się powodem ich sprzeczek. Z czasem Klara zaczęła również tworzyć własną wersję tego, co wydarzyło się w Maliniczach, choć przecież nie miała o niczym pojęcia, bo jej tu nie było. I to stało się dla młodszej siostry solą w oku.

– A później? Co się działo z wami później? – Małgosia wyrwała teściową z zamyślenia.

Eleonora spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem.

– Później przyszli Niemcy.

[9] Rosyjski odpowiednik gminy.

[10] Ukraińska nazwa rubla.

[11] Zarząd Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych.

[12] Członkowie radzieckiej organizacji młodzieżowej.

[13] (ros.) Czarny kruk – potoczna nazwa samochodu używanego przez NKWD, z odmalowaną na czarno blaszaną paką, którą transportowano aresztowanych do więzienia lub na miejsce kaźni. Nazywany był również „czarną Marusią", „czorną budą" lub „krukiem".

[14] Potoczna nazwa sierocińców.

[15] (ros.) Nazwisko.

[16] (ros.) Imię?

[17] (ros.) Imię ojca?

[18] (ros.) Macie żonę?

[19] (ros.) Macie dzieci?

[20] (ros.) Od kiedy jesteś członkiem Polskiej Wojennej Organizacji?

[21] (ros.) Pytam, od kiedy jesteś członkiem tej organizacji. My już udokumentowaliśmy, że należysz do POW.

[22] (ros.) Łżesz jak pies!

[23] (ros.) Należysz!
[24] (ros.) No, gadaj, psie, z kim pracujesz?
[25] (ros.) Nie jesteś za stary, żeby znosić lanie od tak młodego człowieka?
[26] (ros.) Podpisz nam to oświadczenie, że należysz do POW, a wrócisz do swojej rodziny.
[27] (ros.) Jesteście aresztowany, obywatelu.
[28] (ros.) To się jeszcze okaże.
[29] (ros.) Wyjaśnimy więc to nieporozumienie, obywatelu.
[30] Zarząd NKWD.

CZĘŚĆ IV

1941 rok, Podole

Pod koniec sierpnia Emilia poczuła, że zbliża się coś, co zmieni bieg jej życia. Nie potrafiła określić, cóż by takiego to miało być, ale wiedziała, że nadejdzie, tym bardziej że wrażeniu temu towarzyszył powracający co noc sen: splecione w uścisku dłonie na tle jej rodzinnego domu. A potem rozlegał się głośny wystrzał; ręce oddzielały się od siebie i następowała piszcząca w uszach cisza. I ciemna, mroczna próżnia.

Wtedy Emilia budziła się spocona, z przeświadczeniem, że stanie się coś złego. Klara, mimo że na co dzień nie zawsze potrafiły się porozumieć, podnosiła ją wówczas na duchu, powtarzając, że w snach widać tylko odbicie swoich lęków i że Emilia pewnie podświadomie się boi, że mogłaby znów zostać sama. Na potwierdzenie tych słów siostra mówiła jeszcze, że przecież przed wybuchem wojny nic jej się nie śniło, a zło i tak przyszło znienacka.

Jednak Emilia nie czuła się wcale uspokojona i doszukiwała się we wszystkim wytłumaczenia tych sennych obrazów. Stała się czujna i uważna. W skupieniu obserwowała niebo i okolicę. A natura zdawała się posyłać jej znaki.

Lato nigdy jeszcze nie było tak upalne, jak w 1941 roku. Ziemia w Maliniczach wyschła na głębokość dwóch szpadli. Parne, duszne powietrze wysuszało gardła Emilii, Klary oraz jej dzieci, co

wywoływało ból podczas każdej próby przełknięcia śliny. Woda z przydomowej studni wyparowała i nie została w niej nawet kropla. Emilia z trwogą patrzyła na pole, które wyglądało jak popękany step, mogący w każdej chwili się zapalić od padających nań promieni słońca.

Tego dnia wokół domu panowała niczym niezmącona cisza, gęste powietrze stało w miejscu. Dzieci Klary ucinały sobie popołudniową drzemkę, a ona sama w skupieniu pisała pamiętnik, który pomagał jej uporać się z tęsknotą za mężem i rodzicami.

Emilia siedziała na schodku przed wejściem do domu i patrzyła na ciągnące się po horyzont pole, którego majestat wieńczył ledwo widoczny z oddali pasek sosnowego lasu.

Poprzedniego dnia przemierzyła tę drogę z nadzieją, że któryś z sąsiadów ze wsi poratuje ją choćby wiaderkiem wody. Jednak susza doskwierała wszystkim, a ludzie, w większości przesiedleni ze Wschodu po ostatnich prześladowaniach Polaków, wcale nie byli do niej przychylnie nastawieni. Niekiedy nawet odnosiła wrażenie, że z odmówienia jej pomocy czerpali dziwną przyjemność. Byli i tacy, którzy od razu ją przeganiali; nie chcieli nawet słyszeć, z czym do nich przyszła, i straszyli ją Niemcami, którzy ponoć pojawili się w okolicy.

Emilia nie wiedziała, co o tym myśleć. Odkąd przeszło dwa lata wcześniej wróciła z Płoskirowa do Malinicz, nie docierały do niej żadne wiadomości ze świata. Oprócz tej, którą przyniosła Klara – o wybuchu wojny. Jednak Emilia nie przejęła się wtedy tak, jak nakazywałby to patriotyczny duch, być może dlatego, że nigdy nie mieszkała w Polsce. A może była już tak zmęczona trudami ostatnich lat, że kolejny konflikt nie mógł się wiele różnić od poprzednich? Poza tym tocząca się od miesięcy wojna trwała daleko stąd. Emilia nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby stać się jej częścią. A właściwie, odkąd Rosja przesunęła swoją granicę na zachód,

pochłaniając połowę terytorium Polski, całkiem straciła nadzieję, że jeszcze kiedyś wyrwie się z ZSRS.

Jednak wiadomość o pojawieniu się Niemców była dla niej tak zaskakująca, jak śnieg, gdyby nagle zaczął padać na tę skutą suszą ziemię. Kiedy o tym myślała, czuła przebiegający po plecach zimny dreszcz. Obecność Niemców oznaczałaby, że wojna obrała zupełnie nowy kierunek. Należałoby się więc jakoś uszykować na to, co może się wydarzyć pod niemiecką okupacją. Emilia nie miała jednak pojęcia, co by to mogło być. Zresztą Klara też nie wiedziała. Jej dawne miasto Lwów, kiedy jeszcze tam mieszkała, zostało zajęte przez Rosjan.

Rozważając to wszystko, Emilia nie zauważyła, kiedy słońce zawędrowało na drugi kraniec nieba i zerkało teraz zza liści wielkiego orzechowca, który był świadkiem wszystkich tragedii rodziny Dreznalów, a mimo to nadal dumnie rósł przed domem. Dopiero gdy wystawiona na ostre słońce skóra zaczęła ją piec, dziewczyna postanowiła wrócić do domu i skryć się w chłodzie swojego pokoju na piętrze. Stąd i tak zawsze miała najlepszy widok na okolicę.

Stojąc na balkonie i patrząc na znajomą okolicę, pomyślała, że wystarczyłoby jej po kapce z trzech tubek farb, by wiernie odmalować ten zżółknięty i wysuszony pejzaż.

Po chwili jednak dojrzała ruchome nieznane ciemne obiekty. Były jeszcze zbyt daleko, by mogła się zorientować, co to takiego. Dopiero po chwili, gdy wyłonił się zza nich piaskowy obłok, zrozumiała, że w kierunku jej domu pędzą samochody.

Poczuła, jak jej ciało napina się ze stresu, a serce przyspiesza. Za każdym razem, gdy pod jej domem pojawiało się auto, w jej życiu działo się coś strasznego. Owładnął nią strach, wyobraźnia przywołała obraz Fiodora. Zawsze bowiem to on przyjeżdżał tu samochodem i teraz…

– Mój Boże – szepnęła.

Myślała jedynie o tym, że jej mąż przyjechał rozliczyć się z nią za wszystkie krzywdy, jakie spotkały go w wyniku jej pomówień.

W panice rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się gorączkowo, gdzie mogłaby się skryć przed jego gniewem, kiedy nagle usłyszała dochodzące z parteru głosy siostrzeńców, którzy pełni energii po drzemce biegali po salonie. Nieświadomi nadciągającego zagrożenia śmiali się w głos, a ona pomyślała, że nie może wystawić ich na niebezpieczeństwo; nie po tym, jak przebyli taki szmat drogi, by znaleźć tu schronienie. Miała dwadzieścia cztery lata. Musiała wziąć odpowiedzialność za swoje czyny.

Dobiegł ją warkot silnika. Pod wpływem impulsu otworzyła gwałtownie drzwi i zeszła po schodach, z trudem utrzymując się na galaretowatych nogach. Na ostatnim schodku przystanęła i spojrzała na salon.

Martynka z Julkiem biegali wokół stołu, a jedno próbowało złapać za rękę drugie, lecz ich cztero- i pięcioletnie kończyny były za krótkie. Dzieci nie mogły się zdecydować, w którą stronę uciekać, więc zwodziły się nawzajem, piszcząc radośnie, kiedy któreś z nich niespodziewanie przybliżało się do drugiego. Na ich małych, rozbawionych twarzyczkach wykwitły rumieńce. Włosy kleiły się do spoconych czół, a roziskrzone radością, szeroko otwarte oczy emanowały czystym szczęściem. Klara siedziała na krześle i karmiła piersią Michałka, który zdawał się nie słyszeć szalejącego w pokoju rodzeństwa. Wpatrywał się w mamę jak w obraz, przesuwając rączką wzdłuż pukla jej jasnych włosów, który Klara zawsze celowo wypuszczała z upięcia, wiedząc, że dziecko lubi się nim bawić podczas karmienia. Unieruchomiona, próbowała upominać starsze dzieci, lecz jej uwagi nie przebijały się ponad krzykami synka i córeczki. Dzieci nie ucichły nawet wtedy, gdy warkot silnika dał się słyszeć tuż za oknem. Po chwili z auta ktoś wysiadł i na podjeździe rozległy się kroki.

Klara spojrzała z przestrachem na siostrę.

– Nie wychodźcie z domu – rzuciła szorstko Emilia i nie wdając się w dyskusję, podeszła do drzwi.

Otworzyła je na oścież w momencie, gdy mężczyzna uniósł rękę, by zapukać.

– *Guten Tag*[31] – odezwał się na jej widok spokojnym, lekko znudzonym głosem, jakby ta sytuacja była dlań chlebem powszednim, a on sam zmęczonym sprzedawcą badziewia, którego nikt nie chciał kupić.

– *Guten Tag* – odpowiedziała mechanicznie Emilia, wpatrując się w niego pełnym zaskoczenia wzrokiem.

Niemiec wydawał się niewiele starszy do niej. Ogolona z dbałością twarz błyszczała od potu, lecz nadal unosił się wokół niego przyjemny zapach ciężkiej wody kolońskiej. Emilia nieświadomie zaciągnęła się nim i poczuła zawroty głowy – od tak dawna nie znalazła się w towarzystwie przystojnego, dobrze wyglądającego mężczyzny. Przebiegła wzrokiem po jego twarzy, jak niegdyś, gdy przyglądała się obcym ludziom, by później móc nanieść na płótno nieznane dotąd rysy.

Przybysz miał pociągłą, smukłą twarz, wolną od zmarszczek. Lekko zaokrąglone łuki brwi sprawiały, że wyglądał na nieco zaskoczonego, a oczy okazały się tak błękitne, że Emilia odniosła wrażenie, jakby przezierało przez nie wznoszące się za jego głową bezchmurne niebo. Był ubrany w mundur i czapkę oficerską, lecz uwagę dziewczyny przykuł kołnierz z patkami w kształcie rombów i dwóch liter „S”. Ich kształt kojarzył się jej z błyskawicami.

Mężczyzna powiedział coś, czego nie dosłyszała i czego prawdopodobnie mogłaby nie zrozumieć. W jednej chwili pożałowała, że mimo namowy babki nie szlifowała języków obcych, a niemiecki znała w bardzo niewielkim stopniu. Rozejrzała się po podjeździe; obok samochodu ciężarowego stało kilku mężczyzn odzianych w ciemnozielone mundury. Patrzyli na nią z wściekłością, jak psy wyszkolone do ataku.

Ten stojący przed Emilią powtórzył polecenie. Teraz wychwyciła z niego znajome zwroty: „trzeba pracować”. Ale czego dokładnie od niej chcieli? Widząc jej niezdecydowanie i brak reakcji, Niemiec zaczął się niecierpliwić, a w jego spojrzeniu rozbłysnęły iskry złości. Jego towarzysze, z dłońmi na kaburach pistoletów, zaczęli iść w jej stronę.

Emilia stała jak otępiała. Wszystko wokół ucichło. Do jej uszu nie docierały dźwięki zabaw dzieci ani słowa Klary, która próbowała poskromić małych urwisów. Słyszała tylko dudniącą w głowie komendę, której znaczenia nie rozumiała.

– *Was ist passiert*?[32] – usłyszała tuż przy uchu melodyjny głos Klary.

Obróciła się gwałtownie.

Siostra stała tuż przy niej, trzymając na rękach Michałka, który wczepił się w ciało matki jak mała małpka, mocno obejmując za szyję. Za jej plecami, w korytarzu pojawiły się wystraszeni Martyna i Julek. Na ten widok Emilia mocno zacisnęła zęby, starając się zapanować nad strachem, który przejął jej ciało i paraliżował zmysły.

Po kilkunastu sekundach, kiedy Klara w dość swobodny sposób rozmawiała z żołnierzem, próbując go zauroczyć i w ten sposób nieco zmiękczyć, Emilia doznała wrażenia, że wraca do niej trzeźwość myśli. Świadomość, że ma obok siebie siostrę, która najwidoczniej doskonale opanowała sztukę radzenia sobie ze stresem, sprawiała, że dziewczyna poczuła się nieco pewniej.

Spojrzała na Niemca. Jego twarz złagodniała; kokieteryjne zachowanie Klary wyraźnie mu się podobało. Emilia z zaskoczeniem spostrzegła, że od chwili, gdy nieco się uspokoiła, dużo łatwiej przychodziło jej zrozumienie poszczególnych słów. Nadal nie rozumiała wszystkiego, ale zorientowała się, w którą stronę zmierza rozmowa. Kiedy jednak próbowała się wtrącić, siostra zignorowała ją, otworzyła drzwi na oścież i wykonała zamaszysty gest, zapraszając żołnierzy do środka.

– Zmykajcie na górę – powiedziała do dzieci, lecz te, widząc uzbrojonych mężczyzn, przywarły do maminej spódnicy, ani myśląc ją puścić.

Klara zaśmiała się i zaszczebiotała coś o tym, że wielką sztuką jest poskromić dzieci w tym wieku. Emilia poprowadziła Niemców do salonu.

– Widzi pan, jesteśmy tu same z małymi dziećmi – kontynuowała Klara poufałym tonem, idąc za nimi wraz z oficerem.

– To nie ma znaczenia.

– Doprawdy sądzi pan, że takie wątłe dziewczyny przydadzą się w pana kraju?

Mężczyzna, wyraźnie zmęczony upałem, usiadł na prostym, skrzypiącym krześle, zdjął czapkę i odłożył ją na blat starego stołu, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł sobie mokre od potu czoło. Jego kompani stali w drzwiach niczym cesarscy pretorianie, wspierając dłonie na kaburach pistoletów i świdrując spojrzeniem młode kobiety, jak gdyby stanowiły dla ich przywódcy zagrożenie.

– Nie ja tu ustalam zasady – powiedział oficer zniecierpliwionym tonem. – A te mówią jasno: Rzeszy Niemieckiej potrzeba robotników. Widziała pani ciężarówkę, jest tam już kilka osób z obejścia. One też nie były zadowolone z tej decyzji, ale nie ma wyboru. Rozkaz jest jasny. Mamy zabrać po jednej osobie z każdego domostwa.

Klara zacisnęła zęby, przez co jej usta wydęły się i sprawiały wrażenie jeszcze pełniejszych, niż były w rzeczywistości. Spojrzała w okno, a Emilia podążyła za nią wzrokiem. Dopiero teraz zauważyła, że na pace ciężarówki siedziało kilku mężczyzn. Emilia wzdrygnęła się, gdy dostrzegła wśród nich chłopaka, którego kojarzyła z sąsiedniej wsi. Nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat, ponieważ jego matka przychodziła dawniej do Dreznalów pracować w polu i Emilia pamiętała czas, w którym chłopiec przyszedł na świat. Wystraszonych i zdezorientowanych ludzi strzegło trzech żołnierzy, mierząc w ich stronę z karabinów.

Zerknęła z powrotem na oficera, który pochłaniał wzrokiem Klarę. Wyraźnie mu się podobała, ale mimo to nie dał się zwieść jej szczebiotom ani trzepotaniu rzęsami.

– O czym on mówi? – odważyła się zapytać siostrę, czując, jak stres wzbiera w jej ciele coraz wyższą falą.

– Przyjechali zabrać kogoś do Niemiec. Potrzebują ludzi do pracy. Z każdego domu ma jechać jedna osoba – powiedziała niesłychanie szybko Klara, jednocześnie nie spuszczając wzroku z Niemca, a kiedy ten, zaskoczony jej polską wymową, zmarszczył brwi, uśmiechnęła się serdecznie i dodała płynną niemczyzną: – Moja siostra nie dosłyszała pańskiego polecenia. Nie zna dobrze niemieckiego, więc jak pan widzi, nie przyda się w pańskim kraju. Będziemy tylko zbędnym balastem. Jestem pewna, że w innym domu znajdą panowie właściwsze osoby do pracy.

– Nie przyjechałem tu dyskutować – odparł twardo Niemiec. – Rozkaz to rozkaz. Jedzie albo pani, albo siostra.

– Chyba że w domu jest ktoś jeszcze – wtrącił się stojący przy drzwiach żołnierz.

– Tak. – Oficer zmrużył oczy. – Chyba że jest tu ktoś jeszcze, o kim panie zapomniały wspomnieć. – Spojrzał badawczo na Klarę i Emilię.

– Ależ skąd! – obruszyła się Klara.

– Wydaje się pani rozsądną kobietą. Wie pani zatem, że mężczyźni nie lubią, kiedy gra się z nimi w kotka i myszkę. Zwłaszcza jeśli wykonują rozkazy, z których są rozliczani – rzekł, jak gdyby to zdanie miało go usprawiedliwić. – Jeśli więc nie ma w tym domu żadnych mężczyzn, wybór jest niewielki. Pani czy siostra?

– Ja – powiedziała donośnie Emilia i zrobiła krok do przodu.

– Nie odzywaj się! – warknęła Klara, piorunując ją wzrokiem, lecz Emilia w odpowiedzi tylko wyprostowała się jak struna i posłała jej spojrzenie pełne akceptacji i zrozumienia.

Czuła, że to przeciąganie liny może źle się dla nich skończyć, a wybór był przecież oczywisty. Klara nie mogła jechać do Niemiec.

Miała małe dzieci, którymi należało się zająć. Poza tym Michałek pił jeszcze mleko. Jakże więc Emilia miałaby go wykarmić, gdyby Klara wyjechała? Zwłaszcza teraz, kiedy panowała susza… Nie mogła zabierać dzieciom matki. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Kolejny raz musiała więc poświęcić się dla dobra rodziny.

Nie znała Niemców, nie wiedziała, do czego są zdolni; ale na własnej skórze przeżyła terror władzy sowieckiej i była świadoma konsekwencji, jakie mógł wywołać sprzeciw wobec narzuconych reguł. I za nic w świecie nie chciała już tego doświadczyć. Otworzyła usta, by zwrócić się do oficera.

– Nie odzywaj się! – powtórzyła groźnie jej siostra.

– *Ich…* – zaczęła Emilia, ignorując ją i patrząc mężczyźnie prosto w oczy. – *Ich werde nach Deutschland gehen*[33] – odparła, mając nadzieję, że wyraziła się jasno i poprawnie.

– *Großartig! Packen Sie ein. Du hast zehn Minuten*[34].

* * *

Po wielu dniach morderczej drogi przeładowanym pociągiem towarowym skład wreszcie zatrzymał się na stacji, a umęczeni upałem i głodem, przesiąknięci fetorem własnych odchodów Polacy mogli wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Emilia, mrużąc oczy, przeszła kilka kroków po udeptanej ziemi, z której tu i ówdzie wystawały rzadkie kępy trawy. Z początku widziała tylko to; zgięta wpół, nie mogła się wyprostować. Po wielu dniach i nocach nieustannego stania jej ciało, omdlałe z niemożliwości zaznania odpoczynku, pompowało jej do głowy błagalne prośby o to, by położyła się na ziemi, lecz opierała się im z obawy, że gdy pokaże słabość, zostanie uznana za chorą i niezdatną do pracy przez patrolujących peron esesmanów.

Nie mogła do tego dopuścić. W wagonie wypełnionym ludźmi, z którymi spędziła ostatnie dni, dowiedziała się zatrważających

wieści o obozach koncentracyjnych, do których trafiali wszyscy niezdolni do pracy w Rzeszy. Stamtąd nie wychodziło się żywym. Podczas ostatniego postoju i selekcji przeprowadzonej przez esesmanów na taki los skazano kilka starszych osób, które znalazły się w transporcie.

Kiedy usłyszała ujadanie psów i głośny stukot oficerskich butów przy ogromnym, częściowo zburzonym budynku dworca, zacisnęła mocno zęby i wyprostowała się, choć wcześniej zmiana pozycji skamieniałego ciała zdawała się niemożliwa. Zdusiła w sobie bolesny jęk i łzy napierające do oczu, po czym uniosła wysoko głowę, by pokazać, że jest silna i nadaje się do wykonania powierzonego zadania, jakiekolwiek by ono było.

Żołnierze w mgnieniu oka podzielili wylewającą się z wagonu masę ludzką na tych, którzy byli młodzi, sprawni i wyszkoleni, oraz zniedołężniałych wiekiem i tych, którzy w wyniku potwornej przeprawy znacznie podupadli na zdrowiu.

Dwóm cywilom, którzy znaleźli się w grupie z Emilią, nakazano opróżnić wagon. Ze zgrozą patrzyła na zastygłe w udręczeniu martwe ciała, które leżały powykręcane na ubrudzonej odchodami podłodze wagonu. Chciała obrócić się i zwymiotować, lecz siła woli, by nie okazywać słabości, kazała jej pozostać w bezruchu. Po dłuższej chwili, gdy wszystkie trupy wyrzucono na zewnątrz, esesmani nakazali grupie Emilii, by udali się do zniszczonej bombardowaniem hali dworca. Pozostali mieli z powrotem wsiadać do pociągu.

Na peronie wzniosły się lamenty i krzyki kilku kobiet, które zostały rozdzielone ze swoimi rodzicami lub mężami, niewiele starszymi od nich. Błagalne prośby o to, by pozwolić im zostać razem, uciszył strzał z pistoletu, który powalił na ziemię jedną z wołających. Ludzie wokół zamarli, ucichli. Po chwili słychać już było tylko ciche łkanie mężczyzny, trzymającego w ramionach martwą kobietę, z której głowy cienkim strumieniem wypływała krew.

Emilia pomyślała, jak wielkie jest jej szczęście w nieszczęściu, bo niemiecki oficer nie nakazał opuścić domu w Maliniczach również Klarze i dzieciom. Z duszą na ramieniu weszła wraz z innymi do walącego się budynku dworca. Wielu współtowarzyszy podróży postanowiło tu odpocząć; kładli się pokotem tam, gdzie się dało, byleby tylko pozwolić pozwolić wytchnąć umęczonym ciałom. Emilia postanowiła nie zapuszczać się w głąb hali; znalazła skrawek przestrzeni tuż przy oknie, które w wyniku bombardowania straciło szyby i część futryny.

Nim ułożyła się na podłodze, zerknęła jeszcze na peron, gdzie esesmani zamykali od zewnątrz brudny i śmierdzący wagon. Po chwili ciężka lokomotywa ruszyła, pociągając zgromadzonych w nim nieszczęśników na południe.

– Straceńcy – usłyszała za sobą. Obróciła się i ujrzała niewiele starszą od siebie kobietę, której bladość skóry żywo kontrastowała z czerwienią rozsypanych wokół cegieł.

– Ja żywię nadzieję, że nie trafią do obozu – odparła Emilia.

– A ja jestem o tym niemal przekonana – rzekła tamta. – Boże, miej ich w opiece. – Wykonała w powietrzu mały znak krzyża, patrząc za odjeżdżającym pociągiem. – Prześpij się – zwróciła się do Emilii – póki jeszcze masz jakieś miejsce leżące.

Emilia rozejrzała się na boki. Wystarczyła chwilka rozmowy, by wokół niej rozłożyli się zmarnowani ludzie i niemal od razu zasnęli. Skinęła głową w geście podziękowania do swojej rozmówczyni, próbując nie myśleć o tym, co ich spotyka. Bała się, że kiedy tylko zacznie szeregować w głowie wszystkie tragiczne sytuacje z podróży, załamie się, a wtedy podczas kolejnej selekcji zostanie wysłana tam, skąd nie ma już powrotu.

Ułożyła się na małym, zakurzonym skrawku podłogi, która niegdyś musiała tworzyć piękną mozaikę z kafelków. Jej ciało, napięte do granic możliwości, nie odczuwało dyskomfortu z powodu twardego podłoża – to i tak było lepsze niż wielogodzinne stanie

w śmierdzącym wagonie towarowym. Ułożyła sobie pod głową niewielką torbę, w której trzymała kilka zabranych z domu osobistych rzeczy, pajdę suchego chleba chowanego na najczarniejszą godzinę oraz dokumenty potwierdzające jej tożsamość. Zamknęła oczy i postanowiła zasnąć, przywołując w pamięci beztroskie dzieciństwo w Maliniczach, kiedy jeszcze wszyscy, których kochała, byli obok niej.

* * *

Staszek Adamiec wraz z kilkunastoma mężczyznami stał z rękoma nad głową przed murem kamienicy przy ulicy Zielonej w Jędrzejowie. Ciszę przerywał jedynie miarowy szum rzeki Brzeźnicy, przepływającej tuż za ich plecami. Ramiona im omdlewały, nie odważyli się jednak ich opuścić. Wiedzieli, że muszą wytrzymać, ponieważ wystarczył jeden nieopatrzny ruch, by dostać kulkę. A nawet kilka, bo karabinów w nich wycelowanych było sporo.

Stojąc nieruchomo, Staszek nie spuszczał wzroku z esesmanów. Dobrze znał już zasady tej gry, które Niemcy ustanowili w Jędrzejowie ponad dwa lata wcześniej. Jeżeli człowiek chciał utrzymać się przy życiu i wyjść z tej patowej sytuacji, musiał robić wszystko, co każe okupant. A ten nakazywał teraz stać przy murze w oczekiwaniu na ciężarówkę, która zapewne zawiezie ich do miejsca kaźni.

Staszek znał takie miejsca tylko z opowieści. Na szczęście przez ostatnie lata udawało mu się jakoś uchronić od zimnej metalowej lufy niemieckiego karabinu. Jednak nawet największemu szczęściarzowi kiedyś los przestaje sprzyjać. I Staszek wiedział, że oto nastała pora, w której należy przestać szarżować.

W tej sytuacji nie przyda mu się jego spryt. Na nic też się zdadzą pełne skrzynki nielegalnie pędzonego w piwnicach Jasieniówki alkoholu. Mógł się poddać lub znaleźć sposób, by tę porażkę przemienić w sukces.

Nie spuszczając wzroku z esesmanów, szybko przeanalizował w głowie swoją sytuację i uznał, że dobry los jeszcze go nie opuścił. Gdyby bowiem złapali go poprzedniego dnia podczas próby kolportażu polskich ulotek czy nocą w trakcie przenoszenia do piwnicy jednego z polskich konspiratorów dwudziestu sztuk amunicji zrabowanych Niemcom, byłoby z nim krucho. A tak – nic szczególnego na niego nie mieli. Z rana udało mu się już dostarczyć wiadomość do jego przywódcy z konspiracji. Torba świeciła więc pustkami, a w kieszeni spodni znajdą tylko dokumenty poświadczające jego tożsamość. Był czysty. Miał tylko nadzieję, że łapanka nie miała na celu schwytania kolejnych nieszczęśników przeznaczonych do obozów koncentracyjnych, ale że miały się w niej znaleźć osoby, które zostaną wysłane do pracy w Rzeszy. Słupy informacyjne od dawna oblepiano kolejnymi plakatami, z których krzyczały hasła, by zgłaszać się na roboty. Staszek lubił je zdzierać, kierując się zasadą, że im mniej osób uwierzy w hitlerowską propagandę na temat dobrowolnej, dobrze płatnej pracy dla Polaków, tym mniej wdepnie w to gówno, z którego raczej nie było już powrotu.

A jednak teraz, kiedy pod kamienicę podjechała pusta wojskowa ciężarówka, pomyślał, że lepiej chyba, żeby skierowano go do pracy. W końcu dwa razy dostał już wezwanie do Arbeitsamtu, mieli więc jego dane w kartotekach, ale dotąd nie skorzystał z tego zaproszenia. Gdyby w Jędrzejowie żyła jakaś jego rodzina, może inaczej podszedłby do tej sprawy, wiedząc, że za zwłokę bliskich aresztowano by jako zakładników, dopóki nie wypełni obowiązku narzuconego przez okupanta. Tymczasem, będąc z dala od domu rodzinnego, uważał, że może do woli igrać z losem.

– Byle nie do Auschwitz – usłyszał zduszony szept młodego chłopaka, stojącego po jego prawej stronie, i poczuł, jak zimna kropla potu spływa mu po skroni.

Wiele słyszał o tym obozie od chłopaków, którzy próbowali w okolicy zorganizować grupę dywersyjną. I nie było w tych pogłoskach ani jednego dobrego słówka o tamtym miejscu.

Dlatego niemieckie pola czy fabryki jawiły mu się teraz jako wybawienie z opresji. Niewiele myśląc, postanowił uczynić wszystko, by dostać się do pracy. Grzecznie ustawił się w kolejce do ciężarówki, układając sobie w głowie wszystkie niemieckie słowa, które poznał i które zaprowadziłyby go do buskiego Arbeitsamtu, lecz gdy zagaił jednego z żołnierzy, ten, zbity z tropu niecodziennym zachowaniem Polaka, zaczął krzyczeć, żeby Staszek szybko wchodził na pakę, a drugi, jakby na potwierdzenie tego rozkazu, wystrzelił z karabinu w powietrze.

Staszek z duszą na ramieniu i czując na sobie pełne złości i przestrachu spojrzenia współaresztowanych, wskoczył do auta, ściskając w rękach znoszoną torbę, po czym zasiadł wśród pozostałych na podłodze wojskowej ciężarówki.

Po chwili samochód ruszył z impetem i niedługo potem znaleźli się naprzeciw jędrzejowskiej siedziby Gestapo, na widok której Staszkowi zmiękły kolana.

– Wysiadać, szybko! – wrzasnął esesman.

Mężczyźni posłusznie wysiedli i w asyście uzbrojonych żołnierzy skierowali się do budynku.

Gdy znaleźli się w środku, idący na końcu pochodu Staszek zorientował się, że zaprowadzili ich do piwnicy. W ciemnym i długim wilgotnym korytarzu intensywny zapach krwi mieszał się ze smrodem uryny. Atmosfera tego miejsca wywoływała napięcie, które niczym trujący dym osiadało na skórze i wnikało głębiej, do kolejnych jej warstw. Odgłosy kroków aresztowanych i twardych stąpnięć esesmanów odbijały się od ścian. Korytarz, oświetlony mdłym światłem brudnych lamp rozmieszczonych z rzadka na suficie, zdawał się nie mieć końca.

Gdzieś z przodu rozległy się metaliczne skrzypnięcie i głośny zgrzyt otwieranej zasuwy. Aresztanci zaczęli kolejno znikać w celi. Kroki cichły. Staszek starał się utrzymać tempo, choć nogi pod nim miękły, a w plecy kłuło go zimno lufy karabinu. Ze stresu nawet nie czuł zmęczenia ani że gardło wyschło mu na wiór. Próbował opanować gwałtowność bijącego serca, by móc w pełni świadomie odbierać wszystkie dźwięki. A te zdawały się narastać. Nie miał pewności, czy przyprowadzono właśnie kolejnych ludzi zgarniętych w łapance, czy była to zmiana warty. Kiedy jednak stanął przed wejściem do celi, wszystko stało się jasne.

– *Halt!* – usłyszał za sobą i znieruchomiał. – *Geben Sie ihn mir zum Verhör*[35].

Żołnierz za nim popchnął Staszka naprzód, po czym wielkie drzwi do celi, w których zniknęli inni, zatrzasnęły się z łoskotem, a żołnierz, który je zamknął, wyminął Staszka i otworzył pokój na końcu korytarza, po czym przywołał chłopaka gestem, by ten wszedł za nim. W środku prócz stolika i dwóch krzeseł leżały również kije, pałki, pejcze oraz metalowy ciężki łańcuch.

Nim Staszek zdążył usiąść, usłyszał charakterystyczny świst i następujący po nim gwałtowny ból w plecach. Zgiął się wpół, przytrzymując oparcia krzesła, lecz nie zdołał złapać równowagi i zwalił się na podłogę, przewracając przy tym mebel. Ten widok rozbawił żołnierzy. Nim Staszek zdążył zebrać się i wstać, mocne szarpnięcie za włosy porwało go w górę. Jeden z żołnierzy wykręcił mu ręce, skuł je czymś ciężkim i zimnym, po czym posadził na krześle naprzeciw stołu, za którym siedział już funkcjonariusz SS. Nieco zirytowany, może nawet zmęczony, spojrzał na Staszka spode łba, po czym wypluł z siebie ciąg niemieckich słów, z którego Adamiec zrozumiał ledwie kilka najbardziej podstawowych.

– Stanisław Adamiec – odparł. – Robotnik rolny. Kolejarz.

Obok Niemca pojawił się człowiek o pociągłej orlej twarzy i surowym spojrzeniu; szybkim ruchem smagnął pejczem o kant

stołu i kolano Staszka. Chłopak mimo długich nogawek poczuł na nodze przeszywający ból.

– To w końcu się zdecyduj: robotnik czy kolejarz?! – warknął esesman za stołem, a mężczyzna z pejczem przetłumaczył zdanie na polski, choć z wyraźnym śląskim akcentem.

Staszek już wiedział, że stoi przed nim Wincenty Kapuściński, który ledwo kilka miesięcy wcześniej przyjechał do Jędrzejowa i przez ten czas zdążył się okryć złą sławą brutalnego tłumacza, który na usługach Niemców był ponoć jeszcze przed wojną. Parę dni temu do Staszka dotarły informacje, jakoby Kapuściński zmienił nazwisko na Helmut Kapp, jednak dopiero teraz ujrzał pierwszy raz tę zdradziecką mordę.

– Po tym, jak zbombardowano tory na mojej trasie, zostałem bez pracy. Ledwo co wróciłem do rodzinnego Jadwinowa i pomagam rodzicom w gospodarstwie, ale dziś rano dostałem skierowanie do pracy z buskiego Arbeitsamtu.

– To czemu nie jesteś teraz w Busku?

– Przyszedłem do Jędrzejowa po buty. Chciałem kupić nowe i później niezwłocznie stawić się w Busku. Bez butów nie zdobędę odpowiedniej pracy, a nie chciałbym naciągać na taki koszt nowego pracodawcy – wypalił bez namysłu, a na dowód swoich słów spojrzał na znoszone trzewiki.

Poczuł na karku mocne uderzenie. Przenikliwy, tępy ból przebiegł elektryzującym prądem po jego plecach, a kiedy Staszek uniósł głowę, mocny sierpowy spadł na jego lewy policzek.

– Łżesz, sukinsynie!

– Przysięgam, że to prawda.

– Gówno prawda! W tym mieście nie ma szewca!

– Ale… – zaczął, lecz kolejny cios Kappa był tak mocny, że na kilka chwil Staszek stracił przytomność.

Kolejne mocne szarpnięcie za włosy ocuciło go. Uniósł głowę, czując krew w ustach. Przesunął językiem po zębach i z ulgą

stwierdził, że żadnego nie brakuje, a krew jest pewnie wynikiem rozciętej wargi. Ból z policzka promieniował do skroni, jakby pod skórą zalęgł mu się rój pszczół, które jednocześnie atakowały okolicę kości, przez co twarz momentalnie zaczęła puchnąć. W takim tempie za chwilę przestanie widzieć.

– *Warum sind Sie nach Jędrzejów gekommen?* – zapytał siedzący za stołem esesman.

– Po co przyjechałeś do Jędrzejowa?! – wrzasnął Helmut Kapp, po czym warknął jak wściekły pies.

– Do szewca. Mówiłem już. Nie wiedziałem, że się zamknął. Dawno mnie tu nie było, a zakład zawsze się mieścił na Kilińskiego w mieszkaniu Rosenberga.

Staszek celowo podał tę lokalizację. W obrębie ulic Kilińskiego, Głowackiego, Duh-Imbora oraz Pińczowskiej zorganizowano getto żydowskie, w którym przetrzymywano kilka tysięcy ludzi.

– A więc przyjechałeś pomóc Żydkom w getcie?

– Nie wiedziałem, że tu getto – skłamał, starając się brzmieć naturalnie.

– Ale od Żyda chciałeś kupić buty – odparł Kapp z wyrzutem.

– Zawsze u niego kupowałem. Kiedyś to nie była zbrodnia.

– Gdzie masz zawiadomienie o wysłaniu na roboty?

– W domu – skłamał. Gromki śmiech żołnierzy odbił się echem w ciasnym pomieszczeniu. – Ale można przecież zatelefonować do Buska. Potwierdzą, że jestem na liście pracowników.

Wypowiedziana pewnym tonem odpowiedź na moment zbiła mężczyzn z tropu.

– Nie będziesz nam mówił, co mamy robić, śmieciu – usłyszał z ust Kappa, lecz nie zdołał odpowiedzieć, ponieważ kolejny mocny cios powalił go na ziemię i odebrał przytomność.

* * *

Emilię obudził płacz dziecka. Z trudem uniosła powieki. Głowa pulsowała jej niemiłosiernie od bólu, a ciało po wielogodzinnym leżeniu na twardej, zimnej posadzce skostniało i teraz każdy najlżejszy dźwięk wżerał się w jej uszy niczym uderzenie najpotężniejszego kościelnego dzwonu. Dziewczyna niemrawo rozejrzała się po hali dworca.

Ludzie, którzy porozkładali się, gdzie popadło, spali twardo, a może tylko udawali, że głośny płacz wcale do nich nie dociera. Ostentacyjnie zakrywali sobie uszy dłońmi lub fragmentami odzieży i kulili ramiona, byleby tylko jak najdłużej pozostać we śnie.

Pośrodku hali siedziała kobieta z piersią dyskretnie wysuniętą z dekoltu sukienki, bez rezultatu próbując nakarmić dziecko. Sama płakała bezgłośnie, usiłując je uciszyć. Emilia widziała, jak na jej twarzy maluje się wyraz bezsilności. Tej samej, którą dostrzegła u swojej siostry Klary, kiedy jej również z niedożywienia brakowało pokarmu, a dziecko było już bardzo głodne.

Z trudem podniosła się z podłogi i podeszła do kobiety. Pomyślała, że jeśli zainteresuje sobą malca, ten przestanie płakać.

– Masz coś do jedzenia? – usłyszała na powitanie i przecząco pokręciła głową.

Sama była bardzo głodna. Od wielu godzin nie miała nic w ustach i czuła, jak z braku jedzenia wszystkie narządy w jej ciele się kurczą.

– Muszę go jakoś nakarmić, bo mi go zabiorą – szepnęła tamta.

– Dlaczego nie zostawiłaś go z kimś zaufanym? – rzuciła Emilia w przypływie impulsu. Dziecko krzyknęło głośno i ten dźwięk rozsadził jej czaszkę. – Przecież… – Cisnęło jej się na usta, że przecież nie pozwolą jej pracować z dzieckiem, ale widząc, jak wielki ból sprawiła dziewczynie swoim komentarzem, ugryzła się w język.

– Tylko jego mam na tym świecie – odparła nieznajoma, kołysząc rozszlochaną dziecinę w ramionach. – A już od dwóch dni brakuje mi pokarmu… – Głos jej się złamał.

– Daj. – Emilia wyciągnęła ręce. – Spróbuję go ukołysać. Mam wprawę.

Dziewczyna niechętnie podała jej dziecko. Chłopiec okazał się leciutki jak piórko, długi, ale bardzo szczupły. Nie mógł mieć więcej niż jej najmłodszy siostrzeniec, więc jego niespełna roczny brzuszek wymagał sporej ilości jedzenia. Dziecko spojrzało na nią lazurowymi oczami, w których tliła się nadzieja na ukojenie bólu, lecz kiedy znów głośno zaburczało mu w brzuchu, a Emilia prócz kościstych ramion nie zaoferowała mu nic więcej, rozpłakał się na dobre. Zrezygnowana oddała malca matce i rozejrzała się po dworcu.

Nie śmiała nikomu przerywać snu, więc próbowała znaleźć w tłumie kogoś, kogo również zbudził płacz dziecka. Lecz jedynymi osobami, które nie spały, byli żołnierze.

Rzucając im harde spojrzenia, podeszła do młodych esesmanów, którzy patrzyli na matkę, jak gdyby pierwszy raz w życiu widzieli nagą pierś. Ich dłonie natychmiast spoczęły na karabinach, lecz Emilia, czując w sobie zryw walki o sprawiedliwość, nie poczuła strachu.

– Potrzebujemy jedzenia – oznajmiła po niemiecku.

– A ja potrzebuję spokoju – odparł butnie nastolatek w nazistowskim mundurze.

– Nie będziesz go miał, jeśli ta kobieta i jej dziecko nie otrzymają jedzenia.

– Mam rozkaz was pilnować, a nie karmić.

– Jeżeli nikt ich nie nakarmi, to dziecko może umrzeć, ale zanim to się stanie, będzie ciągle płakać. Co powie twój dowódca, jeśli się dowie, że na twojej służbie zmarli pracownicy Rzeszy?

– To dziecko nie jest pracownikiem – odburknął drugi z chłopaków. – Nie będę tracił jedzenia na obce bachory.

– A przynajmniej nie za darmo. – Jego kompan był w wyraźnie dobrym nastroju. Spojrzał zawadiacko na Emilię.

Nabrała głęboko powietrza i mocno zacisnęła szczęki.

Nie miała pieniędzy. Wszystkie oszczędności zostawiła Klarze z myślą, że jej bardziej się przydadzą. Poza tym uznała, że skoro jedzie do pracy, na pewno na siebie zarobi. Miała jednak coś, co zabrała z domu w nadziei, że kiedyś może uratować jej życie. Jednak teraz, w obliczu walki o los tego dziecka, poczuła, że nie wolno jej zwlekać. Jeśli nie spróbuje ocalić chłopca, już nigdy nie będzie mogła spojrzeć sobie w twarz.

Ściągnęła z palca obrączkę i położyła ją na otwartej dłoni.

– Więcej nie mam.

Młodzi żołnierze spojrzeli po sobie, a później jeden z nich wyciągnął z kieszeni pajdę chleba, konserwę rybną i czekoladę.

– Ej, nie szarżuj – upomniał go kolega.

– Przecież dziś znów dostaniemy przydział – odparł tamten, po czym wziął od Emilii obrączkę i podał jej jedzenie.

Wróciła do kobiety i podzieliła czekoladę i pajdę po równo. Nieznajoma nie wierzyła własnym oczom; dziękowała wylewnie, ogromnie wzruszona, a kiedy Emilia otworzyła puszkę szprotek i przysunęła w jej stronę, nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Emilia znała to uczucie. Kiedyś, gdy popadłszy w stan okrutnego zezwierzęcenia, próbowała ukoić własny głód, w ten sam sposób patrzyła na Fiodora. Podarowany z litości talerz zupy był dla niej cenniejszy niż całe złoto świata.

Uformowały z chleba łódeczki i zjadły porcję ryby na pół, karmiąc malca okruszkami i maciupeńkimi kawałkami konserwy. Liczyły w duchu, że nie pochoruje się od tego, lecz naje się i zaśnie. Kiedy skończyły, ludzie zaczęli się budzić; być może intensywny zapach jedzenia wyrwał ich z sennych marzeń.

Kilka chwil później znów stali na peronie.

Esesman przeliczał wszystkich, by sprawdzić, czy pod osłoną nocy nikt nie uciekł. Emilia pomyślała, że ten żołnierz musiał być ślepy lub głupi, ponieważ z daleka było widać, jak wymęczyła ich podróż. Ludzie z tej grupy, nawet bez paraliżującego ich ciała bólu, nie byliby

w stanie przejść kilkuset metrów, a gdzieżby dopiero mówić o ucieczce?

Wyprostowała się, czując na plecach delikatny powiew wiatru. Wykrzykiwane przez esesmana kolejne liczby były coraz wyższe, aż nagle zwieńczył je głośny krzyk niezadowolenia, dobiegający z końca szeregu.

– Kto na to pozwolił? – wrzasnął esesman, po czym nie czekając na odpowiedź, w mgnieniu oka wyjął pistolet, odbezpieczył i strzelił.

Na peronie rozległo się wycie, wyrażające rozpacz tak silną, że stała się udziałem wszystkich w tym szeregu. Emilia nie odważyła się wychylić, by sprawdzić, co się stało, bo niedowierzanie unieruchomiło jej członki i otępiło wolę, podczas gdy rozpacz matki wzbijała się w niebo, póki kolejny wystrzał z pistoletu nie uciszył jej na zawsze.

Zapadła cisza. Wokół słychać było tylko żwir chrzęszczący pod ciężkimi butami esesmana, który chodził teraz po peronie i bacznie przyglądał się po kolei wszystkim ofiarowanym Rzeszy pracownikom przymusowym, być może szacując, czy nadają się do tego zadania. Minuty dłużyły się jak godziny. Palące słońce oślepiało oczy i Emilii zaczęło kręcić się w głowie. Kiedy więc usłyszała dobiegający z oddali stukot kół pociągu, poczuła dziwną ulgę, że przynajmniej ten koszmar wreszcie się skończy.

Kiedy pociąg podjechał, z trudem do niego wsiedli, pomagając sobie wzajemnie. Emilia, porażona tym, co rozegrało się na peronie, stanęła przy drzwiach, czując, że nie ma siły postawić ani jednego kroku.

W bydlęcym wagonie było teraz znacznie więcej miejsca i ludzie wyraźnie odetchnęli, że dalszą podróż będą mogli spędzić na siedząco i dać ukojenie bolącym nogom. Pociąg jednak nie ruszał, a esesmani z karabinami w gotowości na zmianę obracali się przez ramię, zerkając w stronę drogi prowadzącej do niewielkiego, widocznego z oddali miasta.

Emilia, stojąc przy drzwiach, syciła wzrok jego panoramą, wiedząc, że przez najbliższe godziny w mroku zamkniętego wagonu będzie widzieć jedynie zarys ciemnych postaci. Z początku rozmowne, będą umilać jej podróż, lecz wraz z upływem czasu słowa staną się rzadsze, aż w końcu zapadnie milczenie, a cisza, przerywana jedynie rytmicznym stukotem, będzie jej dzwonić w uszach, próbując doprowadzić do obłędu, stanu wyczerpania oraz paniki, że lada moment panująca w wagonie duchota zabierze jej ostatnie cząsteczki tlenu i pozbawi życia.

Po paru minutach na peronie pod eskortą żołnierzy pojawiło się kilkunastu mężczyzn. Emilia popatrzyła na nich z niedowierzaniem, czując narastającą złość, ponieważ stało się jasne, że dalsza podróż, nie wiadomo jak długa, nie będzie tak komfortowa, jak początkowo zakładała.

Postanowiła za nic w świecie nie opuszczać swojego miejsca, które wydawało jej się jedynym środkiem na przetrwanie tego koszmaru; tylko tu, przez szparę przy zasuwach, czuć było delikatny powiew. Przywarła ramieniem do ściany wagonu, patrząc z napięciem na wchodzących do środka mężczyzn. Modliła się w duchu, by esesman już skończył ich liczyć. Czuła, jak powietrze wokół gęstnieje. Za plecami słyszała pełne niezadowolenia sapnięcia współtowarzyszy podróży, którzy jako pierwsi zostali wpakowani do wagonu i teraz gnietli się pod przeciwległą ścianą.

I wtedy zobaczyła jego.

Wszedł do wagonu jako jeden z ostatnich i od razu skierował się w jej stronę. Ich spojrzenia się skrzyżowały, a słońce wpadające przez otwarte drzwi oświetliło jego zawadiacką, niezmienioną mimo upływu czasu twarz. Zatopiła się w jasnych oczach, które mogły należeć tylko do jednego człowieka na tej ziemi.

– To ty – powiedzieli niemal jednocześnie.

Mężczyzna, który dziesięć lat temu uratował jej ojca i który teraz miał wyjechać razem z nią na sam kraniec ogarniętego wojną świata.

* * *

Staszek miał wrażenie, że zna ją od zawsze. Zupełnie jakby poznali się w innym życiu i przyrzekli sobie na wieczność. Była kobietą, której się nie zapomina i o której nawet po latach myśli się jako o tej, która odmieniła życie. Szeptali ze sobą tak, jakby rozstali się ledwie wczoraj na rozwidleniu dróg, którymi wspólnie kroczyli przez minione wieki. I zdawały się nie przeszkadzać im okoliczności, w jakich teraz się spotkali. To nie miało znaczenia. Najważniejsze, że znów byli razem.

Przez kilkucentymetrową szparę w drzwiach wagonu wpadało nikłe światło. To jednak wystarczyło, by jej twarz wyłaniała się z dusznego mroku i wprawiała go w zachwyt.

Patrzył na nią nieprzerwanie, spijając z pełnych ust każde słowo i każdy uśmiech, który od razu jej oddawał. Miniony czas upiększył jej rysy. Choć była osłabiona i brudna, jemu wydała się idealna, jak kwiat kosaćca na łące pełnej pospolitych chwastów. Ponadprzeciętnej urody, czarująca, naturalnie piękna. Niepasująca do tych urągających warunków. A jednak była tu – z nim. To spotkanie odbierał jako cud. Jak rozbłysk komety na czarnym niebie.

– Jak się ma twój ojciec? – zapytał w końcu, kiedy już opowiedział jej o tym, co działo się podczas jego ucieczki z ZSRS, o Maćku Fleszarze, który zginął od kuli rosyjskiego żołnierza, o polowaniu, jakie urządzono na niego w pasie przygranicznym. Mówił o przesłuchaniach po polskiej stronie, którym go poddawano, bo podejrzewali, że jest jednym z rosyjskich szpiegów, przepuszczonym przez granicę, by zdawać raporty z sytuacji politycznej, odraczające w czasie podpisany kilka tygodni później w Moskwie pakt o nieagresji, który i tak został przez Rosję zerwany pięć lat później.

Oczy dziewczyny zaszkliły się, usta zacisnęły, a wzrok powędrował ku ciemnej ścianie wagonu.

Staszek poczuł ukłucie w sercu, trafnie wyczytując z jej reakcji odpowiedź na swoje pytanie. Wyciągnął do niej dłoń, próbując pogłaskać dziewczynę po ramieniu, lecz po chwili jego rękę przeciął delikatny strumień światła tuż przy jej policzku. Niewiele myśląc, położył na nim kciuk i pogładził delikatnie w stronę ust, pozostałe palce chowając za jej ucho i zatapiając opuszki w miękkich, wilgotnych od potu włosach. Miała ciepłą, aksamitną skórę, pokrytą delikatnym meszkiem i w styku z nią Staszek poczuł nieznane wibracje, które obudziły w jego ciele coś dotąd zupełnie mu nieznanego.

Przez ułamek sekundy obawiał się, że za bardzo, za szybko naruszył jej przestrzeń, lecz ona nie wzdrygnęła się, nie odtrąciła jego ręki ani nie skarciła go spojrzeniem. Zamiast tego położyła na jego dłoni swoją i popatrzyła mu w twarz oczyma pełnymi cierpienia, strachu oraz pustki, której żadna siła tego świata nie była w stanie wypełnić. Nie potrafił wytrzymać tego spojrzenia, które z nagła wypełniło go równie wielkimi tęsknotą i smutkiem. Przyciągnął ją do siebie, a ona instynktownie wtuliła się w jego ramiona. Dobrze wiedział, że nie jest to wyraz zauroczenia ani miłosne pożądanie, ale potrzeba ukojenia. Potrzeba utulenia, którego sama nie potrafiła sobie ofiarować.

Nie mógł wydusić z siebie słowa, ale nade wszystko pragnął przynieść jej ulgę. Zwłaszcza w chwili, gdy na piersi, w miejscu, którego nie okrywała rozerwana podczas przesłuchania koszula, poczuł wilgoć spływającej łzy i następujący po niej dreszcz niemego ciała dziewczyny, które nie potrafiło pogodzić się ze stratą i zdawało się nie mieć w sobie dość siły, by żyć dalej bez bliskich.

– Przepraszam – wychrypiała po chwili, płosząc się i podnosząc głowę z jego piersi.

– To ja przepraszam. Nie powinienem pytać. Widziałem, w jakim był stanie.

– Och… Nie… To stało się później. Po tym, jak mu pomogliście, tata wyzdrowiał i miał się dobrze. – Uśmiechnęła się niemrawo, choć nad jej uśmiechem zawisł cień smutku. – To wszystko wydarzyło się tak nagle. Wiesz, czasem myślę, że dużo łatwiej pogodzić się ze śmiercią, kiedy przychodzi zapowiedziana. Kiedy widzisz, że się zbliża, że powoli zabiera z ciała ostatnie tchnienia, przygotowując cię na to, co nieuniknione.

– Nie da się przygotować na śmierć. Ona zawsze jest zaskoczeniem, jak kamień rzucony na serce, tak ciężki, że nie zdołasz go odrzucić. To coś, czemu twoje ciało zawsze się przeciwstawi, bo do ostatniej sekundy żywiło nadzieję, że czas odwróci swój bieg.

W jej oczach znów rozbłysły łzy. Kruchość tej dziewczyny sprawiła, że nie potrafił stać obojętnie. Objął ją ramieniem, pewnie i śmiało; tu, w wagonie pędzącym ku nieznanej ziemi, był jej jedynym oparciem. Czuł się za nią odpowiedzialny – i chciał ją ochronić. W końcu była dziewczyną, która dawno temu uratowała go od więzienia, tortur, zsyłki na Sybir, a może nawet od śmierci. I w tej chwili, kiedy stała w mroku wagonu, dygocząc jak osika, poprzysiągł sobie, że teraz to on uratuje ją od wszelkiego zła. To on zapewni jej bezpieczeństwo.

– Masz rację. Teraz, kiedy myślę o tym, co przeszłam, mogę to potwierdzić. Zawsze miałam nadzieję, że wydarzy się coś, co odmieni przeznaczenie. Ale tak się nie działo. Aż w końcu wylądowałam tu, w tym przeklętym pociągu, który wiezie nas nie wiadomo dokąd.

– Gdyby to wszystko się nie zdarzyło – rzekł jej do ucha – pewnie nie byłoby nam dane się zobaczyć. Czyż nie minęła właśnie równo dekada od naszego spotkania?

Dziewczyna zamyśliła się. W jej zamglonym, ledwo widocznym spojrzeniu dojrzał ten sam błysk, który tamtej nocy wrył się w jego pamięć na wiele lat.

– Mówisz to w taki sposób, jakbyś już wtedy wiedział, co się stanie.

– Nie wiedziałem. – Poczuł się nieco zbity z tropu. – Znaczy… Nie miałem pojęcia, co wydarzy się po drodze, ale czułem, że los połączy nasze ścieżki. Miałem w sobie jakąś taką pewność, że to nie było nasze ostatnie spotkanie. – Z trudem przełknął ślinę, czując teraz na sobie jej baczne spojrzenie. – Nie mogło być.

– Czemuż to?

– Bo… – Przetarł spocony kark. – Wtedy nawet nie poznałem twojego imienia.

Parsknęła cichym śmiechem.

Zdziwiony uniósł brwi.

– Czyżbyś mi się przedstawiała, ale nie dosłyszałem tego?

– Nie – odparła melodyjnie, jakby nagle wszystkie troski uleciały z jej ciała.

– To skąd ten śmiech?

– Bo wielokrotnie zastanawiałam się nad tym samym. Jak brzmi twoje imię.

– Niezmiernie miło mi to słyszeć – W ciemności wymacał jej dłoń i uniósł do ust. – Możesz mi mówić Staszek. Czyli jednak myślałaś o mnie przez te wszystkie lata?

Spojrzenie dziewczyny znów się zachmurzyło, a cień przeszłości owionął jej twarz. Staszek ujął jej podbródek; nie chciał, by do jej oczu znów powrócił smutek.

– Cieszę się… Bo ja też myślałem o tobie bardzo często – wyszeptał. – Nocami, gdy nie mogłem zasnąć, lub kiedy jeździłem koleją, patrząc na długie po horyzont pola, zastanawiałem się, kim jest dziewczyna, co tak hardo wyszła wtedy przed szereg drżących kobiet. Szukałem odpowiedzi w pełni księżyca, która wtedy oświetlała twoją twarz. Szukałem jej w złotych połaciach zbóż, mijanych podczas wielogodzinnych podróży. Te zboża… one kojarzyły mi się z twoim domem. I szukałem jej jeszcze w rześkim powietrzu na skraju lasu, do którego zachodziłem w każdej możliwej chwili, łudząc się, że to ten sam, w którym pożegnałem ciebie.

Przywoływałem wspomnienie tamtego wieczoru tak wiele razy, lecz w ani jednej chwili nie wpadło mi do głowy twoje imię. Nazywałem więc cię w myślach imionami najpiękniejszych, spotkanych po drodze kobiet. Teraz jednak, kiedy stoję naprzeciw ciebie, choć mroczny całun przesłania twoje lico, wiem, że żadne z tych imion do ciebie nie pasowało, bo żadna z tych kobiet nie była tobą.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– O mój Boże… Ty naprawdę nic się nie zmieniłeś. Pamiętam, że wtedy też tak czarowałeś słowem.

– I chyba mi się udało, skoro mnie zapamiętałaś.

– Chyba tak.

Jej oczy śmiały się do niego, usta układały w pełny, niemal okrągły dzióbek, na którym tak bardzo chciał złożyć pocałunek, lecz czuł, że nie może tego zrobić. Pragnął, aby ta chwila była dla niej czymś wyjątkowym. Czymś, do czego będzie wracać i co będzie wspominać przez wiele lat, myśląc o nim. Bo czyż on sam nie wspominał z melancholią pierwszych pocałunków? Tej pełnej napięcia chwili, w której staje się jasne, czy kuszące usta okażą się dlań pieczęcią miłości, czy może jeszcze przed narodzinami zostały przeznaczone innemu mężczyźnie, a on zwyczajnie zauroczył się nimi, bo podobne były do tych, którymi Bóg z pewnością obdarzył jego przyszłą żonę?

Pragnął ją pocałować, ale… nie w takich warunkach. Nie w ciemności obskurnego, zatłoczonego wagonu… Za nic w świecie nie chciałby, żeby ta chwila zawsze już kojarzyła jej się z niewolą, strachem o przyszłość i smrodem fekaliów.

– Aż trudno mi uwierzyć, że przez tyle lat parałeś się tym zajęciem, czarusiu.

– To tylko zasługa tamtego wrażenia, jakie na mnie wywarłaś, maleńka. – Przymknęła powieki i uśmiechając się zalotnie, pokręciła głową. – A zatem… zdradzisz mi ten sekret? Wyjawisz swoje imię?

– Nie chcę ci psuć zabawy.

Przysunęła się bliżej, a nikłe światło spłynęło na jej lico. Uniosła twarz, nieco zadziornie patrząc Staszkowi w oczy, a on nagle pomyślał, że wykazał się skrajną głupotą. W przypływie trudnej do pohamowania fascynacji i zachęcony tym niezwykłym zrządzeniem losu, zapomniał na chwilę o ostrożności. A przecież w tych warunkach powinna to być największa z cnót.

Znajdowali się w pociągu pełnym ludzi, gdzie ciemność skrywała ich prawdziwe oblicza. Nie widział ich, ale czuł ich obecność. Oddychał powietrzem, którym oddychali oni. Jego nozdrza drażnił zapach ich spoconych ciał i odchodów. Jakże więc mógł o tym zapomnieć?

O siebie nie dbał. Wiedział, że cokolwiek się wydarzy, poradzi sobie. Ale ona… Przyjrzał jej się bacznie. Jeśli działała w konspiracji, nie mogła mu zdradzić swoich prawdziwych danych.

Na wojnie, jak w kartach, należało mieć do wszystkich ograniczone zaufanie. W tym świecie największą wartością była tożsamość, a wyjawienie jej nieodpowiednim osobom mogło pociągnąć za sobą najgorsze konsekwencje. Ale on nie potrafił się powstrzymać, by nie spróbować rozwikłać tej zagadki, której rozwiązanie podpowiadała mu intuicja.

– A więc będę ci mówił Eli. Na pamiątkę najpiękniejszego imienia, które z tobą łączyłem.

– Eli… Nikt z rodziny nigdy mnie tak nie nazywał. A przecież mógł.

Rozjaśnił się w uśmiechu. Czyli odgadł jej imię!

– Wiem, Eleonoro.

* * *

Podróżowali nieprzerwanie przez trzy dni i trzy noce. I choć pociąg dwa razy zatrzymał się na dużych stacjach, mogli im się jedynie przyglądać przez szpary w drzwiach i niewielkie okno po przeciwległej stronie wagonu. Nikt nie wypuścił ich na zewnątrz.

Coraz bardziej wykończeni i głodni, modlili się o koniec tej męki, a kiedy wreszcie nastał, Emilia poczuła w ciele obezwładniający lęk, że znów sama będzie musiała stawić czoła złu tego świata.

W ciemności odnalazła dłoń Staszka i ścisnęła ją mocno. Przez te niekończące się dni morderczej jazdy tylko świadomość, że on jest tuż obok, trzymała ją przy życiu. Pomiędzy echem błagalnych modlitw, histerycznymi atakami paniki i zawodzeniem, kiedy ktoś nagle tracił przytomność lub umierał, Emilia słyszała ciepły, spokojny głos tego mężczyzny, który po latach powrócił do jej życia.

Jego czuły dotyk, któremu powinna się oprzeć, a który był dla niej jak kojąca zmysły kąpiel, sprawiał, że jeszcze jakoś trzymała się w ryzach. Miała wrażenie, że w tym ogarniętym obłędem piekle wytrzymała tylko dlatego, że ją wspierał.

Pociąg zatrzymał się z piskiem. O tym, że jest to kres ich podróży, dowiedzieli się natychmiast, ponieważ drzwi wagonu gwałtownie się rozsunęły i do środka wlało się jaskrawe, oślepiające światło. Krzyki żołnierzy ponaglały ich, gdy dźwigali z podłogi zgrabiałe, porażone drętwotą ciała. Wychodzili powoli, mrużąc oczy i jednocześnie próbując jak najwięcej dostrzec.

– Cokolwiek by się nie działo, bądź silna. Znaleźliśmy się tu, na końcu świata, nie bez powodu. Los musiał nas połączyć. Znajdę cię, dokądkolwiek cię zabiorą – powiedział Staszek. – Obiecaj mi, że będziesz silna. – Spojrzał jej w oczy, a ona znów rozpłynęła się w jego roziskrzonym spojrzeniu.

Chciała przysiąc, że wytrzyma, by znów mogli się spotkać, ale coś boleśnie ścisnęło ją za gardło. Nie chciała dłużej być silna. Nie chciała kolejny raz wystawiać swojego ciała i ducha na próbę. Zbyt wiele ich już przeszła, by zdołać zachować w sobie upór i niezłomność.

Na peronie roiło się od nieznajomych, jak gdyby na ich przybycie powołano specyficzny komitet powitalny, złożony z niemieckich urzędników i zapewne tutejszych mieszkańców. Nauczona

doświadczeniem, by po wyjściu z ciemnego wagonu najpierw patrzeć pod nogi, by powoli przyzwyczajać wzrok do nowych warunków, pierwsze, co ujrzała, to wyglancowane czarne buty i wciśnięte w nie nogawki mundurów w kolorze feldgrau. Potoczyła wzrokiem dalej i zobaczyła wiązane na sznurowadła skórzane pantofle, w których tkwiły grube łydki w długich skarpetach, owłosione, koślawe kolana i następnie zielone spodenki na szelkach. Kiedy odważyła się podnieść wzrok, dojrzała jasne koszule z podwiniętymi rękawami, opinające się na pękatych brzuchach. Twarzy ich właścicieli już nie zdążyła poznać, bo esesman, trzymający na smyczy ujadającego owczarka, szarpnął ją za ramię, nakazując, by ustawiła się w rzędzie, po czym zaczął odliczać po kolei, krzywiąc się od woni ich spoconych ciał, do których przykleił się smród fekaliów wyścielających podłogę wagonu.

Nad ich głowami rozbrzmiewały wojskowe komendy, pospieszające nowych robotników, oraz pełne niezadowolenia komentarze tych, którzy przybyli tu po ludzi do pracy.

Staszek ciągle trzymał Emilię za rękę, choć esesman szturchnął go dwa razy pałką, by dać do zrozumienia, żeby ją puścił i ustawił się w odpowiedniej odległości; on jednak nie zamierzał tego robić. Stał, dumnie prężąc pierś, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że mimo swojej tragicznej sytuacji nadal jest ponad nimi.

Emilia dopiero teraz, w świetle dnia, mogła mu się uważniej przyjrzeć, choć robiła to bardzo dyskretnie, nie chcąc narazić się żołnierzowi i urzędnikom, którzy patrzyli na nich spode łba.

W trakcie dziesięciu lat ciało chłopaka, który uratował jej ojca, nabrało męskości. Koszula z oderwanymi guzikami na piersi odsłaniała wyraźne kości obojczyka oraz wypukłość mięśni. Podwinięte do łokci rękawy ukazywały umięśnione, żylaste przedramiona. Olbrzymia dłoń z łatwością chowała w sobie jej smukłą rękę. Musiała należeć do kogoś, kto nie boi się ciężkiej pracy.

Powiodła wzrokiem ku górze. Smukła szyja, wyraźnie zarysowana szczęka o nieco wysuniętym podbródku, wydatne kości policzkowe, na których widoczne były przebarwienia po siniakach. Bystre spojrzenie oraz wznoszące się ponad nim gładkie, wolne od zmarszczek czoło, które zwieńczały gęste włosy, należały do kogoś, kto pewnie patrzy na świat i zna swoją wartość. Kogoś, kto swoją siłą fizyczną może przenieść góry, lecz niezłomnym charakterem przysporzyć sobie wielu kłopotów.

Na dźwięk komendy bauerzy ruszyli w ich stronę, przepychając się między sobą jak stado wygłodniałych hien, które znalazły jedną ofiarę. Zdjąwszy z głów zielone kapelusze z wetkniętymi za otok bażancimi piórkami, zaczęli szarpać ciała Polaków, w pierwszej kolejności wybierając rosłych mężczyzn, z których mieliby najwięcej pożytku. Podnosili im ręce, macali mięśnie, zaglądali w oczy, czy nie upojone, nie obłąkane; w zęby, czy zdrowe, bez próchnicy, i we włosy, by się upewnić, czy nie zalęgły się w nich wszy. Szybkie ruchy, ostre gesty, pewne chwyty. Póki towar jeszcze dostępny. Póki nikt inny nie kupił niewolnika, na którego miało się chrapkę.

Emilią nikt się nie interesował. Za to o Staszka o mały włos kilku z nich się nie pobiło; licytowali się, kto da więcej, komu się bardziej przysłuży. Niemal od razu, gdy się zjawili, ją i Staszka rozdzielono. Kakofonia krzyków, komend i warknięć paraliżowała jej ruchy i obkurczała płuca. Emilia stała, czując, jak każdy mięsień jej ciała się napina. Nie wiedziała, co powinna zrobić, gdy tamci oglądali ich jak zwierzęta kupowane na rozród i do pracy w polu. Nie baczyli na to, że stoją przed nimi ludzie, tak samo ważni i pełnoprawni obywatele tego świata, którego Niemcy nazywali się panami.

W końcu licytacja dobiegła końca i szczęśliwy Niemiec oświadczył, że kupuje Polaka za bagatelne sześćdziesiąt marek, co stanowiło trzykrotność opłaty, jaką ponosili inni bauerzy za swoje targowe „łupy”.

Emilia patrzyła, jak mężczyzna dający jej poczucie bezpieczeństwa i wsparcie podczas podróży, oddala się bez pożegnania, posławszy jej tylko pełne wyrzutów sumienia spojrzenie. Ustawił się w kolejce za innymi kupionymi pracownikami, by załatwić formalności u przedstawicieli Arbeitsamtu, którzy przy niewielkim stoliku oficjalnie przydzielali ich do pracy.

Zapatrzona w Staszka, nie zorientowała się, kiedy wyrósł przed nią krępy mężczyzna o zgarbionej sylwetce i spalonej na różowo skórze, której kolor brzydko kontrastował z rudymi włosami i brodą poprzeplataną nitkami siwizny. Patrzył na Emilię zachłannie, mrocznie, niemal drapieżnie. Jego twarz wydawała się napuchnięta od alkoholu, którym śmierdział też jego oddech.

Musiała spojrzeć na niego z przestrachem i widoczną pogardą, ponieważ momentalnie chwycił ją za policzki i uszczypnął mocno, a jego grube palce niemal przebiły się przez jej cienką skórę aż do zębów.

– Całkiem ładna jesteś, polska świnio – powiedział po niemiecku, zapewne licząc na to, że go nie zrozumie.

Emilia mierzyła go wzrokiem, czując paraliżujące napięcie i obrzydzenie. Niemiec nadal ściskał jej policzki, ślizgając się wzrokiem po jej wilgotnym od potu ciele, do którego przykleiła się cienka sukienka.

– Nie nadaje się. Za chuda. Nie będzie z niej pożytku – rzuciła niska, tęga kobieta, stając tuż za nim.

– Już ja wiem, do czego mi się przyda – wysyczał przez zęby, a Emilia zadrżała mimowolnie.

– Alfred! – zgromiła go kobieta. – Mieliśmy nająć mężczyznę!

W jej głosie zabrzmiała histeryczna nuta. Zupełnie jak gdyby obawiała się, że Emilia postanowi uwieść jej męża.

– Zobacz, tam jeszcze zostali – dodała poruszona Niemka, a Alfred zbliżył się do Emilii, chłonąc jej zapach.

– Już postanowione – rzekł dumnie, zadowolony ze swojego wyboru.

– Ona się nam nie przyda – przekonywała go żona.

– Przyda, oj, przyda – skwitował Alfred i chwycił Emilię za wątłe ramię, po czym pchnął ją w stronę kolejki, gdzie inni Polacy oczekiwali w otępieniu na dokumenty potwierdzające przypisanie ich do danego bauera.

Rozgorączkowana rozglądała się w poszukiwaniu Staszka. Stał na przodzie kolejki, w sąsiednim rzędzie, bacznie i z dumą obserwowany przez swojego właściciela. Wychyliła się zza stojącego przed nią chłopaka, który nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Wydawał się poruszony, strzelał oczami na prawo i lewo, jak gdyby szukał ratunku. Ten jednak nie nadchodził.

Podeszła kilka kroków, licząc na to, że stanie się cud i Staszek zwróci się w jej stronę, że uratuje z opresji. On jednak jej nie widział. Stał już przy stoliku, naprzeciw urzędnika, i podawał dokumenty, głośno przedstawiając się jako Stanisław Adamiec, pracownik rolny, kolejarz, urodzony w 1915 roku w Jadwinowie, który na skutek zakupu deklaruje się pracować u Henryka Meinza. Zmoczył opuszki palców w tuszu, a następnie odcisnął ślad na blankiecie. A kiedy stosowne oświadczenie zostało opatrzone pieczęcią niemiecką, spojrzenia Emilii i Staszka znów się spotkały.

Dziewczyna, niewiele myśląc, rzuciła się w jego kierunku i padła mu w ramiona, by jeszcze raz, choć na ułamek sekundy, poczuć jego bliskość. By ukołysać swoje ogarnięte przerażeniem ciało, by znaleźć potwierdzenie dla poczucia, że nie jest na tym odległym krańcu ziemi sama.

Kilka sekund później do jej świadomości przebił się grubiański rechot Alfreda. Emilia została wyrwana z ramion Staszka i rzucona na bruk, jak bezużyteczna rzecz, o którą się nie dba. Jak śmieć, z którym można zrobić wszystko, co się komu podoba.

1980 rok, Zachodniopomorskie

W sypialni na piętrze ich skromnego domu nigdy jeszcze nie panowała tak napięta atmosfera.

Eleonora siedziała w fotelu, splatając mocno palce, by nie pokazywać Staszkowi, jak bardzo drżą jej dłonie, choć i tak było to daremne, ponieważ mężczyzna nie patrzył na nią, lecz w skupieniu czytał znaleziony w komodzie list. Gdy skończył, zapatrzył się tępo przed siebie, a jego oczy wypełniało niedowierzanie.

Patrząc na jego zgarbioną postać i skruszone ciężarem prawdy ciało, czuła się jak zawieszona w próżni. Widok umęczonej twarzy męża usunął ziemię spod jej stóp i teraz czuła w sobie paniczny lęk, że oto wszystko w jej życiu znów runie, a ona kolejny raz będzie musiała zacząć od nowa. Miała już w tym wprawę. Spaliła za sobą tyle mostów, tak wiele razy obierała nową drogę, nowy kierunek życia, wytyczała nowe miejsce. Teraz jednak odnosiła wrażenie, że nie jest już w stanie wykonać nawet najmniejszego kroku. Nie miała nic na swoją obronę, mogła jedynie poddać się woli męża.

– A więc oszukiwałaś mnie przez te wszystkie lata? – wychrypiał, nadal nie ośmielając się spojrzeć jej w oczy.

– Nie chciałam tego robić. Ja… – zająknęła się, nie wiedząc, jakich słów użyć, by nie zerwać ostatniej nici, która łączyła ich serca. – Musiałam to zrobić.

– Nie bądź żałosna. Nie przystawiałem ci pistoletu do skroni, żebyś musiała mnie oszukiwać.

– Ty nie – wyszeptała, czując, jak serce coraz mocniej bije jej w piersi.

Skierował na nią smutne spojrzenie. Jego twarz wyrażała największy możliwy ból i Eleonora poczuła się podle.

– Czym sobie na to zasłużyłem? Nie ufałaś mi? Nie czułaś się przy mnie bezpiecznie? – mówił coraz szybciej. – Kim ty, do cholery,

jesteś?!

– Twoją żoną.

Zaśmiał się nerwowo.

– Żoną… – Pomachał listem z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, w którym stwierdzano, że złożona przez Eleonorę dokumentacja odbiega od stanu faktycznego. – Moja żona nie jest córką Dreznali. Kimże więc jesteś?

Wstał i podszedł do niej, lecz nie miał odwagi jej dotknąć. Nigdy nie był jak Fiodor, który siłą mięśni pokazywał swoją władzę.

– Nie napisali, że nie jestem ich córką, tylko że ich córka nie ma na imię Eleonora. I to jest prawda, bo… – zawiesiła głos, patrząc mu w oczy, które zaszklone cienką warstwą łez wgapiały się w nią w tragicznym wyrazie rozpaczy, przywołując na twarz wyraz, którego nigdy nie chciała oglądać. – Nigdy nie miałam tak na imię.

– Co ty mówisz, do cholery?!

– Prawdę.

– Prawdę? – zakpił. – Prawda jest taka, że nie znam swojej żony, z którą żyję pod jednym dachem od trzydziestu pięciu lat!

– To ty mnie tak nazwałeś… Ty nadałeś mi imię Eleonora. Nie pamiętasz już? Wtedy, w pociągu na roboty do Hannoveru? Sam powiedziałeś, że tak się będziesz do mnie zwracał.

– Bo myślałem, że to twoje imię! W końcu mówiłaś, że można cię tak nazywać. Że co prawda nikt z rodziny nigdy… Ale że mogli!

– Bo to po części była prawda. – Eleonora westchnęła ciężko i pomasowała sobie skronie. Wracało to wszystko, co odcięła grubą kreską, co starała się wyrzucić z serca i z pamięci. – Każdy mógł mnie nazywać Emi, Eli… Bo w tamtym życiu miałam na imię Emilia.

Staszek otworzył usta i wytrzeszczył szeroko oczy. Zupełnie jakby dostał obuchem w głowę i ten cios zaskoczył jego ciało, poraził członki i zmysły.

– Emilia… – wyszeptał i przez chwilę znów patrzył w otępieniu na list. W końcu podniósł wzrok na żonę. Miał tak zbolały wyraz twarzy,

że nie chciała już ciągnąć tej rozmowy, tylko wziąć go w ramiona i błagać o wybaczenie. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał głucho. – Dlaczego przez tyle lat ukrywałaś prawdę?

Ostatnie wspomnienia wbiły się w jej serce niczym rozżarzony pogrzebacz.

– Musiałam – szepnęła. – Nie mogłam pozwolić, żeby to wszystko mnie zniszczyło. Żeby zniszczyło nas. Zrozum… Staszek. – Wstała z fotela i padła na kolana przed mężem. – Gdybym tego nie zrobiła, ściągnęłabym na nas niebezpieczeństwo. Nie mogłam wrócić na Ukrainę. Tam wszyscy wiedzieli, kim jestem, kim… byłam. I zabiliby mnie w odwecie za to wszystko. Przeszłość deptała mi po piętach, chciała zabrać to, co było moim największym pragnieniem, które dopiero co się ziściło. Całymi latami żyłam w strachu, modląc się, by nikt z tamtych dni nigdy nie zapukał do moich drzwi, bo nie chciałam już stracić nic więcej. Pragnęłam żyć i kochać. Być z tobą, Staszek. Tylko z tobą.

Patrzył rozedrgany na jej skruszoną twarz i nie wiedziała, czy w ogóle docierają do niego jej tłumaczenia. Ogarnięty złością i niedowierzaniem, zdawał się głuchy na słowa, których najwyraźniej nie rozumiał i które w jego oczach jawiły się jako coś niegodne przebaczenia. Jako kłamstwo.

– Kim byłaś? – wydusił, ośmielając się spojrzeć jej prosto w oczy.

Odetchnęła głęboko, spuściła ramiona i czując napierające do oczu łzy, próbowała zebrać się na odwagę. Zadziwiło ją, jak trudno jej w takiej chwili, gdy na szali waży się ich przyszłość, wykonać ruch, po czym oddać drugiemu człowieku decyzję o własnym jestestwie. O ich wspólnym być albo nie być.

Uniosła wzrok; twarz jej ukochanego Staszka była rozmyta, przesłonięta jej łzami. Eleonora zdała sobie sprawę, że nigdy nikogo nie kochała tak mocno jak jego – człowieka, który przyjął ją z całym bagażem, jaki posiadała, i nigdy o niego nie zapytał, ale cieszył się jak największy szczęściarz na tym świecie, kiedy ofiarowała mu

uśmiech, ciepło warg i namiętne noce, podczas których powoływali do życia nowy sens, nowe spełnienie oraz dzieci.

Słowa ugrzęzły jej w gardle. Z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, że po tym wyznaniu nic już nie będzie takie samo. Kiedy wyjawi mu całą prawdę, postawi na szali wszystko, co ma: miłość do jedynego człowieka, którego pokochała całym sercem. Jego dotyk, pełne troski i podziwu spojrzenie, trzydzieści pięć lat wypełnionych cudownymi wspomnieniami… Kiedy padną te słowa, może stracić to, co znaczyło dla niej najwięcej. A jednak wiedziała, że musi je wypowiedzieć. Musi wyznać mężowi swój największy sekret, bo nastał czas ich próby. I – być może – czas wybaczenia.

– Byłam żoną Fiodora Bucwalda, wysoko postawionego urzędnika NKWD, który skazywał Polaków na zesłanie i śmierć – powiedziała na jednym wydechu.

Staszek otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, po czym cisnął list na stolik i wypadł z sypialni, głośno trzaskając za sobą drzwiami. Eleonora zerwała się na równe nogi.

– Staszek! Staszek, pozwól mi to wyjaśnić. Proszę… – zawołała w panice i na ile pozwoliło jej na to osłabione ciało, wyszła prędko za mężem.

[31] (niem.) Dzień dobry.
[32] (niem.) Co się stało?
[33] (niem.) Ja pojadę do Niemiec.
[34] (niem.) Świetnie. Pakuj się. Masz dziesięć minut.
[35] (niem.) Stać! Daj mi go na przesłuchanie.

CZĘŚĆ V

1945 rok, Dolna Saksonia, Niemcy

Zawiasy wysłużonych drewnianych drzwi zaskrzypiały głośno, gdy Emilia pod osłoną nocy opuszczała wychodek.

Skryła się za przybytkiem, modląc się w duchu, by bauer miał mocny sen. Wiedziała, że za obudzenie go przed brzaskiem dostanie mocne lanie. Oparła się plecami o ścianę, wstrzymała oddech i przez chwilę wsłuchiwała się w noc w nadziei, że jedyne, co usłyszy, to pohukiwanie sowy. Nie mogła jednak wyzbyć się przeświadczenia, że od kolejnej kary dzielą ją tylko minuty.

Bauer z pewnością usłyszał te cholerne zawiasy. „Musiał się obudzić…" – myślała gorączkowo, macając się po obolałych żebrach, z których nie zeszły jeszcze ślady po ostatnim spotkaniu z batem Alfreda Freitaga.

Po kilku minutach, kiedy zorientowała się, że nie doszły do niej znajome, przepełnione zdenerwowaniem i złością krzyki, lecz stłumione dźwięki rozmowy, ostrożnie wychyliła się zza winkla i zerknęła w stronę domu.

Sylwetka Freitaga to pojawiała się, to nikła w oknach długiego salonu, a światło trzymanej przez niego latarki chaotycznie błądziło po ścianach, jakby w pośpiechu czegoś szukał.

I tak rzeczywiście było. Berna, żona Alfreda, wybebeszała szafki i wrzucała ich zawartość do dużego lnianego worka na ziemniaki.

W jej niecodziennych, gorączkowych ruchach było coś dziwnego, złowieszczego, co napawało Emilię nieuzasadnionym lękiem.

– Zabierz tylko to, co najpotrzebniejsze! – krzyknął w złości Alfred. – No już!

Mocnym pchnięciem wygonił żonę z pokoju. Po chwili kobieta była już na podjeździe i zmierzała do bramy.

Emilia podążyła wzrokiem za tańczącym przed domem światłem latarki. Zauważyła, że wojskowa ciężarówka, którą cofająca się armia niemiecka z pustym bakiem porzuciła w lesie, jest już po brzegi wypełniona rzeczami Freitagów. Berna otworzyła blaszane drzwi i usadowiła się w kabinie, a Alfred zarzucił na pakę ostatni wór z rzeczami, po czym naciągnął plandekę, szarpiąc się przez chwilę z zapięciem. Kiedy udało mu się zabezpieczyć bagaże, wsiadł do samochodu na miejsce kierowcy i głośno zatrzasnął drzwi.

Ten dźwięk wyrwał Emilię z szoku. Poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Przetarła oczy drżącymi ze zdenerwowania dłońmi, ale to, co widziała w mroku, nie było snem. Warkot odpalanego silnika rozlał się po przestrzeni, płosząc siedzące na jabłoni ptaki, a gdy światła ciężarówki rozświetliły mrok, dziewczyna nabrała powietrza w płuca.

Przez ostatnie cztery lata marzyła o tym, by bauer wraz z żoną zniknęli z jej życia. Wyobrażała sobie chwilę, w której w końcu stanie się wolna, ten spokój i ulgę.

Teraz jednak poczuła paniczny lęk. Jej oprawcy uciekali w pośpiechu, porzucając ją na pastwę losu, jakby spodziewali się najgorszego, a ona miała być pożywką dla zła, które zbliżało się do tego domu. W innym wypadku Freitagowie nie opuszczaliby go w środku nocy.

Pomyślała, że i ona powinna uciekać. Powinna się ratować…

– Zaczekajcie! – krzyknęła z przerażeniem. – Nie zostawiajcie mnie tu samej!

Wyrzut adrenaliny prosto do jej żył spowodował, że nim w jej głowie pojawiła się racjonalna myśl, Emilia biegła już za samochodem. Paraliżujący stres, jaki czuła na myśl o tym, że zostanie sama i będzie musiała stawić czoła nieznanemu, sprawiał, że nogi sztywniały jej z każdym krokiem. Błoto rozbryzgiwało się pod stopami, krzewy malin szarpały znoszoną sukienkę, a narzędzia z mijanego składzika rozsypały się, gdy nieopatrznie zahaczyła ręką o przytrzymujący drzwi szpadel.

Samochód rzęził głośno, tocząc się przed siebie i powoli nabierając rozpędu. Emilia pędziła co sił w chudych jak trzcinki nogach. A kiedy dogoniła ciężarówkę, próbowała złapać się plandeki, lecz wątłe palce nie mogły znaleźć ani jednego punktu zaczepienia na mocno napiętej plandece. Przyspieszyła więc, wyprzedziła auto i desperacko rzuciła się na maskę, uderzając ręką o szybę. Alfred Freitag zahamował gwałtownie, a zmizerniałe ciało Emilii zsunęło się na drogę.

– Ty kurwo! – Wrzask bauera przedarł się przez sapanie silnika. – Ty polska świnio!

Emilia próbowała podnieść się z szutrowej drogi, choć spostrzegła, że w wyniku upadku kolano dziwnie się wykrzywiło. I że zaczyna okropnie boleć.

Alfred szybko wyskoczył z ciężarówki, zatrzaskując za sobą drzwi. Mimo oślepiających świateł Emilia widziała w jego oczach wściekłość. Poczuła, jak silna dłoń chwyta ją za włosy i mocnym szarpnięciem podnosi. Pisnęła z bólu, a wtedy mężczyzna uderzył ją z pięści w twarz. Opadła z powrotem na ziemię, widząc przed sobą brudne gumowce. Po chwili na czubek buta opadł pukiel jasnych włosów, które Freitag musiał jej wyrwać. But zawisł nad nią i nim Emilia zdołała osłonić ciało, poczuła mocny kopniak w żebra. Nie syknęła jednak z bólu, ale zamarła z przerażenia, gdy wraz z kopniakiem usłyszała chrupnięcie. Przez głowę przeszła jej myśl, że bauer właśnie złamał jej żebro. Mężczyzna nawet nie zamierzał na tym poprzestać. Kopał ją, gdzie popadło, spychając jej wychudzone ciało

w stronę pobocza, sapiąc i klnąc. Kiedy cała zakrwawiona leżała w kłującej krzewinie, spojrzał na nią z pogardą i splunął.

– Mam nadzieję, że w końcu zdechniesz – rzekł z odrazą i wrócił do samochodu.

Emilia z trudem uniosła powieki. Światła wojskowej ciężarówki chybotały się jeszcze przez chwilę na koleinach, aż po którymś słabym mrugnięciu całkiem zniknęły w oddali.

Nie wiedziała, dlaczego posłuchała tej impulsywnej, zlęknionej myśli, która pojawiła się w niej na widok uciekających Freitagów. Zamiast biec, mogła nabrać trzy głębokie wdechy. Wtedy zapewne usłyszałaby głos rozsądku, który nakazałby jej się zatrzymać. Powinna przewidzieć, że bauer ją pobije… A jednak jakąś cząstką serca wierzyła w ich dobro. W to, że zabiorą ją ze sobą. Uratują od zła, przed którym sami uciekali.

Znów się przeliczyła. Znów naiwność sprawiła jej ból… Przymknęła oczy i odpłynęła.

Ciepłe promienie słońca wyglądały zza chmur. Szuwary szeleściły łagodnie, podsycane lekkim wiatrem, a z oddali dało się słyszeć śpiew kosa i niosące się z boru stukanie dzięcioła. Pożółkłe nawłocie i lekko przesuszone źdźbła traw ocierały się o siebie. Nici babiego lata błyszczały na łące niczym anielskie włosy. Sznur mrówek przemierzał powoli, lecz z uporem polną drogę, omijając skulone w pozycji embrionalnej ciało dziewczyny. Wiatr zdążył już rozwiać ślady opon, a Emilia nadal leżała tam, gdzie zostawił ją bauer.

Delikatnie uniosła powieki, czując, jak słońce pieści jej twarz. Beznamiętnie powiodła wzrokiem wokoło, zatrzymując go to na owadach, to na przelatujących ptakach. W tych niewielkich znakach od przyrody chciała znaleźć siłę, by wstać i dołączyć do nich – by dalej żyć.

Spojrzała na niebo, by sprawdzić, gdzie znajduje się słońce, i domyśliła się, że musi już być popołudnie. Usiłowała wstać. Nie ból jednak okazał się w tym przeszkodą, lecz ociężałość i dziwne

odrętwienie. Jakby świadomość, że została porzucona, zniewalała ją o wiele bardziej niż wszystko to, co do tej pory przeżyła.

Poczuła burczenie w brzuchu, coraz dobitniejsze; organizm ponaglał ją do tego, by wstała i zadbała o żołądek. Nie miała jednak siły na taki krok. Z trudem obróciła się na plecy, prostując kończyny, i syknęła, bo po jej ciele rozeszła się elektryzująca fala. Instynktownie złapała się za brzuch. Żebra były o wiele bardziej opuchnięte niż poprzedniego dnia. Nie odważyła się jednak zsunąć dłoni niżej, bo drżenie, które z nagła je opanowało, wypełniło Emilię lękiem. Oddychała miarowo, by się uspokoić, choć każdemu kolejnemu wdechowi towarzyszył ponowny atak bólu.

Spojrzała na niebo, na białe, pierzaste obłoki z wolna poruszające się po błękitnej równinie. W jeziorze, tuż za szuwarami, coś chlupnęło. Zapewna jakaś ryba wynurzyła się, by nabrać powietrza. Cykanie świerszczy zgrywało się z bzyczeniem pszczół, świergotem ptaków i szumem pióropuszy wysokich trzcin. Powietrze pachniało pobliskim lasem. Spokój i harmonia. To nie był dzień, żeby odpuścić. To nie był dzień, żeby umierać. Emilia zacisnęła mocno zęby i niezgrabnie podniosła się z twardej ziemi.

Od głodu i bólu zawirowało jej w głowie. Przez chwilę próbowała utrzymać równowagę, a gdy już jej się to udało, rozejrzała się wokół.

Rzadko bywała tak daleko od domu bauera. Dotąd stale strzegło jej dociekliwe oko Berty lub Alfreda. Teraz już jej to nie groziło. Mogła nasycić duszę widokiem, który rozpościerał się blisko miejsca, gdzie doznała tak wielu krzywd.

Na jeziorze kwitły jeszcze nieliczne rdesty i grzybienie. Łąkę pokrywały nieco przesuszone słońcem rośliny, spod których gdzieniegdzie wychylały kępki fioletowych marcinków. Emilia przymknęła oczy, pozwalając, by delikatne muśnięcia ciepła rozluźniły jej napięte mięśnie.

„Idź” – usłyszała w głowie cichutki szept. „Idź. Teraz jesteś już bezpieczna”.

Spojrzała przed siebie. Polna droga kończyła się kilkaset metrów dalej, tuż za długim pasmem pola i lasem, w którym roiło się od zwierzyny.

Powoli, krok za krokiem, przemierzała odległość dzielącą ją od posiadłości bauera. Nie wiedziała, co tam zastanie, ale popędzała ją myśl, że nigdzie w pobliżu nie znajdzie innego schronienia.

Pamiętała obrazy, jakie rozpościerały się przed nią, gdy Alfred Freitag pierwszy raz wiózł ją tą drogą. Długo jechali przez las, a Emilii wydawało się, że mrok puszczy nigdy się nie skończy. Po długiej jeździe jej oczom ukazały się jezioro, długa łąka i pole obsiane zbożem, a tuż za zakrętem dom z długim jak okiem sięgnąć warzywnikiem. Gdyby jechali dalej, znów znaleźliby się w lesie, lecz Freitag nigdy nie zapuszczał się w tamtą stronę, Emilia nie wiedziała więc, co znajduje się za borem, i nigdy nie ośmieliła się tego sprawdzić. A teraz pragnęła jedynie zjeść coś i odpocząć.

Powłócząc nogami, w końcu dotarła do miejsca, skąd dobrze widziała posiadłość. Przyczaiła się za drzewem i dłuższą chwilę obserwowała teren, a gdy upewniła się, że wokół nie ma żywej duszy, poszła do ogrodu. Nie odważyła się jeszcze wejść do domu, z obawy, że Freitagowie mogli wrócić, a gdyby zobaczyli ją w środku, Alfred spuściłby jej srogi łomot. Ostrożnie podeszła do niewielkiej szopy, gdzie wśród licznych narzędzi rolnych leżał cienki siennik. Położyła się na nim, sycząc z bólu, i zamknęła oczy. Tylko sen i odpoczynek pomogą jej w regeneracji. I wówczas zacznie się zastanawiać, co robić dalej.

* * *

Miała wrażenie, że umarła. Zewsząd otaczała ją ciemność i docierały do niej zgłuszone dźwięki: pohukiwania sowy, szelest liści na wietrze

– nic więcej. Jej ciało leżało bezwładnie, nie mogła poruszyć ani ręką, ani nogą. Jakby ktoś przygniótł ją czymś ciężkim lub zamknął w szczelnym pudełku, z którego nie da się wydostać. Nie mogła krzyknąć ani otworzyć oczu; nagle z zewnątrz, gdzieś z bardzo daleka, do jej uszu dotarły nieznane dźwięki. Przez myśl przebiegło jej, że bauer wrócił i zaraz znów zrobi jej krzywdę. Wówczas dopadło ją przerażenie, że zakopał ją żywcem. Zerwała się na równe nogi i krzyknęła głośno, po czym wypadła z szopki. Ptaki siedzące w sadzie rozpierzchły się na wszystkie strony, głośno łopocząc skrzydłami. Instynktownie zasłoniła dłonią usta, wystraszona własną reakcją, która mogła wyrządzić jej więcej szkody niż pożytku. Serce w piersi waliło mocno jak siekiera, którą bauer rąbał drewno na zimę. Ciężkie uderzenia pompowały krew do żył, a w uszach szumiało.

Chwilę trwało, zanim jej wzrok przyzwyczaił się do mroku i z niego wyłoniły się zarysy narzędzi rolniczych. Błyszczące w blasku księżyca ostrza sekatorów nie straszyły już tak jak podczas pierwszych nocy, które spędziła w składziku. Teraz przesiąknięte zapachem ziemi niewielkie pomieszczenie za plecami było jej schronieniem. Bezpiecznym kątem w tym złym, obcym miejscu.

Nadstawiła uszu, by upewnić się, że faktycznie jest bezpieczna. Nie dosłyszała żadnych przekleństw rzucanych pod jej adresem. Nie doszły jej odgłosy kroków ani dźwięk rozpinania sprzączki u paska do spodni. Wokół panowała bezwzględna cisza i wszystko wskazywało na to, że Emilia nadal jest sama. W środku głuszy, z której nie wiedziała, jak się wydostać.

Wróciła do składziku, by się położyć, lecz przez kolejne godziny nie mogła zmrużyć oka, aż w końcu hulający wysoko wiatr rozgonił ciężkie i zbite struktury chmur, a słońce nad widnokręgiem rozpromieniło je, barwiąc na koralowo, brzoskwiniowo i złoto. Docierające przez szpary składzika kolory sprawiły, że Emilia podniosła się z siennika i wyjrzała na zewnątrz. Po rozjarzonym

paletą ciepłych barw niebie powoli spływała krwistoczerwona kula, zwiastując nadejście wiosny.

Z zachwytem obejrzała ten spektakl światła i cieni, czując ogromne wzruszenie na myśl, że nikt nie stoi nad nią z batem i nie zagania do niewolniczej pracy. Powietrze było suche, a na tle rozświetlonego nieba jaśniało niczym ciepła różowa mgiełka. Szansa na opady deszczu wydawała się znikoma, lecz prawdopodobieństwo przerwania tej pełnej spokoju chwili – zatrważająco wielkie.

Od zachodu zaczęły bowiem napływać dźwięki wojny. Krzyki i wystrzały niosły się po polach, ziemia zdawała się drżeć w posadach, a nad chmurami zawisły czarne krzyże samolotów.

Emilia zastanawiała się, co powinna zrobić. Nadal była obolała, ale wiele godzin snu przywróciło jej trzeźwość myśli. Trzymając się za obolałe części ciała, zajrzała do spiżarki i nie dowierzając własnemu szczęściu, rzuciła się na dwa słoiki z mięsem. Długo mocowała się z zakrętką jednego z nich. Nie mając siły, by otworzyć weki, uderzyła kilka razy słoikiem o blat wysłużonej komody, aż szkło pękło. Ostrożnie wyciągnęła palcami mięso i zaczęła pochłaniać łapczywie, nasłuchując dźwięków narastających od zachodu. Jej skurczony głodem żołądek nie był w stanie przyjąć całej porcji, więc zawinęła resztę w bawełnianą chusteczkę i w popłochu rozejrzała się po domu. Musiała poszukać czegokolwiek, w co mogłaby zapakować to jedzenie, którego jakimś cudem nie zabrali ze sobą Freitagowie, a które mogło być jej jedynym pożywieniem przez kolejne dni. A potem ruszyć w drogę, nim zło, które nadciąga zwiastowane przez kakofonię dźwięków, znów zajrzy jej w oczy.

* * *

Henryk Meinz i jego żona Ursel byli uczciwi oraz honorowi, ale nad wyraz wymagający. Kierowali się w życiu surowymi zasadami, dzięki którym w ich domu panowały harmonia i ład. Praca, do której

Henryk najmował Polaków, musiała zostać wykonana solidnie, szybko, a jednocześnie dokładnie, przy zachowaniu porządku. Zasady te obowiązywały zarówno tych opiekujących się trzodą, jak i oporządzających pole, które liczyło wiele hektarów. W zamian robotnicy otrzymywali godziwe wynagrodzenie, które początkowo wynosiło trzydzieści pięć marek, ale rosło proporcjonalnie wraz z doświadczeniem, według wcześniej ustalonych stawek. Polacy u Meinzów mogli też liczyć na przyzwoite warunki bytowe.

Staszek Adamiec szybko opanował język i reguły. A że do ciężkiej pracy był przyzwyczajony, nie narzekał na tempo i rygor, starając się wykonywać swoje zadania najlepiej, jak umiał. Zyskał tym sobie przychylność i uznanie państwa Meinzów, z którymi z czasem nawiązał przyjazne stosunki.

Po czterech latach z trudem przyznawał się przed lustrem do swoich uczuć. Nie mógł jednak nic zrobić z tym, że szanował, a może nawet lubił Henryka, człowieka o wielkim, okrągłym brzuchu, sarmackim wąsie i niedźwiedzim sercu. Lubił także jego żonę, korpulentną, krzykliwą kobietę, która z początku sprawiała wrażenie chłodnej i nieżyczliwej, a która w ogólnym rozrachunku okazała się dobrą gospodynią. I cóż z tego, że byli Niemcami, skoro mieli serce po właściwej stronie…?

Z kuchni Ursel zawsze wydobywały się smakowite zapachy, choć Staszek nigdy nie widział jej z przewiązanym fartuszkiem. Do gotowania i sprzątania miała najęte pracownice, lecz zawsze dbała, by przygotowane potrawy były syte i serwowane o stałych porach, wychodząc z założenia, że dobry pracownik to najedzony pracownik. Upominała też dziewczęta, by do pracy zawsze wychodziły po zaścieleniu łóżek i posprzątaniu wszystkich pokoi; wszak rano, mając jeszcze odpowiednią werwę, łatwiej im będzie obrobić je pod linijkę, tak jak lubiła to pani domu.

Kiedy dzień minął po myśli państwa Meinzów, pracownicy mogli liczyć na profit. Czasem była to dodatkowa porcja jedzenia, a czasem

marka dorzucona do wynagrodzenia lub pół szklanki piwa, którym świętowali dobrze wypełnione obowiązki.

Ten dzień również upłynął zgodnie ze stałym rytmem. Teraz, kiedy na dobre rozpoczął się kwiecień, na polach pojawiły się zielone dywany gęsto wysiane warzywami, a trzodę zapędzono do obory, zmęczeni dniem pracownicy siedzieli na trawie za domem, odpoczywając i patrząc na noc czarniejącą nad ich głowami. Dziewczęta, zagonione przez Ursel do gotowania wody, chodziły z wiadrami do studni w tę i z powrotem, wołając po drodze kolejnych pracowników. Ciepła kąpiel, którą raz na trzy dni mogli pobierać, stanowiła luksus, na który wszyscy czekali po ciężkich godzinach spędzonych w polu. Teraz jednak jakoś niechętnie wstawali z ław, jeden po drugim, by zaznać odprężającego rytuału; zgodnie czuli, że świat, do którego przywykli, zaczyna się zmieniać – i to w dziwny sposób ich przytłaczało.

Od kilku tygodni w powietrzu wisiało coś, co budziło w nich nadzieję na lepsze jutro, a jednocześnie strach o to, co się stanie, kiedy to wszystko, co zdążyli poznać, się skończy. Z każdym dniem powietrze zdawało się gęstnieć. Ludzie chodzili coraz bardziej podenerwowani. Henryk przestał słuchać radia, z którego systematycznie trąbiono o upadku Niemców na wszystkich frontach. Klęski Wehrmachtu przygnębiały Meinza, choć starał się tego nie okazywać. Skupił się na pracy i tego samego wymagał od swoich pracowników, lecz wiedział, że to jedynie forma ucieczki, która nie zmieni rzeczywistości. Wszystkie obecne działania były jak fatamorgana, którą lada moment miał rozwiać wiatr zmian.

Staszek też czuł, że nadchodzi nowe. Kiedy jeździł z Meizem do oddalonego o kilka kilometrów Diepholz, by zawieźć butelki z mlekiem, słyszał, jak uliczne szczekaczki straszą najazdem Anglików. Widział nagłówki gazet, z których sączyły się paniczne komunikaty. Widział też ludzi: jedni patrzyli w niebo w radosnym

oczekiwaniu na wyzwolenie, inni – z panicznym strachem o przyszłość.

On myślał tylko o jednym. Nieprzerwanie od czterech lat, choć teraz zrodziła się w nim obawa, czy w zamieszaniu, jakie lada moment nastąpi, uda mu się wypełnić przyrzeczenia.

Henryk Meinz pojawił się przy nim nieoczekiwanie. Staszek spłoszony jego obecnością dopiero po chwili zobaczył, że pracodawca trzyma w ręce szklankę z wodą, która od kilku tygodni zastępowała im piwo, ponieważ okoliczny browar przestał funkcjonować. Właściciel uciekł, przekonany o tym, że wrogie wojska i tak zburzą cały jego dobytek.

– Myślisz o niej? – zagadnął, przysuwając sobie taboret obok Staszka.

Ostatnimi czasy Meinz siadał z nimi po pracy i rozmawiał, być może przeczuwając, że zbliża się koniec ich pracy w gospodarstwie, i chcąc zapisać się w pamięci Polaków jak najlepiej.

– Nieprzerwanie.

Staszek upił łyk wody, która przyjemnie rozlała się po jego wysuszonym gardle, i westchnął ciężko.

– Żałuję, że nie zdołałem ci pomóc. Wtedy…

– Wiem – uciął Staszek.

Nie zamierzał wracać wspomnieniami do tamtego dnia, ale za każdym razem ponosił porażkę.

Sam też nie mógł sobie wybaczyć tego, co się wówczas zdarzyło.

Wtedy, na peronie w Osnabrück, wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie zdążył zareagować. Spuścił Eli z oczu na kilka chwil, a ją w tym czasie kupił ktoś, komu z oczu biły furia i chęć zemsty. Staszek próbował potem interweniować u Meinza, a kiedy ten zorientował się, w czym rzecz, nie dało się już nic zrobić. Eli została przypisana do gospodarstwa niejakiego Alfreda Freitaga. Przedstawiciel Arbeitsamtu nawet za dopłatą nie zgodził się na roszady i przekierowanie jej do Meinza. Nie pomogły prośby,

tłumaczenie ani kłamstwo, że Staszek i Eli są narzeczeństwem. Tego dnia poszli nawet do samego Freitaga, ten jednak za nic nie chciał słyszeć o oddaniu dziewczyny. Zapłacił za nią, więc była jego i mógł dysponować jej życiem, jak chciał.

Zrządzenie losu rozdzieliło Staszka i Eli, lecz on każdego dnia o niej myślał. Meinz, widząc rozterki swojego najlepszego pracownika, próbował mu pomóc, zasięgając języka w Diepholz, lecz tam nikt nie znał Freitaga, a i w Arbeitsamcie nie zgodzono się na udostępnienie danych o gospodarstwie. Jeździł nawet na dworzec w Osnabrück, licząc, że tam spotka bauera, lecz Freitag nigdy więcej się nie pojawił. W końcu zaczął zabierać Staszka na różne wyprawy do okolicznych miejscowości, licząc na to, że podczas rozwożenia mleka czy warzyw ten w tłumie pracowników dojrzy swoją Eli.

– Teraz powinno być ci łatwiej – rzekł, popijając wodę.

– Nie wydaje mi się.

– Lada moment staniecie się wolni. Wszyscy pracownicy opuszczą swoje gospodarstwa. Dworce będą pękać w szwach. Wtedy ją odnajdziesz. Wierzę w to.

– Pan, panie Meinz, nic nie wie o tym, co się dzieje w czasie najazdu wrogiego wojska i jak w szalonym pędzie pragnienia wolności łatwo się zgubić. Dawniej jeździłem koleją. Widziałem tragizm takich sytuacji. Ludzi gubiących się w tłumie na dworcach. Dzieci i starców stratowanych przez ludzką masę, bo każdy nade wszystko chciał znaleźć się w pociągu. Zresztą pociąg nigdy nie był gwarantem bezpieczeństwa, ale zawsze dawał złudzenie wolności. Gdybym miał wybór, wolałbym tego nigdy więcej nie doświadczyć.

– Ale nie masz wyboru. Nie chcesz chyba do końca życia wyrzucać sobie, że nie zrobiłeś wszystkiego, by ją odnaleźć.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał.

Przy studni pojawiła się dziewczyna z wiadrem i pogoniła Staszka do kąpieli. Podniósł się bez cienia zwłoki i uśmiechnąwszy się

niemrawo na pożegnanie, skinął głową do Henryka, gdy ten nagle wskazał palcem na niebo.

– Stasiu, zobacz! – krzyknął.

Staszek powiódł za wzrokiem w tamtym kierunku i ujrzał, jak na granatowym niebie raz za razem spadają gwiazdy. Wiedział, że taka noc powtarza się cyklicznie w tych rejonach, gdy nadchodzi lato, a jednak chciał wierzyć, że rozbijane w atmosferze kosmiczne kamienie mają jakąkolwiek magiczną noc. Popatrzył chwilę na nie, myśląc o Eli, a kiedy w końcu ruszył do domu, napotkał pełne troski spojrzenie Meinza. Nie wiedział, że właśnie ten wyraz twarzy gospodarza utkwi mu na zawsze w sercu.

* * *

Emilia od wielu godzin szła, z trudem utrzymując się na nogach. Napierające odgłosy wojny popchały ją przez ciemny las, który zdawał się nie mieć końca. Spragniona i wyczerpana, parła jednak naprzód, choć jej ruchy były coraz wolniejsze, a ciało coraz częściej odmawiało posłuszeństwa.

Nie wiedziała, gdzie jest i jak długa czeka ją podróż. To jednak nie miało znaczenia. Wiedziała, że musi iść. Tylko tego rozkazu słuchało teraz jej ciało. To było jedyne pragnienie duszy. Nie rozumiała tego, a jednak szła, wiedziona niewyjaśnioną siłą, która nakazywała raz za razem stawiać stopy. Krok za krokiem, bez zatrzymywania się, ponieważ każdy, nawet najmniejszy ruch przybliżał ją ku wolności.

W końcu las zaczął się przerzedzać, a ona poczuła, jak ziemia pod jej stopami twardnieje i jak miękkie runo leśne, pokryte trawami i kłującymi krzewami, ustępuje miejsca ubitej, zwartej glebie. Przyspieszyła kroku, taranując sobie drogę przez chaszcze i młode drzewa. Nie dbała o to, że chropowate gałęzie i liście ranią jej skórę. Liczyło się tylko to, że wchodziła właśnie na suchy teren pól obsianych zbożem, nad którymi wznosiła się panorama miasteczka.

Emilia nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wzruszenie zaparło jej dech w piersi; szła coraz szybciej, choć wiatr wiał jej prosto w twarz, a nogi grzęzły teraz w obsianej ziemi, która ledwo co zaczęła wypuszczać młode, jaskrawozielone rośliny. Czuła jednak, że w mieście znajdzie wybawienie i w tym przeczuciu pokładała nadzieję.

Skupiona na celu, początkowo nie zwróciła uwagi na dochodzący gdzieś z oddali warkot silnika. Wojenna melodia towarzyszyła jej od kilku dni, więc w końcu przestała na nią zwracać uwagę. Kiedy jednak dźwięk się nasilił, poczuła, jak w jej brzuchu rośnie gula. Nie przerywając marszu, obracała się co rusz przez ramię, w napięciu obserwując las malejący za jej plecami, lecz dźwięk nie docierał z boru, a zdawał się dudnić wszędzie wokół niej.

Nagle zobaczyła nad sobą samolot, a zaraz za nim kolejne. Wzniosła oczy ku niebu i zamarła z przerażenia na widok kolumny wojskowych myśliwców, lecz nim zdążyła cokolwiek pomyśleć, rozległ się ogłuszający huk. Samoloty nadlatywały z zachodu, zniżając się do ziemi nieopodal miasteczka i spuszczając nań bomby. Torpedy ryły ziemię, wzbijając bryły kamieni i grudy ziemi, pozostawiając po sobie tumany kurzu, a czasem i języki ognia.

Adrenalina trysnęła do jej żył i Emilia rzuciła się biegiem przed siebie, choć przemęczone nogi chwiały się na nierównym podłożu.

Kiedy znalazła się w granicach miasta, zobaczyła puste, brukowane ulice. Domy z zaryglowanymi drzwiami i okna skryte pod okiennicami. Uderzała w nie w panice, prosząc o pomoc, lecz jej krzyk niknął w unoszącym się nad miastem wojennym huraganie. Spanikowana nie wiedziała, co robić. Wbiegała na oślep w kolejne uliczki, lecz wszędzie było tak samo. Nikt nie przyszedł jej z pomocą. Nikt nie przejmował się jej losem. Świst spadających bomb dudnił nad jej głową, odbijając się o mury, dym gęstniał. Aż nagle rozległy się złowrogie trzaski. Siła spadającej bomby odrzuciła Emilię na ścianę sąsiedniej kamienicy; odbiła się jak piłka, po czym boleśnie

opadła na ziemię. Na chodnik zaczął spadać deszcz cegieł, dachówek, pokruszonych szkieł oraz porcelany. Emilia zdążyła jeszcze podnieść rękę, by się chronić, lecz ten trud był daremny.

Nagle poczuła silny, paraliżujący ból i nastała ciemność.

* * *

Henryk Meinz, widząc, jak nad jego rodzinnym Diepholz kłębią się czarne obłoki dymu, nakazał Staszkowi zaprzęgnąć konie. Nadciągający front oraz przelatujące nad głową samoloty sprawiły, że mężczyźnie miękły nogi w kolanach i ręce drżały ze zdenerwowania tak, że długo walczył z zaplątanymi szelkami uzdy. W końcu udało mu się przyszykować wóz. Serce waliło mu jak młotem, a rozum podpowiadał, by nie wyściubiać nosa zza granic gospodarstwa, lecz w obliczu nadciągającej katastrofy czuł, że musi się znaleźć w centrum wydarzeń.

– Złaź, Stasiu, pojadę sam – powiedział zdenerwowany Meinz.

– Chcę jechać.

– Po co? – Henryk przejął od żony torbę z medykamentami oraz czystymi skrawkami bawełnianego prześcieradła, które mogły posłużyć za bandaże. – Muszę się upewnić, czy moim rodzicom nic nie grozi, ale ty nie masz czego tam szukać. Tu się bardziej przydasz, gdyby doszło do… jakiegoś natarcia.

Po tych słowach rzucił torbę na wóz i wgramolił się na kozła, po czym chciał przejąć od Staszka skórzane wodze. Ten jednak przytrzymał je, czym zmusił Meinza, by na niego spojrzał.

– Ale ja muszę. Czuję, że muszę tam jechać.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, aż z dołu odezwała się Ursel.

– Skoro tak mu serce dyktuje, to pozwól chłopakowi i jeźdźcie już, bo kolejni nadlatują. – Przeżegnała się pospiesznie i z przestrachem popatrzyła w niebo.

Meinz w odpowiedzi wyrwał wodze z rąk Staszka i się zamachnął. Skórzane pasy plasnęły o siebie i konie ruszyły z impetem, ponaglane krzykami zdenerwowanego Niemca.

Gnali przez westfalską wieś, mijając wzgórza i doliny, i nieskończenie długie połacie pól, chybocząc się na koleinach i kierując w sam środek wojennego cyklonu. Zimny wiatr smagał ich ciała, orzeźwiająca kwietniowa mżawka rosiła włosy, twarze i kapoty, a nad nimi czerniało się niebo, porażone hukiem wystrzałów i wznoszących się wysoko kłębów dymu. Już wcześniej spodziewali się obławy oraz tego, że w razie ataku miejskie lotnisko zostanie zbombardowane, więc mogli się na to przygotować. A jednak teraz, z każdą upływającą minutą, byli coraz bardziej przerażeni tym, co rozgrywało się na ich oczach.

Południowo-zachodnia część Diepholz tonęła w gruzach, wśród których krążyli ludzie, lamentujący nad skalą zniszczeń, poszukujący zaginionych pod zwaliskami bliskich oraz opłakujący tych, którzy nie przeżyli nalotu. Henryk ze Staszkiem zatrzymali konie, zeskoczyli z wozu i ruszyli w tłum, by dowiedzieć się czegoś o rodzicach Meinza, którzy mieszkali po drugiej stronie miasta, do której dojazd został odcięty przez rumowisko.

Meinz starał się przekrzyczeć ludzi, lecz większość popadła już w obłęd i nie słyszeli słów, jakie do nich kierował. Staszek przez chwilę próbował ogarnąć wzrokiem sytuację, lecz jedyne, co czuł, to dziwne napięcie, które zdawało się blokować w nim wszelkie pokłady współczucia. Udzieliło mu się zdenerwowanie Niemców, jednak patrzył na to wszystko z dystansem, może nawet obojętnością, nie umiejąc wzbudzić w sobie empatii, ponieważ tragedia tych ludzi zdawała się niewinną zabawą w porównaniu ze zniszczeniami i ogromem tragedii, jakie na Wschodzie siali ich synowie.

Postanowił wspiąć się na rumowisko i spróbować przedostać się na drugą część miasta. Śmiało torował sobie drogę pomiędzy resztkami cegieł, szczątkami mebli i rozerwanych belek z murów pruskich,

a gdy znalazł się na szczycie, na dole, pośrodku drogi ujrzał leżącą dziewczynę, z twarzą zwróconą ku brukowanej ulicy.

Miała na sobie błękitną sukienkę, łudząco podobną do tej, którą nosiła Eli, gdy ostatnim razem widzieli się na peronie w Osnabrück. Jej wykrzywione ciało, pokrwawione i pełne zadrapań, było pokryte kurzem, odłamkami szkła i piórami z pierzyn, które zwisały smętnie z rozbitego okna pobliskiego domu.

Rzucił się ku niej pędem po nasypie, a kamienie i pokruszone cegły rozpryskiwały się pod jego nogami. Szybko stawiał kolejne koślawe kroki, a wykrzywiona kostka boleśnie dawała o sobie znać, lecz nie zważał na to. Najważniejsze było dostać się do Eli. To przecież musiała być ona!

Kiedy padł na kolana tuż przy niej i delikatnie obrócił ją na wznak, wszystko stało się jasne.

– Eli? – zapytał drżącym głosem, dotykając jej twarzy, którą pokrywały siniaki i rozcięcia. – Eli…

Uniósł jej dłoń, próbując pod nadgarstkiem wyczuć puls, a wtedy jej usta wykrzywiły się w bolesnym grymasie. Wyrzut endorfin i szczęścia, jakie poczuł na ten widok, sprawił, że w jego oczach zaszkliły się łzy. Nareszcie ją odnalazł! Nareszcie była z nim! I – żyła!

Zaparł się i podniósł ją z ziemi, dziwiąc się, jak lekkie jest jej ciało. Czuł na szyi jej ciepły oddech. Czuł jej ciepło. Była tak krucha i bezbronna. Poraniona, a jednak nadal piękna. Kiedy przybliżył ku niej twarz, by złożyć na jej czole pocałunek, ocknęła się i spojrzała na niego z przejęciem.

– Jesteś już bezpieczna – rzekł uroczyście, bardzo poruszony. – Już nigdy cię nie opuszczę, moja Eli!

Uśmiechnęła się do niego lekko, a z kącików jej oczu popłynęły łzy.

– Czy to niebo? – wychrypiała.

– Jeszcze nie, moja kochana. Ale obiecuję, że zabiorę cię do niego i już nigdy nikt cię nie skrzywdzi.

* * *

W domu Meinzów Emilia znalazła spokój i ukojenie, jakiego nie doznała od czasów dzieciństwa.

Wojna zakończyła się miesiąc po tym, jak Staszek przywiózł ją do tego wielkiego murowanego domu. Jednak Eli z powodu licznych złamań nie czuła się na siłach, by wracać na Wschód. Zwłaszcza że jej rodzinny dom nadal znajdował się w granicach ZSRS i jawił się w jej oczach jako jądro ogromnego cierpienia.

Dla niej wojna się nie skończyła, a jedynie zmieniła swój bieg. Emilia nie cieszyła się więc z wolności tak jak inni pracownicy Meinzów, ponieważ wiedziała, że tam, dokąd powinna wrócić, nigdy nie będzie prawdziwie wolna. W tamtym przeklętym kraju terror wsiąkł zbyt głęboko w warstwy ziemi, by wywabić go miał podpisany akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. I nikt, kto nie żył pod dyktaturą Stalina, nie mógł jej wmówić, że może czuć się bezpiecznie.

Leżąc przykuta do łóżka, przy którym trzy razy dziennie zjawiały się pracownice Meinzów, z czasem zastąpione przez samą gospodynię przynoszącą jej pożywne posiłki, Eli myślała o tym, co powinna dalej zrobić. Analizowała w myślach swoje życie, próbując znaleźć cel swojej wędrówki, lecz za każdym razem dochodziła do tych samych wniosków.

Tego dnia Ursel Meinz wpadła do jej pokoju z impetem, budząc ją ze snu.

– *Entschuldigung*[36] – wychrypiała spłoszona dziewczyna i gwałtownie uniosła się na łóżku, czując wszędzie przeszywający ból.

Jej ciało nie wróciło jeszcze do pełnej sprawności. Wielokrotnie łamane przez Freitaga żebra czuła przy każdym ruchu, w dodatku nogi przygniecione cegłami, które spadły na nią podczas nalotu, boleśnie dawały o sobie znać przy każdej próbie zmiany pozycji.

Mimo to, kiedy zjawiała się u niej pani domu, Emilia ściśnięta stresem i obawą o furię, którą widziała każdego dnia w oczach poprzednich gospodarzy, próbowała wstać z łóżka i chociaż sprawiać wrażenie, że nie jest dla nowych gospodarzy ciężarem. Mimo że nim była. A jednak Ursel i Henryk nigdy jej nie skrzywdzili.

Staszek, który pracował za nich dwoje, podczas wieczornych spotkań zapewniał, że Ursel, choć wydaje się surowa, ma dobre serce i nie zrobi jej krzywdy, lecz Emilia nie potrafiła zaufać Niemce. Jak zresztą żadnemu przedstawicielowi jej narodu.

W rzeczy samej jednak Ursel, której silnego ramienia i niedźwiedziej postury pozazdrościłby niejeden mężczyzna, nie oczekiwała od Emilii odpracowania strawy i opierunku. A przynajmniej nie do czasu, aż Eli stanie na nogi.

– Myślałam, że już dawno wstałaś, Eleonore – rzekła.

Na dźwięk nowego, pełnego imienia, które Ursel wytrwale powtarzała podczas niemal każdej ich wymiany zdań, a którym Emilia posługiwała się oficjalnie od momentu, gdy wraz ze Staszkiem wysiedli z pociągu, dziewczyna poczuła cierpki, niezidentyfikowany smak w ustach. Z jednej strony nadal nie umiała się z nim utożsamić. Z drugiej wiedziała, że to może być jej wybawienie. Tarcza, za którą się ukryje. Tym bardziej że nadeszły czasy rozliczeń, dążenia do prawdy i sprawiedliwości. I w każdej chwili ktoś mógł rozpoznać w niej żonę człowieka, który bez mrugnięcia okiem skazywał Polaków na śmierć. Tak oto, na urzędniczym stole, na którym przypisywano Polaków do niemieckich bauerów, narodziła się Eleonora Dreznal.

– Przepraszam. – Emilia kolejny raz się ukorzyła, kuląc ramiona, nie będąc pewna, czy lada moment Niemka nie spuści jej łomotu, lecz ta jedynie podeszła do okna i energicznie rozsunęła zasłony.

– Słońce już w zenicie, a dziś wyjątkowo piękny dzień. Myślę, że wyjście na świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Na samą myśl o opuszczeniu pokoju Emilia czuła silny niepokój. Ale nie potrafiła się przeciwstawić Ursel. Nie wiedziała, do czego byłaby zdolna kobieta, gdyby coś poszło nie po jej myśli.

– Dobrze. Wyjdę. Powinnam już zacząć pracować. Wystarczająco długo korzystam z pani gościnności, pani Meinz.

Ursel machnęła ręką.

– Jeśli będziesz się czuła na siłach, to pomożesz mi przy obieraniu warzyw do obiadu. Ale nie wymagam tego. Po śmierci teściów łatwiej mi się funkcjonuje, jak zajmę czymś głowę. Najpierw zjedz śniadanie. – Wskazała na talerz z kanapką i nowalijkami. – A później ubierz się i zejdź. Dziewczęta wyjechały już do swoich domów, ale nim odeszły, poprosiłam, żeby sprzedały mi po jednej swojej sukience. W okolicy nie ma już krawca, a im na podróż bardziej przydały się pieniądze niż ubrania. Któraś z nich powinna być na ciebie dobra.

Emilia zamrugała szybko, płosząc z oczu łzy wzruszenia. Nie pamiętała, kiedy ktoś zatroszczył się o nią w ten sposób. Z rodzinnego domu zabrała raptem dwie sukienki, lecz jedną rozdarł na jej ciele Freitag, kiedy któregoś wieczoru próbował się do niej dobrać, a druga była już bardzo sfatygowana i kojarzyła jej się z nalotem. Mimo to nie pozwoliła nikomu jej wyrzucić. Była bowiem jej jedyną pamiątką z rodzinnego domu.

– Będę czekać na ławce za domem – powiedziała Ursel, po czym wyszła z pokoju.

Emilia zeszła po dwóch kwadransach, chwiejąc się na obolałych nogach, i z nieśmiałym uśmiechem dosiadła się do gospodyni, która trzymała na kolanach wielką miskę z łupinami groszku, a pod nogami kolejne trzy, pełne nieotwartych strąków. Emilia nie miała dość sił, by pracować, ale czuła się w obowiązku zapracować na swoje utrzymanie. Chwyciła więc miskę, zaciskając mocno zęby, by nie syknąć z bólu, i w milczeniu dołączyła do pracy.

Przez chwilę łuskały strąki w milczeniu, czerpiąc przyjemność z ciepłego, słonecznego dnia, obłędnego zapachu kwitnących wokół ławki hiacyntów i kojącego widoku zielonych pól, ciągnących się daleko przed ich oczami na wzgórzach Westfalii.

Raz po raz zerkały w stronę, gdzie Staszek i dwaj pozostali robotnicy pracowali w polu pod okiem Henryka Meinza. Jeden z nich szedł daleko na przedzie, rzucając do przygotowanych wcześniej rowów ziemniaki, a reszta mężczyzn zasypywała je ziemią, tworząc wysokie kopce.

– Staszek nic nie mówi o wyjeździe, ale pewnie jak tylko poczujesz się lepiej, wrócicie do domu – powiedziała nagle Ursel. – Lukas i Anton już wyczekują powrotu. Zgodzili się dokończyć pracę za lepsze pieniądze, lecz jak my później damy sobie radę z Henrykiem? Nie wiem… Ale nikogo z was nie możemy tu trzymać. Nie w chwili, kiedy serce wyrywa się do rodziny.

Emilia zbyła tę uwagę milczeniem. Nie wiedziała zresztą, co mogłaby odpowiedzieć. Sama przecież rozmyślała o tym bez ustanku i jak dotąd nie znalazła rozwiązania.

Nade wszystko bała się wracać tam, skąd pochodziła. Czuła, że w granicach ZSRS czeka ją jedynie śmierć z rąk Fiodora, który jak kot po każdej opresji bezpiecznie lądował na cztery łapy, więc zapewne udało mu się przeżyć. Eli miała co do tego przeczucie graniczące z pewnością, że tak się właśnie stało i jej nadal mąż, kierowany pragnieniem zemsty, tylko czeka na jej powrót.

Tęskniła za mamą, której nie widziała, odkąd uciekła po aresztowaniu Fiodora, i za siostrą, lecz nie wiedziała, czy udało im się przeżyć. Miotała się pomiędzy powinnością dowiedzenia się czegoś o Klarze i siostrzeńcach a pragnieniem zniknięcia z kartotek. W zamieszaniu, jakie panowało po wojnie, to ostatnie nie było trudne. Wystarczyło zgubić dokumenty i przedstawić się fałszywym nazwiskiem, by po człowieku zaginął ślad… Poza tym i tak Staszek przechrzcił ją w drodze do Niemiec.

Kiedy o tym myślała, robiło jej się ciepło na sercu. Staszek był jedynym dobrem, jakie pojawiło się w jej życiu. Jedynym człowiekiem, który zdawał się dbać o nią, liczyć z jej zdaniem i robić wszystko, by czuła się szczęśliwa.

W domu Meinzów wszyscy byli przekonani, że ona i Staszek są zaręczeni. I ani w głowie mu były romanse, co nie wydawało się tak oczywiste, ponieważ mieszkające u Meinzów dziewczęta robiły do niego podchody. On jednak ciągle myślał o niej, jakby postanowił już, że to właśnie z nią spędzi wszystkie lata swojego życia. Ursel wspominała, że zawsze byli bardzo zadowoleni z jego pracy, a kiedy Emilia znów pojawiła się w jego życiu, w Staszka wstąpiły nieprzebrane pokłady energii. Wykonywał swoją pracę jak ustawiona na pełne obroty maszyna, bo wiedział, że zaraz potem spędzi czas ze swoją ukochaną. Pracował za dwóch, a że w gospodarstwie brakowało rąk do pracy, Meinzowie byli mu nieopisanie wdzięczni. W Emilii jego postawa budziła coraz większy szacunek i podziw.

Kiedy przychodził do niej, nigdy nie skarżył się na ból, choć jego ciało było wyrzeźbione i twarde od ciężkiej pracy. Z entuzjazmem opowiadał o tym, co działo się w gospodarstwie, zarówno w ciągu dnia, jak i wcześniej, podczas wojny, a jego anegdoty bawiły ją tak bardzo, że przy nim pierwszy raz w życiu popłynęły jej łzy ze śmiechu.

Ujmowały ją także jego przesadna troska o nią, delikatność dotyku, który z każdym dniem stawał się coraz pewniejszy, oraz drżenie ciała, kiedy to ona decydowała się na przesuwanie fizycznej granicy. Pamiętała, jak bardzo bała się ich pierwszego pocałunku, do którego Staszek tygodniami się przygotowywał, a który ona, czując, że byłoby to niemoralne, odwlekała. Nadal przecież pozostawała żoną innego. Brutalnego i pozbawionego człowieczeństwa Ukraińca. I choć nie było go w pobliżu od wielu lat, to Emilia obawiała się tego, co zrobi, kiedy tych dwóch mężczyzn stanie przed sobą w obliczu prawdy. Nie chciała ranić Staszka, a jednocześnie nie potrafiła

odmówić sobie przyjemności, jaką niosły jego szerokie ramiona, delikatne opuszki palców i wpatrzone w nią roziskrzone oczy, w których odbijało się pragnienie tak wielkie, jakiego nigdy wcześniej nie widziała…

– No i ślub. – Ursel przerwała jej rozmyślania, wstając z ławki i sięgając po kolejną miskę. – Na pewno chcielibyście pobrać się wśród swoich.

Emilia poczuła przytłaczający ciężar niedopowiedzeń. Spojrzała z przerażeniem na Ursel, lecz ona zajęta łuskaniem grochu dumała już nad czymś intensywnie.

Z oddali dobiegł je gromki śmiech mężczyzn. Wracali z pola na zupę, którą Ursel ugotowała poprzedniego dnia. Emilia spojrzała w ich kierunku, a na widok Staszka jej serce zabiło szybciej. Nie potrafiła jednak odwzajemnić uśmiechu, który jej posłał. Odłożyła miskę i ruszyła mu naprzeciw.

Myślała tylko o tym, że powinna wyznać mu prawdę o swoim stanie cywilnym i zszarganym imieniu. Powinna… Ale czy wtedy nie podpisze na siebie wyroku śmierci?

Henryk Meinz w tym czasie podszedł do żony, patrząc z zakłopotaniem za Emilią.

– Co zrobiłaś tej dziewczynie, że ma taką kwaśną minę? – zapytał.

– Jak Boga kocham, nic – odparła Ursel. – Chciałam z nią tylko porozmawiać, ale ona mnie chyba nie rozumie.

– Nic dziwnego – zaśmiał się. – Ja od czterdziestu lat żyję z tobą i nadal nie potrafię ciebie zrozumieć, kobieto.

* * *

Latem 1945 roku na gospodarstwie u Meinzów zostali już tylko Staszek i Emilia. Wszyscy inni zdecydowali się wrócić do domu. A kiedy okazało się, że ostatni z pięciu synów Meinzów, którego

wciągnęła wojenna machina, zginął podczas obrony Berlina, gospodarze poprosili, by młodzi zostali u nich trochę dłużej.

– Chciałabyś? – Staszek zwrócił się do Emilii, jak gdyby jego własne potrzeby w tej kwestii zupełnie się nie liczyły.

Wzruszenie odjęło jej mowę. Dotąd zawsze zmuszona była do poświęcenia. Do przedkładania dobra innych ludzi ponad własne. Nigdy nikt nie pytał jej, czego naprawdę chce. Poza tym dobrze wiedziała, że nie mogła sobie na to pozwolić. A teraz człowiek, który uratował ją podczas oblężenia miasta, pytał, czy chciałaby nadal żyć w miejscu, które dawało jej ukojenie, bezpieczeństwo i oddech od trudów życia.

Ze ściśniętym sercem pokiwała głową i łamiącym się głosem powiedziała:

– Chcę.

Staszek pocałował ją w czubek nosa, po czym spojrzał z dumą na państwa Meinzów.

– Skoro kobieta mojego życia chce tu pozostać, to nie mogę się nie zgodzić. Pomieszkamy z wami jeszcze jakiś czas, ale w końcu zabiorę ją do Polski. Do domu.

– Wspaniale! – Ursel klasnęła w dłonie i zaczęła nakładać im na talerze kawałki strucli.

– Naprawdę chcesz tu zostać? – spytała Emilia wiele godzin później, kiedy jak co wieczór siedzieli ze Staszkiem w przydzielonym pokoju na piętrze.

– Nie ma dla mnie znaczenia, czy będę tu, czy w Polsce. Najważniejsze, że będę z tobą – odparł.

Uśmiechnęła się pod nosem i spuściła wzrok. Nie odważyła się jeszcze wyjawić mu prawdy. Czuła jednak, że nie powinna też odciągać go od rodziny.

– A twoi rodzice? Na pewno chcą, żebyś do nich wrócił.

Staszek zachmurzył się na te słowa, po czym podszedł do okna i zapatrzył się w dal.

Promienie zachodzącego słońca kładły się na jego skórze, oświetlając twarz, nagi tors i przedramiona. Narzucona na plecy jasna koszula przyjmowała ciepłe pomarańczowe barwy. Emilia patrzyła na profil mężczyzny, do którego wyrywało się jej serce. W innych czasach i okolicznościach postarałaby się uwiecznić jego wizerunek na płótnie. Utrwalić na zawsze obraz, który ukochała całą sobą, a który powinien należeć do innej kobiety. Kobiety wolnej. Kobiety, która da temu mężczyźnie ciepło domowego ogniska. Ona sama przecież przyrzekła kiedyś wierność innemu. Nadal miała męża.

– Wysłałem do rodziców dziesiątki listów. Ale na żaden nie odpisali – odezwał się Staszek z zadumą.

Emilia z trudem wypuściła powietrze.

– Myślisz, że oni… – Nie śmiała dokończyć tego zdania, ponieważ jej przed oczami wyświetliły się obrazy jej zmarłych bliskich.

– Nie wiem, Eli. Być może. Właściwie jest to wysoce prawdopodobne.

– Nie mów tak. – Wstała z łóżka i podeszła do niego.

Zapach jego spoconego upałem ciała sprawił, że zakołysało jej się w głowie. Studiowała jego twarz: wydatne kości żuchwy, prosty nos, zaciśnięte wargi i oddalone od nich zmarszczki mimiczne, pozostałość po „wiecznym” uśmiechu, oraz oczy, w których kryło się światło rozświetlające wszystkie mroki jej duszy.

– Zawsze trzeba mieć nadzieję – dodała po chwili.

Odwrócił wzrok od słońca i popatrzył jej w oczy. W takich chwilach czuła, jak jej ciało nabiera lekkości. Jak gdyby gwiaździste spojrzenie Staszka wyciągało z jej wnętrza wszystkie ciężkie wspomnienia.

– Ty jesteś moją nadzieją, Eli. Z rodzicami zawsze miałem pod górkę, choć to dobrzy ludzie. Prości, ale w sędziwym wieku. Jeśli jakimś cudem udało im się przetrwać w Polsce, nie pozostaną przy mnie długo. Ty możesz być całe życie. Z tobą chciałbym je dzielić i przy tobie trwać. Gdziekolwiek by ono było.

Emilia z trudem panowała nad wzruszeniem i po chwili po jej policzku potoczyła się łza. Jeśli tym, czym obdarzał ją Staszek, nie była miłość, to nic innego nie mogło nią być.

Przymknęła oczy, czując, że nie może go już dłużej okłamywać. To wszystko zaszło za daleko i gdyby miała się na niego otworzyć, nie chciała, żeby budowali związek na fałszywych fundamentach.

– Ale ja dawniej… – zaczęła, drżąc na ciele, lecz on położył jej dłoń na policzku, przytykając kciukiem wargi.

– Ciii… Nic nie mów. Przeszłość zostawmy za sobą. Liczy się tylko to, że jesteśmy razem, że przetrwaliśmy i że wspólnie możemy budować przyszłość.

* * *

Kolejny rok był dla Emilii i Staszka namiastką wspaniałego małżeńskiego życia. Ich relacje z państwem Meinz zacieśniły się i oboje czuli się tak, jakby mieszkali u własnych rodziców, którym należy pomóc w gospodarstwie.

Staszek każdego dnia wychodził z Henrykiem w pole, by dbać o rośliny i bydło. Przestali jednak oporządzać każdy skrawek wielohektarowego pola, wiedząc, że po upadku Rzeszy nie muszą już oddawać kontyngentów. Dbali więc o tyle, by starczyło dla nich, a to, czego nie przejedli, sprzedawali w Diepholz, gdzie Staszek udawał się raz w tygodniu.

Emilia przy Ursel uczyła się surowych zasad dbania o dom i starała się zapamiętywać coraz to nowe przepisy niemieckiej kuchni. Z całych sił pragnęła nie zawieść kobiety, która okazała jej tak wiele matczynych uczuć, lecz kiedy tylko Staszek zjawiał się w obejściu, rzucała wszystko i biegła do niego, radosna i podniecona.

Ursel z początku ganiała ją za takie zachowanie, lecz z czasem zaczęła się temu przyglądać z ciepłym uśmiechem, ciesząc się, że

znaleźli swoje szczęście, tak jak dawniej ona zakochała się bez pamięci w Henryku.

Tak też było i tego dnia, kiedy Staszek wrócił wcześniej z pracy i z uśmiechem na ustach oświadczył Emilii, że zabiera ją nad jezioro. A kiedy Ursel podała im spakowany po cichu kosz z prowiantem i życzyła udanego popołudnia, zaczęła przeczuwać, że coś się święci.

Powstałe po wykopaliskach jezioro było ciche i spokojne. Emilia i Staszek rozłożyli się na kocu tuż za wielkimi krzewami orzechowca, czując, jakby to było ich miejsce na ziemi.

Dziewczyna zapatrzyła się na rozciągającą się przed nimi taflę wody, która majestatycznie połyskiwała w słońcu. Nieliczne chmury z wolna toczyły się po niebie, a wiatr delikatnie czesał jej długie, rozpuszczone włosy i źdźbła przybrzeżnych traw. Staszek usiadł za nią okrakiem i objął ciężkimi, umięśnionymi ramionami. Ujął jej palce w swoje wielkie i twarde od pracy dłonie i gładził powoli. Czuła na karku jego oddech, przebiegający falą po jej ciele i kołyszący zmysłami, które miały źródło w jej podbrzuszu. Znów wypełniło ją to uczucie lekkości, które czuła tylko w jego objęciach i które powodowało przyspieszone bicie serca.

– Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, jak potoczy się moje życie, nie uwierzyłbym – wyszeptał Staszek, muskając wargami płatek jej ucha.

– Ja też nie myślałam, że los zaniesie mnie do Niemiec i… że w ogólnym rozrachunku będzie mi tu dobrze.

– To prawda. Ja też spodziewałem się najgorszego, zwłaszcza że droga do tego miejsca była wyboista.

– Los wystawił nas na wiele prób, ale widocznie po to pojawiliśmy się na tym świecie. – Emilia spojrzała na niego. – Żeby stawić temu czoła. Żeby pokonać to zło, które zapaliło cały świat.

Umilkł, więc obróciła się przez ramię i spojrzała mu w oczy.

– Gdyby nie ten wojenny płomień, nigdy nie poczułbym w sercu prawdziwego żaru miłości – powiedział prosto w jej usta, a ona nie

potrafiła dłużej opierać się jego zalotom.

– Ani ja – szepnęła, po czym wysunęła szyję i pocałowała go czule i delikatnie.

Endorfiny buchnęły w jej ciele i zalały ją całą uczuciem, którego nigdy wcześniej nie doznała. Jego nieregularny oddech drażnił jej usta. Ostatnie hamulce zaczynały puszczać. Tonęła w jego ramionach. W jego dobroci. W troskliwości. Przestawała się bać, że świat może wyrządzić jej krzywdę. Wszystkie obawy znikały gdzieś na horyzoncie.

Drgnął, poprawiając się na kocu, lecz nim zdążyła z nich obojga ulecieć magia tej chwili, Emilia poczuła tuż przy paznokciu serdecznego palca coś zimnego. Spuściła wzrok i zobaczyła w wielkiej dłoni Staszka pierścionek z zielonym oczkiem, osadzonym na finezyjnej plecionce.

– Czy uczynisz mi tę przyjemność i zechcesz podsycać ten żar miłości do końca mojego życia? – zapytał z drżeniem w głosie.

Łzy potoczyły się po jej twarzy. Nie odpowiedziała, lecz śmiało wsunęła palec w pierścionek. Pasował idealnie. Tak jak Staszek pasował do niej.

* * *

Wiele miesięcy później, gdy była już w ciąży, zdecydowali się wrócić do Polski. I choć Meinzom ciężko było z tą decyzją, wiedzieli, że taka jest kolej rzeczy i że ta chwila musiała w końcu nastąpić.

Dowiedzieli się, że najłatwiejszy tranzyt do Polski przebiegał przez Berlin i mieszczący się tam obóz UNRRA, organizacji, która pomagała Polakom po wojnie.

Staszek pojechał pierwszy, by rozeznać się w sytuacji oraz znaleźć dla nich miejsce, w którym w spokoju poczekają na swoją kolej. Droga powrotna była skomplikowana, a wiele zniszczonych torów biegło donikąd. Mimo to chcieli spróbować.

Kiedy nastała pora wyjazdu Emilii, Ursel wyszła przed dom, by się z nią pożegnać. Henryk siedział już w nowo kupionym samochodzie, do którego ciężarna Emilia próbowała się wgramolić i zająć w miarę wygodną pozycję. Ursel pomogła jej wejść, chroniąc dłonią spory brzuch dziewczyny, i oświadczyła, że spakowała dla niej walizkę z rzeczami codziennego użytku, kilka ciepłych swetrów, wyprawkę dla dziecka oraz jedzenie i fotografię, którą zrobił im Henryk. Nie chciała, by czegoś im brakowało podczas drogi i pobytu w obozie.

Dziewczyna była jej za to wdzięczna. Z chwilą przybycia do ich domu miała na sobie tylko jedną podartą sukienkę z sekretnymi kieszeniami, wszytymi pod podszewkę, w których trzymała dokumenty potwierdzające jej prawdziwą tożsamość, a które teraz ukryła pod bielizną. Dlatego szczerze podziękowała kobiecie, która była dla niej jak druga matka, za hojność i obiecała, że jeszcze kiedyś się spotkają.

Po wielu godzinach jazdy pożegnała się również z Henrykiem, który odwiózł ją pod samo ogrodzenie ogromnego obozu UNRRA, który stał się schronieniem dla tysięcy ludzi. Odmówiła jednak jego propozycji, że Meinz poszuka z nią Staszka. Wiedziała, że w takim tłumie to może potrwać godziny, a droga do Diepholz była długa. Niemiec przystał na to, choć był widocznie zawiedziony, że nie udało mu się zobaczyć ze swoim ulubionym pracownikiem. Wiedział jednak, że tak będzie lepiej i że ich wszystkich napędza nadzieja na powtórne spotkanie.

Emilia długo szukała narzeczonego wśród wywiezionych na przymusowe roboty, uchodźców wojennych i politycznych, więźniów, internowanych i jeńców. Lecz nigdzie go nie było. Zrezygnowana, wyłuskawszy z pamięci kilka angielskich słówek, których dawniej uczyła się pod czujnym okiem babki, zagaiła do jednego z żołnierzy i dowiedziała się, że na terenie podzielonego na cztery strefy okupacyjne Berlina znajduje się jeszcze jeden obóz i to zapewne w nim przebywa teraz narzeczony.

Pełna nadziei wyszła na ulicę i ruszyła w kierunku wskazanym przez żołnierza. Droga wiodła przez ulice miasta, które zniszczone bombardowaniem wyglądały jak jedno wielkie rumowisko. Brzuch ciążył jej, boleśnie promieniując do lędźwi, lecz w tej chwili liczyło się tylko, by znaleźć się przy Staszku.

Nagle, gdy dotarła do rozwidlenia ulic, oniemiała i stanęła jak rażona piorunem. W ciemnym zaułku ulicy na przedmieściach Berlina czas zdawał się zawracać swój bieg. Świat wokół ucichł i skurczył się do jednego spojrzenia, które zatrzymało się na jej twarzy i zionęło teraz wściekłością.

Chciała uciekać, lecz nogi jakby wrosły jej w ziemię, a w głowie dudniła myśl, że oto nastała godzina zemsty. Rosja zwyciężyła. On zwyciężył. Znów był ponad nią, znów miał władzę i mógł rościć sobie prawo do decydowania o jej życiu i śmierci.

Naprzeciw niej, ubrany w długi płaszcz i czapkę czerwonoarmisty, szedł Fiodor Bucwald. Jego usta drżały, ręce zaciskały się na karabinie, a twarz purpurowiała. Wściekłość i szaleństwo wyrwały go z kolumny żołnierzy kroczących po rosyjskiej stronie miasta i skierowały w jej stronę. Emilia patrzyła, jak jej mąż stawia kolejne kroki. Zdawało jej się, że to nie on zbliża się do niej, a sam diabeł w ludzkiej skórze. Widmo śmierci przejęło władzę nad instynktem samozachowawczym i czuła w trzewiach, że nic nie jest w stanie zrobić. Przeznaczenie musiało się wypełnić. Oto nastała pora, by sprawiedliwość wyciągnęła po nią szpony.

– Ty suko! – wrzasnął na przywitanie, otrzeźwiając ją i wyrywając z apatii. – Ty pierdolona polska zdziro!

Nim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, poczuła silne uderzenie w brzuch. Krzyknęła z bólu, czując cierpki, elektryzujący dreszcz rozchodzący się z jego wnętrza, który raził jej lędźwie i nogi. Zgięła się wpół, podtrzymując go dłońmi, a wtedy Fiodor gwałtownie chwycił ją za włosy i pociągnął w górę. Znów jęknęła boleśnie, a on targał nią tak, jak gdyby chciał wyrwać jej wszystkie włosy z głowy.

Jego twarz znalazła się teraz naprzeciw jej twarzy i Fiodor obrócił ją tak, by na niego patrzyła.

– Mogłem cię zabić, żoneczko – wycharczał. Jego oddech cuchnął kiełbasą i alkoholem. – Tyle razy mogłem cię zajebać, ale zawsze, kiedy na ciebie patrzyłem, brała mnie jakaś litość. Jebane współczucie, z którego zakpiłaś, ty pierdolona suko!

– Zostaw mnie – szepnęła błagalnie. – Zostaw.

– Najpierw odpłacisz mi za wszystko.

– Nie! – Szarpnęła się, usiłując się wyrwać. – Niczego nie muszę ci oddawać!

Uderzała dłońmi w jego pierś, wierzgała i kopała po nogach, lecz to tylko bardziej go rozwścieczyło.

– Nie?! A za tego skurwiela, który zrobił ci dziecko, nie musisz odpłacić? Za to, że uciekłaś, pozorując swoją śmierć i skazując mnie na proces?

– Sam jesteś sobie winien – wysyczała przez zęby. – Powinni byli zabić cię w tym więzieniu! Powinni skazać cię na śmierć, tak jak ty skazywałeś moich rodaków na rozstrzelanie, głód i poniewierkę.

Dźwięk odbezpieczanego pistoletu zamknął jej usta. Emilia poczuła pod brodą zimną lufę pistoletu wbijającego się w jej skórę. Zamarła. Łzy napierały jej do oczu, broda drżała, a zęby głośno szczękały, sterowane niewyobrażalnym strachem.

Fiodor zaśmiał się gardłowo, widząc jej reakcję.

– Co? Już nie jesteś taka cwana?

Przymknęła oczy.

„To już koniec” – dudniło jej w głowie. „Czas opuścić ten ziemski padół, na którym przyszło mi przeżyć tak wiele lat poświęcenia”.

Zacisnęła wargi, nie chcąc okazać, jak bardzo boi się tej chwili. Jej głowę torpedowały myśli. Czy ból po wystrzale rozsadzi jej czaszkę? Czy długo będzie umierać? Czy Staszek dowie się, co się z nią stało? Czy będzie żył w nieświadomości, szukając jej do końca życia? I dziecko… Czemuż ono winne?

Nagle w jej głowie zrodziła się myśl, że to wszystko stało się przez jej grzech. Była winna. Nadal przecież należała do Fiodora, powinna więc zachować wierność i czystość, a nie upokarzać go swoim postępowaniem. Teraz on ją za to zabije. Bo jaką inną karę mąż mógłby wymierzyć niewiernej żonie?

Głośny strzał przeciął powietrze i Emilia poczuła na sobie ciężar ciała Fiodora.

– Ty… kurwo… – rzekł powoli, a głos jego grzązł i cichł przy każdej kolejnej zgłosce.

Przez chwilę jeszcze patrzył zaciekle w jej oczy, lecz uścisk palców na jej włosach zelżał. Lufa pistoletu z wolna opadała, coraz dalej od jej podbródka. Aż w końcu Fiodor klął przed nią na kolana i padł na ziemię.

Wrzasnęła na widok rosnącej wokół jej nóg plamy krwi. Nie zamierzała jednak się upewniać, że Fiodor nie żyje. Rzuciła się pędem do ucieczki, ponieważ ten, kto na nich polował, z pewnością miał ją teraz na muszce.

Serce waliło jej w piersi. Zdusiła w sobie krzyk i szloch, które nie znajdując ujścia, boleśnie wypełniły jej płuca oraz poddusiły krtań. Stopy ledwo trzymały się podłoża, a po brzuchu przebiegały bolesne skurcze. Musiała uciekać, by chociaż spróbować uratować siebie i dziecko.

Nie dobiegła jednak daleko, gdy ktoś mocno chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie. Naprzeciw niej stało trzech amerykańskich żołnierzy; patrzyli na nią z troską i zaciekawieniem.

– *Nothing happened to you?*[37] – zapytał ten, który ją złapał.

Słysząc te słowa od ludzi, którzy ocalili ją przed tragicznym przeznaczeniem, poczuła, jak rozpada się na miliony cząsteczek. Nie potrafiła jednak odpowiedzieć na powtarzane teraz przez nich pytanie. Świadomość tego, co się właśnie stało, wstrząsała nią, a przesiąknięte strachem myśli paraliżowały każdą część jej ciała. W końcu z jej gardła wydobył się głuchy jęk, a z oczu trysnęły łzy

i nieprzerwanym strumieniem popłynęły po policzkach. Żołnierze próbowali ją uspokoić, tłumacząc coś o przekroczeniu strefy i złamaniu zasad i pokazując leżące na placu ciało Fiodora, wokół którego zebrał się wianuszek gapiów.

Niedługo później zawieźli ją do obozu UNRRA, gdzie od kilku tygodni przebywał Staszek. Tam miało się zacząć ich nowe, lepsze życie.

[36] (niem.) Przepraszam.
[37] (ang.) Nic ci się nie stało?

EPILOG

1980 rok, Zachodniopomorskie

Eleonora opowiedziała Staszkowi tę historię w ogrodzie. Po tym, jak wybiegł z pokoju, znalazła go na ławce pod jabłonią, gdzie siedział z twarzą skrytą w dłoniach.

– To był ten sam dzień, w którym urodziłam Hanię – wyjaśniła, czując, jak jej serce na nowo wypełnia ból po stracie pierworodnego dziecka, które było zrodzone z miłości jej i Staszka. Ból, którego upływ wielu lat nie zdołał uśmierzyć i który teraz znów dotkliwie targnął jej ciałem.

– Czyli nasze dziecko zginęło przez niego? – zapytał Staszek z niedowierzaniem.

– Tak myślę – wyszeptała i zatrzymała wzrok na wielkiej dłoni swojego męża. Na jego serdecznym palcu nadal błyszczała obrączka. Świadectwo ich miłości. – Tamtej nocy, kiedy trzymałam w ramionach umierającą Haneczkę, poprzysięgłam sobie, że nigdy nie wrócę do mojego życia. Że będę twoją Eli. Na zawsze. Następnego dnia spaliłam dokumenty potwierdzające moją prawdziwą tożsamość. Spaliłam sukienkę, którą miałam po mamie. Jedyną pamiątkę z rodzinnego domu. Wyparłam się swoich korzeni dla ciebie, Staszku. – Po jej policzku potoczyła się łza, a on starł ją kciukiem.

– Dlaczego przez tyle lat milczałaś?

Popatrzyła w jego smutne, pełne współczucia i bólu oczy.

– Bałam się, że to wszystko znów wróci.

– Eli… Skarbie. On na pewno wtedy umarł. W Berlinie.

– Może. A jednak paraliżował mnie strach, że znów przede mną stanie i przyłoży mi pistolet do głowy, a ty mnie zostawisz, bo cię oszukałam.

– Ciii… Nigdy cię nie zostawię. – Objął ją ramieniem.

– Nawet teraz, kiedy już wiesz, że całe nasze życie zbudowane było na kłamstwie?

– Zwłaszcza teraz. – Pocałował ją w czubek nosa, jak wtedy, gdy byli młodzi i szaleńczo w sobie zakochani. – Kiedy już wiem, do jak wielkiej odwagi i bohaterstwa jesteś zdolna dla rodziny. Dla mnie.

– Myślałam, że nigdy mi tego nie wybaczysz.

– To nie moje emocje, Eli, wymagają rozliczenia. To ty powinnaś przebaczyć Bogu to, że ofiarował ci czas tak olbrzymiego poświęcenia. Musisz to zrobić, bo tylko wtedy zrozumiesz, że właśnie tego w życiu miałaś dostąpić, by teraz móc być tu ze mną. Z nami…

Powędrował wzrokiem ku oknom na piętrze, gdzie znajdowała się sypialnia Marcina i Gosi.

Eli westchnęła ciężko, czując przytłaczające zmęczenie. Podróż w przeszłość wyssała z niej całą energię. Wiedziała, że Staszek ma rację. Musiała raz na zawsze zamknąć za sobą ten rozdział. Musiała przebaczyć… A kiedy ta myśl rozgorzała w jej głowie i sercu, poczuła się tak, jakby nagle coś zburzyło fasadę, którą wznosiła wokół siebie, skruszyło mury przekonań i zawziętości. Wstrząsnął nią płacz tak silny, że nie zdołała zrobić nic, jak tylko pozwolić łzom płynąć. Pierwszy raz jednak poczuła, że łzy oczyszczają jej poranioną duszę i przynoszą ulgę.

Staszek miał rację. To wszystko musiało się wydarzyć, żeby mogła odnaleźć go na końcu świata, oddać mu serce i wydać na świat wspaniałe dzieci. Powinna być wdzięczna za te doświadczenia, dzięki którym mogła przeżyć tak wiele cudownych chwil. Coś, co ją dotąd

przytłaczało i niszczyło, okazało się drogą do najprawdziwszego szczęścia.

Mąż przytulił ją mocniej do szerokiej piersi i pocałował czule, a ona spojrzała w jego oczy. Po chwili jej wzrok spoczął na niebie, na którym mieniły się już gwiazdy. I nagle dotarło do niej, że ten układ konstelacji zawsze widziała nad miejscem bliskim jej sercu.

Nad domem.

* * *

Tydzień później, wychodząc ze Staszkiem z placówki Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Koszalinie, Eleonora czuła się wyssana z energii. Dziękowała w duchu Małgosi, że ta namówiła ją na zwierzenia, w efekcie których jej mąż dowiedział się prawdy, a teraz wspierał ją w rozmowie z naczelnikiem. Bardzo obawiała się tego spotkania i początkowo zdawało jej się, że nie zdoła mu sprostać. Ostatecznie jednak okazało się, że dokonali podczas niego rzeczowej analizy faktów i że zawirowania z przedwojennymi dokumentami dotyczyły nie tylko jej przypadku. A obecność Staszka pomogła jej zachować spokój.

Ruszyli spacerem w stronę placu Bojowników PRL, planując wstąpić po drodze na obiad do restauracji. Początkowo Eleonora sprzeciwiała się temu pomysłowi, ale później uznała to za dobry początek lepszej części życia.

– Dziękuję, że przy mnie byłeś – odparła, zadzierając głowę, by popatrzeć na męża.

– Nie mogłem zostawić mojej damy w opresji. – Uśmiechnął się przekornie.

– Uratowałeś mnie już z nich tyle razy.

– A jednak z tej największej nie potrafiłem.

W jego oczach dojrzała smutek i poczuła się podle. Po tym, jak opowiedziała mu całe swoje życie, miał do niej żal, że tak długo

dusiła to w sobie, zamiast przenieść ciężar tych wspomnień na jego ramiona. Powtarzał, że zniósłby każdą, nawet najgorszą prawdę i że niepotrzebnie przez tyle lat się nią katowała.

– Nieprawda, Stasiu. Zawsze byłeś mi oparciem. Wspierałeś mnie, kiedy cię potrzebowałam. Dbałeś o rodzinę i dom, kiedy ja nie byłam w stanie ruszyć z miejsca. Byłeś mi opoką przez te wszystkie trudne lata.

– A jednak cierpiałaś.

– Dobrze wiesz, że nie przez ciebie.

Przytuliła się do niego czule. Małgosia miała rację: uwolnienie się od traumatycznych wspomnień dodawało siły. I choć droga do całkowitego wybaczenia była jeszcze długa, to Eleonora coraz wyraźniej widziała cel tej podróży. Im więcej rozmawiała o przykrych chwilach, które przeżyła, tym one coraz szybciej płowiały w jej duszy. Nie trzymały się jej tak bardzo, nie przytłaczały i nie zabierały snu. Uwalniała się od nich, trwale. W końcu zrozumiała też, że ludzie nie żyją tylko po to, aby się poświęcać dla innych, ale jako jednostki wszyscy są tak samo ważni. Żyjąc jako Emilia i później jako Eleonora, miała pełne prawo do tego, by być szczęśliwa, kochana i bezpieczna. Nie w ramach rekompensaty za wyrządzone krzywdy, ale tak zwyczajnie należało jej się to jak każdemu innemu człowiekowi. Dzięki rozmowom z Małgosią nie miała już co do tego żadnych wątpliwości.

To sprawiało, że nabierała coraz większego apetytu na życie. Na doświadczanie jego dobra. Na poznawanie, smakowanie, podziwianie jego piękna. I choć jeszcze nie potrafiła przyznać się do tego przed Staszkiem, to w sercu zaczynała czuć powiew wolności, który nawlekał na jej usta błogi uśmiech.

– Może nie przeze mnie, ale mimo to cały czas myślałem o tym, jak mógłbym ci pomóc.

– Skarbie… wystarczy mi, że jesteś obok.

– Wiem, ale chciałbym znów zobaczyć w twoich oczach szczęście, które widziałem, gdy rodziły się nasze dzieci.

– Cóż… – Parsknęła śmiechem. – W tym wieku to będzie trudne.

– Tak, dlatego nie powinniśmy brać tego dosłownie.

– Więc co masz na myśli?

– Przyjemność, którą przed laty życie kazało ci pogrzebać. – Eleonora zdezorientowana patrzyła na męża, zastanawiając się, co dokładnie miał na myśli.

– Ja się na tym nie znam – odparł. – Ale wraz z dziećmi uznaliśmy, że skoro kiedyś to dawało ci szczęście, powinnaś znów móc to robić.

Eleonora nie zdążyła zapytać, o co chodzi, kiedy Staszek zatrzymał się przed sklepową witryną i zamaszystym ruchem otworzył drzwi.

Wewnątrz panował półmrok, lecz Eleonora odniosła wrażenie, że oto nagle znalazła się w raju, którego jej dziecięca dusza pragnęła w dawnym, pierwszym życiu. I choć w czasach, w których teraz żyli, z trudem zdobywało się wszelakie artykuły, to na regale prócz ołówków, piór i długopisów dojrzała farby olejne, pędzle, płótna… Wszystko, o czym niegdyś marzyła, a o czym później nawet nie śmiała myśleć, skupiona na zapewnieniu dobrobytu swoim dzieciom.

– Sztalugi i paletę wystrugałem w stodole. Czekają na ciebie w domu. A co do reszty: wybierz sobie, co zechcesz, i nie patrz na cenę. Nie należy oszczędzać na tym, co jest dla nas ważne.

Eleonora poczuła, jak łzy wartkim strumieniem spływają jej po twarzy.

– Marzyłam o tym – wychrypiała i wtuliła twarz w mężowski tors.

– Gdybym tylko wiedział wcześniej… – Pocałował ją w czubek głowy. – Uszczęśliwiłbym cię już dawno temu. Moja Eli…

KONIEC

OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy, oddaję w Wasze ręce kolejną książkę ukazującą niesamowite i bolesne losy Polaków.

Opowieść o Emilii i Stanisławie stworzyłam dzięki pani Dorocie Jaworskiej-Adamiec, która zechciała podzielić się ze mną historią swoich dziadków, Stanisława oraz Anieli Adamiec z d. Dreznal. Na podstawie wspomnień pani Doroty, pamiętnika jej dziadka oraz licznej dokumentacji dotyczącej losów Polaków na dawnym Podolu spróbowałam odtworzyć i możliwie plastycznie opisać historię pani Anieli. Tak jak przekazałam to w fabule, pani Aniela opowiedziała o swoim życiu synowej. Dzięki temu zarówno ja, jak i Wy możemy poznać tragiczną historię naszych rodaków zamieszkałych na terenach włączonych do Związku Radzieckiego po traktacie ryskim.

Zapewne wszyscy mamy jakąś wiedzę o tragicznej śmierci oficerów i polskiej elity w Katyniu, kiedy to w 1940 roku NKWD zamordowało blisko dwadzieścia dwa tysiące Polaków strzałem w tył głowy. I ja też myślałam, że o tej operacji antypolskiej wiem bardzo wiele. Kiedy jednak próbowałam odtworzyć losy pani Anieli, uderzył mnie fakt, że ludobójstwo w Katyniu nie było pierwsze, że było kolejnym morderstwem po wielu innych zbrodniach przeprowadzanych na Polakach w latach 1937–1938. Nad zrozumieniem tych wydarzeń spędziłam ostatnie miesiące i jestem wstrząśnięta tym, jak mało

uwagi poświęca się upamiętnieniu tego ludobójstwa, które skalą zdecydowanie przewyższa zbrodnię katyńską.

Autor książki *Operacja antypolska NKWD 1937–1938. Geneza i przebieg ludobójstwa popełnionego na Polakach w Związku Radzieckim*, Tomasz Sommer, próbował ustalić, ilu naszych rodaków stało się ofiarami represji. Porównując spisy ludności w Ukrainie, Białorusi i Rosji w latach 1937 i 1939, doszedł do zatrważających wniosków. Według owych wyliczeń statystycznych w 1939 roku na terenie objętym represjami zanotowano spadek ludności polskiej o około 200 tysięcy w stosunku do 1937 roku. Trudno jednak ustalić ostateczną liczbę ofiar z uwagi na liczne zafałszowania w dokumentacji, która miała zatuszować działania NKWD. Ławrentij Beria, który w 1938 roku zakończył terrorystyczne procedery na polskiej ludności, rok później podpisał decyzję o zamordowaniu oficerów w Katyniu.

Wierzę, że nie wszystkich mieszkańców dawnego Podola zamordowano, ale że wielu z nich przetrwało na obcej ziemi Kazachstanu, dokąd kierowano wywózki. I mam nadzieję, że świadomość zbrodni katyńskiej zostanie rozszerzona o jej początkowy wątek, kiedy to na kilkanaście miesięcy przed 1940 rokiem zakończyło życie wielu naszych rodaków.

Składam ogromne wyrazy wdzięczności pani Dorocie, która zainspirowała mnie do stworzenia tej książki. Obie wiemy, jak bardzo potrzebowałam tego spotkania akurat w tamtym czasie i jak wspaniale wszystko zostało dla nas obu zaplanowane, by historia Anieli i Stanisława została ocalona od zapomnienia.

Dziękuję mojej rodzinie za wyrozumiałość i wsparcie w tej szalenie trudnej przeprawie literackiej. Mężu, córciu… Nie byłoby mnie tu, gdyby nie Wy.

Aniu, Magdo, Mateuszu i cała załogo Grupy Wydawniczej Filia – dziękuję! Za ciepłe przyjęcie tej obciążającej pozycji, za troskę,

przestrzeń do rozwoju i zrozumienie. Praca z Wami to najlepsze, co przydarzyło mi się w karierze zawodowej.

Malwino, najlepsza redaktorko! Słów podziękowania nie starczy mi do końca życia za wszystko, co dla mnie robisz. Jestem Ci ogromnie wdzięczna za wyrozumiałość i szlifowanie mojego warsztatu. Dzięki Tobie wzrastam!

Na koniec dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy, że spośród tysięcy książek dostępnych na rynku wybieracie moje. Dziękuję, że jesteście przy mnie, wspieracie i częstujecie dobrym słowem. Nieustannie dajecie mi motywację do tworzenia i to dzięki Wam wciąż mogę robić to, co kocham. Dziękuję!

Z miłością
Nina

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa
Dedykacja
Cytat

PROLOG
CZĘŚĆ I
CZĘŚĆ II
CZĘŚĆ III
CZĘŚĆ IV
CZĘŚĆ V
EPILOG
OD AUTORKI

Karta redakcyjna

Copyright © by Nina Zawadzka, 2024
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Michał Grosicki

Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: RedKor Agnieszka Luberadzka, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART"
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-856-9

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.